

ŚCIEŻKA ZDROWIA
Szlakiem pacjenta
przez labirynt systemu

PRYMASKA SZWECJI
Dlaczego chrześcijanie
potrzebują liderów

PRAWDZIWI NIEPOKORNI
Poculi się reporterami,
gdy przestano im wierzyć

SERCE BIEGACZA
Maraton sprintem?
Da się!

Kraków 27 października 2019 nr 43 (3668) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Wszystkie utrapienia prezesa

DODATKI

MAGAZYN LITERACKI
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
BIBLIOTEKA NARODOWA



weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą. **Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!**

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego i w prenumeracie – 15 zł.



i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia**	300 zł	
Karta Dużej Rodziny***	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny do 30.11.2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY



KS. ADAM

Boniecki: Miara cywilizacji

OD WICEDYREKTOR JEDNEGO Z DUŻYCH SZPITALI usłyszałem niedawno: „Kiedy zapoznałam się z sytuacją, zrozumiałam, że stoję na mostku kapitańskim »Titanica«”. Nie tylko ona, niestety, tak uważa. Kolejne rządy po 1989 r. nie zdołały rozwiązać problemów polskiej ochrony zdrowia. Teraz również zapewnieniom, że wszystko idzie ku lepszemu, towarzyszy utajnianie informacji o wysokości zadłużenia szpitali i zamykanych oddziałach. Media donoszą, że codziennie działalność zawiesza co najmniej jeden oddział, najczęściej internistyczny lub pediatryczny. Narodowy Fundusz Zdrowia dementuje informacje, według których w ciągu ostatnich 20 miesięcy zlikwidowano 357 oddziałów, a 308 zawiesiło działalność. Wiemy jednak, że sytuacja dobra nie jest.

Zdaniem wielu lekarzy jedną z przyczyn zadłużenia szpitali jest stary system szacowania kosztów leczenia, m.in. zabiegów. Postęp w dziedzinach aparatury medycznej i farmacji jest szybki. Rośnie skuteczność leczenia, ale i jego koszty. Trudno też w nagłych przypadkach odmawiać ratowania chorego, powołując się na pieniądze... Szpital to jednak osobliwy „biznes”.

Minister zdrowia zapowiada poprawę sytuacji (skąd my to znamy?). Zapewnia, że jeszcze w tym roku wydatki na służbę zdrowia sięgną 100 mld zł, że wzrośnie liczba miejsc na studiach lekarskich, że pielęgniarki już nie odchodzą z zawodu. Że teraz to już będzie lepiej. Czy naprawdę? Czy „Titanic” już nie tonie? Obraz sytuacji pokazują zawarte w tym numerze „Tygodnika” materiały.

Przed wyborami wszystkie partie prezentowały programy poprawy finansowania ochrony zdrowia. Naprawa jednak



nie sprowadza się do pieniędzy. Czy zatrzymałyby one stałą emigrację polskich lekarzy do innych krajów? Czy to takie dziwne, że możliwość pracy w lepszych warunkach i za większe pieniądze okazuje się propozycją nie do odrzucenia? Sytuację ratują emeryci. Podobno gdyby teraz wszyscy praktykujący dziś lekarze w wieku emerytalnym odeszli, gmach polskiej ochrony zdrowia by się zawalił.

Osoba dotknięta kilkoma trudnymi w leczeniu chorobami jest skazana na niekończące się pielgrzymki do specjalistów. Czas oczekiwania na przyjęcie bywa morderczo długi. Jeśli specjalista skierowuje do szpitala, pobyt tam w bardziej skomplikowanych przypadkach bywa krótki – bo skomplikowane przypadki komplikują szpitalom życie. Po badaniach pacjenta się wypisuje i kieruje do innego, specjalistycznego szpitala, lub na kolejne badania. Nikt nie proponuje kompleksowego leczenia wszystkich jego chorób. Wiem, o czym mówię.

Jest jeszcze problem tych dziedzin, które wobec rosnącego zapotrzebowania znalazły się w impasie. Pytani o to lekarze zgodnie wskazują psychiatrię, a zwłaszcza – psychiatrię dziecięcą.

Różne można przyjmować kryteria rozwoju danego społeczeństwa. Chrześcijańskie korzenie europejskiej kultury wpoły w nas przekonanie, że miarą cywilizacji jest troska o najsłabszych, o chorych, niepełnosprawnych, starych i ubogich. Troska nie w deklaracjach, lecz w budowie struktur zapewniających im bezpieczeństwo. Ciekawe, gdzie – na skali 1–10 – umieścilibyście, drodzy Czytelnicy, cywilizację w Polsce? ©P

TP

JUŻ WE WTOREK 29 PAŹDZIERNIKA UKAŻE SIĘ

specjalne, świąteczne wydanie „Tygodnika Powszechnego” na Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny

W NUMERZE M.IN. ■ Rozkład jazdy po ostatniej drodze ■ Żałoba pracuje dla życia ■ Oślepiający cień śmierci

■ Po co nam umarli ■ Apokalipsa teraz – relacja ■ Jaka będzie tamta strona

A TAKŻE ■ Bohdan Butenko – władca dobrej wyobraźni ■ Odkrywamy Amerykę ■ PiS na golasa

■ Dlaczego tu nic nie jeździ? ■ Joker odkrywa karty ■ Szał śpiewania

oraz **dodatek Wielkie Pytania na Nowo: Kultura**Wersja drukowana tego wydania dostępna będzie już we wtorek 29 października,
wersje cyfrowe – tego samego dnia wieczorem.

TEMAT TYGODNIKA

12 Wspinaczka na piramidę

MACIEJ MÜLLER

*Że jest chora, to wiadomo. Ale co właściwie jej dolega i jak to leczyć? Oto diagnoza polskiej ochrony zdrowia***17 Pieniądze potrzebne już**ROZMOWA Z MACIEJEM PIROGEM, LEKARZEM
I BYŁYM WICEMINISTREM ZDROWIA:*Rząd tłumaczy, że stopniowo podnosi nakłady,
bo nagły wzrost środków spowodowałby
marnotrawstwo. To bzdury.***32 Dobry punkt wyjścia**

ROZMOWA

Z ARCYBISKUPKĄ
ANTJE JACKELÉN,
PRYMSKĄ
KOŚCIOŁA
SZWECJI:*Gdyby mi ktoś
powiedział, że jakieś
zadania w Kościele
są „męskie”, to od
razu zapytałabym,
dlaczego tak uważa.
Jaką odpowiedź
dostałabym
w Polsce?***42 Wywrócona szachownica**

KRZYSZTOF STRACHOTA

*Jedenaście dni: tyle wystarczyło, by rozkołysać region
i zakwestionować wiele z tego, co dotąd wydawało się
pewne – w Syrii i nie tylko.***22 Utrapienia prezesa**

ANDRZEJ STANKIEWICZ

*Gdyby spojrzeć na wyniki wyborów oczami Jarosława
Kaczyńskiego, to okaże się, że radości jest niewiele, za to trosk
co niemiara. A najtrudniejsze dopiero przed nim.***48 Sługa złej sprawy**MARTA SZPALA
Z ZAGRĘBIA
I BELGRADU*Nagroda Nobla
dla austriackiego
pisarza utrudni
proces pojednania
na Bałkanach.***96 Pisarz**

zwymyślany

KAROL FRAN CZAK
Przyznana Peterowi
Handkemu*najważniejsza
nagroda literacka
prowokuje pytanie,
co ma w zasadzie
nagradzać Nobel –
wolność sztuki czy
właściwe wybory
moralne?***110 Serce biegacza**

MAREK RABIJ

*„Jeśli brak ci
dyscypliny,
zawsze będziesz
niewolnikiem
nastrojów i pragnień”
– twierdzi Eliud
Kipchoge, pierwszy
człowiek, któremu
droga do wolności
na trasie maratonu
zajęła mniej niż dwie
godziny.*

6 Lekcja seksu
MICHAŁ OKOŃSKI

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Utrapienia prezesa
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 A kiedyś będzie tu polska
Bawaria DARIUSZ KAŁAN:
Kandydaci opozycji rzadko się
pojawiali na Podkarpaciu.
Jakby uznali, że to ziemia stracona

28 Uczelnia imienia taniej
złotówki MARCELINA SZUMER-
-BRYSZ: *Dlaczego młodzi Turcy*
chcą uczyć się w Polsce

■ ■ **WIARA**

32 Dobry punkt wyjścia
ROZMOWA Z ARCYBISKUPKĄ
ANTJE JACKELÉN

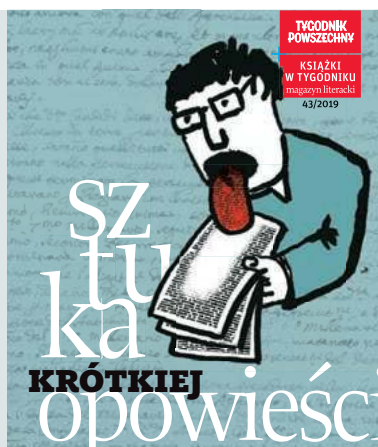
36 Czego się boi kardynał
Krajewski MACIEJ MÜLLER
o książce „Zapach Boga”

38 Jak anioły uratowały świętą
MIRELLA MAKURAT: *Nad*
Jeziołem Ochrydzkim święci
zstępują z fresków i w snach
przychodzą do ludzi, domagając się
nowych świętyń

■ ■ **ŚWIAT**

42 Wywrócona szachownica
KRZYSZTOF STRACHOTA

45 Miasto przed potopem
HANKA NOWICKA
Z POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ
TURCJI: *Spory wokół budowy tamy*
na Tygrysie i kontroli w regionie



61 Magazyn literacki
„KSIĄŻKI W TYGODNIKU”

Opowiadamy wszyscy: codziennie, w domu, w pracy, w internecie – to najbardziej naturalny sposób komunikowania naszych doświadczeń. „Życie to nie powieść” – mówiły czasem bohaterki XIX-wiecznych powieści i miały rację. Życie to opowiadanie, a raczej zbiór opowiadań, zestawionych ze sobą przypadkowo i chaotycznie, połączonych jedynie (albo aż) postacią autora.

■ **DODATEK SPECJALNY** ■

81 BIBLIOTEKA NARODOWA

■ **FELIETONY** ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 41 SZYMON HOŁOWNIA
57 WOJCIECH BONOWICZ 108 JAN KLATA
109 PAWEŁ BRAVO 114 STANISŁAW MANCEWICZ
114 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka: JAROSŁAW KACZYŃSKI
Fotografia: MARCIN KALIŃSKI / PAP
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

48 Sługa złej sprawy
MARTA SZPALA Z BAŁKANÓW

51 Proces dwunastu
KALINA BŁAŻEJOWSKA:
Mijają dwa lata od referendum
nepodległościowego i październik
w Katalonii znowu jest gorący

■ ■ **HISTORIA**

54 Panie rektorze, proszę
przodem PIOTR HAPANOWICZ:
6 listopada 1939 r. miał być na
Uniwersytecie Jagiellońskim po
prostu pierwszym dniem nowego
roku akademickiego

■ ■ **NAUKA**

58 Problem dla nauki
JAKUB MEJER: *Brexit może*
zaszkodzić całej światowej nauce

■ ■ **KULTURA**

96 Pisarz zwymyślany
KAROL FRANCAK

99 I tylko wysp tych nie ma
DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *Krystian*
Lupa w spektaklu „Capri” mierzy
się z winami własnymi i kultury,
z której wyrasta

102 Ciężar gatunku MAGDALENA
NOWICKA-FRANCAK: *Kronikarze*
Arthur Koestler i Gareth Jones
przyglądają się, jak totalitarna
władza zastępuje przyzwoitość
śmiertelną konsekwencją

106 Potrawka z człowieka ANITA
PIOTROWSKA o filmie „Obywatel
Jones” Agnieszki Holland

108 Nobel sprzed lat LEKTOR
o książce „Księga pocałunków.
Poezje wybrane” Jaroslava Seiferta

■ ■ **ZMYŚŁY**

110 Serce biegacza MAREK RABIJ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata: Afryka**

Uchodząca za najuboższy z kontynentów, ma miejsca, które upodobał sobie najbogatsi – **WOJCIECH JAGIELSKI** pisze o enklawach dla wybranych, których najwięcej znajduje się w RPA, najzamożniejszym z krajów kontynentu. tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Synod dla Amazonii – serwis specjalny**

Za nami drugi tydzień synodu biskupów. Co może zdziwiać grupa zdeterminowanych biskupów z Amazonii, którzy odnowili podpisany pół wieku temu rewolucyjny „Pakt z katakumb”? – relacje z Watykanu i komentarze **EDWARDA AUGUSTYNA** w serwisie specjalnym na powszech.net/amazonia



f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y /TygodnikPowszechny



LEKCJA SEKSU

W kwestii edukacji seksualnej pytanie nie brzmi „czy”, ale „w jaki sposób”.
I jak uzgodnić wspólne stanowisko mimo różnic światopoglądowych.

MICHAŁ OKOŃSKI

NA ZWOŁANYM JUŻ PO WYBORACH POSIEDzeniu Sejm poprzedniej kadencji skierował do dalszych prac obywatelski projekt nowelizacji kodeksu karnego, grożący karą więzienia dla tych, którzy zajmują się edukacją seksualną, a mnie wciąż nie chce się pomieścić w głowie, o co ten zgiełk. Jakie niepokoje albo zranienia mają w sobie ci, którzy nie tylko w ostatnich dniach, ale w trakcie całej kampanii wyborczej (dlacze-

go akurat teraz, a nie np. w 2010 r., kiedy WHO publikowała swoje standardy edukacji seksualnej?) uczynili z kwestii uświadomienia naszych dzieci centralny temat debaty publicznej?

Może jest tak, że po prostu miałem szczęście. Kiedy moja licealna polonistka w trakcie omawiania „Komu bije dzwon” zatrzymała się na chwilę przy scenie miłosnej (tej w śpiworze, podczas której pod Marią mia-

*„Chcemy edukacji, a nie indoktrynacji”
– zorganizowany przez Ogólnopolski Strajk Kobiet protest w Szczecinie, 16 października 2019 r.*

ła zatrząść się ziemia), powiedziała do swoich uczennic, że pewnie jeszcze tego nie wiedzą, ale to rzeczywiście może tak wyglądać. I dodała jeszcze, że serdecznie im tego życzy. Przesłanie było jasne: seks jest czymś pięknym i dobrym, tego nie można się bać ani tym straszyć, choć – z czasem była mowa również i o tym – trzeba to poważnie traktować.

Z drugiej strony przecież sam jestem ojcem i oczekiwałbym od szkoły nie tyle tego, by zastąpiła mnie w kwestii rozmów o seksie (jak pisał w „TP” Maciej Müller, edukacja seksualna nie jest kategorią, o której mówi się specjalnym tonem w specjalnym czasie: ona wpisuje się w naszą codzienną relację), ale by dopełniła moje świadectwo własnym przekazem. Przekazem o akceptacji swojego ciała, o szacunku do partnera, świadomości własnych i jego granic, prawie do mówienia „nie”, a także szerzej: o ludzkiej biologii, anatomii i fizjologii. O przyjemności. O budowaniu poczucia własnej wartości. O poczuciu bezpieczeństwa, intymności, ale też o instynkcie napędzającym nas do działania, o pasji czy o kreatywności, które również z seksualnością mają niemało wspólnego. Także o tym, co współczesna nauka mówi o kwestii orientacji seksualnej (i co prawo mówi o zakazie dyskryminacji na jej tle). O tym, jak wygląda debata na temat aborcji czy antykoncepcji (ich przeciwnicy nie zawsze odwołują się do przekonań religijnych), rzecz jasna, również. Czy zamiast potępiać z ambon i protestować na ulicach, nie moglibyśmy o tym przekazać porozmawiać bardziej szczegółowo?

Obecność w szkole nauczyciela, który te tematy potrafi podjąć bez ekscytacji i skrupowania, byłaby z perspektywy rodzica bezcennym wsparciem. Jeśli traktuje kwestie seksualności jako coś naturalnego, jeśli pozwala dziecku widzieć czułość, jaką darzy partnerkę czy partnera – będzie ono mogło się przekonać, że rodzic nie jest dziwolągiem. Jeśli z mówieniem o seksie, albo szerzej: z okazywaniem emocji czy uczuć, ma kłopot – dziecko zobaczy, że taki model wychowania nie musi być jedyny. Co równie ważne: w obu przypadkach pojawi się alternatywa dla dostępnej na wyciągnięcie ręki, wypaczającej obraz seksu i często uzależniającej „wiedzy” z internetu.

Wiem: trochę w tym tekście pierwszej osoby. Trudno, żeby jej nie było. Najważniejsze pytania świętego „Nowego wychowania seksualnego” Agnieszki Stein padają już na samym początku. Brzmiały prosto: „Skąd wy, czytelnicy tej książki, wiecie różne rzeczy o seksie i seksualności? Jakie swoje doświadczenia pamiętacie? Co wpłynęło na wasz rozwój i na to, jakimi ludźmi jesteście dzisiaj?”. Nie byłoby źle, gdyby każdy z tak głośno perorujących o zagrożeniach związanych z edukacją seksualną spróbował w cichości serca na nie odpowiedzieć. ©

KRAJ W SKRÓCIE

FILTROWANA TELEWIZJA

Sky News stworzyła informacyjny kanał Brexit-Free, filtrujący najważniejsze wiadomości z tych, które dotyczą wychodzenia Wlk. Brytanii z UE. TVP stosuje tę metodę od dawna, nie mówiąc o sprawach kłopotliwych dla PiS.

PISZĄCY LIDER

O filtrowaniu myśli też lider PO Grzegorz Schetyna, apelując w liście do członków partii, by nie oceniali źle wyników wyborów. Internauci źle ocenili wpis przewodniczącego, zestawiający mord na ks. Popiełuszcze z samospaleniem Piotra Ściesznego i mylący datę śmierci tego drugiego.

WESOŁY PREZYDENT

Na jubileuszu stulecia AGH głowa państwa opowiedziała dowcip o tym, że w afrykańskiej dżungli rozbił się samolot wiozący rektorów z całego świata, a ocaleni pasażerowie zostali zjedzeni przez miejscowe plemię – wszyscy poza rektorem AGH, bo wódz plemienia był jego kolegą



LUKASZ GĄGULSKI / PAP

z wydziału elektrycznego. Ktoś właściwie mógłby powiedzieć

Andrzejowi Dudzi, że nawet jeśli rasizm w Polsce wciąż uchodzi na sucho, to gorzej z dowcipkowaniem o katastrofach lotniczych.

SZCZERY SENATOR

„Nie będę się wypowiadał na temat literatury, bo się na tym nie znam” – powiedział w debacie o uchwale Senatu z okazji Nobla dla Olgi Tokarczuk Waldemar Bonkowski. Senator zna się na innych rzeczach: wie, że „wszelkie wyróżnienia dostają głównie ludzie z lewackich środowisk, a szczególnie jak ktoś szkaluje Polskę, to jest nagradzany”.

Koszty otyłości



EWELINA BURDA

PRZEZ CHOROBY ZWIĄZANE Z OTYŁOŚCIĄ w ciągu najbliższych 30 lat Polacy będą żyć średnio o ponad 3 lata krócej, a na świecie umrze ponad 92 mln ludzi – podaje Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (dane z jej raportu pochodzą z 52 krajów, m.in. z grupy G20 i UE). W 36 najbardziej rozwiniętych gospodarkach krajach świata prawie co czwarta osoba jest otyła. W Polsce to 25 proc. mężczyzn i 23 proc. kobiet, a także 9 proc. dzieci i młodzieży.

Jak podaje raport, otyłość i nadwaga zwiększają koszty opieki zdrowotnej, ściśle powiązane z nimi jest wiele schorzeń (m.in. układu krążenia czy cukrzyca), a leczenie ich to ponad 8 proc. wydatków na ochronę zdrowia. Wpływają na wydajność pracowników i hamują wzrost PKB – z powodu otyłości strata PKB w Polsce w ciągu najbliższych 30 lat wyniesie 4,3 proc.

Otyłość jest chorobą – skomplikowaną i groźną. Trzeba ją leczyć. Zmiany systemowe i działania prewencyjne wymagają czasu, jeśli rządy będą nimi w końcu zainteresowane. Raport OECD podaje ich przykłady: lepsze etykietowanie żywności w sklepach, regulowanie reklam niezdrowej żywności.

Walkę z otyłością hamuje stygmatyzowanie i wykluczanie z życia społecznego osób otyłych. „Grubasy”, „Wystarczy mniej jeść”. „Po prostu zacznij ćwiczyć” – chyba z żadnej innej choroby wyśmiewanie się nie przychodzi tak łatwo jak z otyłości. Jeśli nie zmienimy myślenia, koszty będziemy ponosić wszyscy. ©

Korytarz, suwak, pieszy

NA OSTATNICH POSIEDZENIACH parlamentu poprzedniej kadencji znowelizowano prawo o ruchu drogowym, wprowadzając obowiązek tworzenia tzw. korytarza życia i jazdy „na suwak”. W przypadku zwiększenia natężenia ruchu lub korków na drodze dwupasmowej kierowcy muszą zjechać jak najbliżej lewej i prawej krawędzi jezdni, by umożliwić przejazd pojazdów uprzywilejowanych, a gdy na jednym z pasów pojawia się utrudnienie, pozwolić pojazdom nim jadącym na dokonanie zmiany. Niewykluczone, że to nie koniec: nowo wybrana posłanka Klaudia Jachira proponuje (wywołując burzę w internecie) usunięcie zapisu, który uznaje wtargnięcie pieszego na jezdnię za wykroczenie – argumentuje, że jako najsłabsze ogniwo w ruchu drogowym pieszy musi być chroniony. © MO

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG,
POLITOLOG:

Samo 500 plus nie zwalczy biedy



K. ZUCZKOWSKI / FORUM

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Wedle raportu Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu, w 2018 r. liczba Polaków w skrajnej biedzie wzrosła do 2 mln. **RYSZARD SZARFENBERG:**

Oznacza to, że zatrzymał się pozytywny trend spadku ubóstwa obserwowany od 2016 r.: pierwszego, w którym wypłacane było świadczenie wychowawcze 500 plus bez ograniczania zasiłków rodzinnych, oraz pierwszego, w którym obowiązywała godzinowa stawka płacy minimalnej dla umów-zleceń. To był rok, w którym najuboższe rodziny odniosły maksymalne korzyści.

Odsetek skrajnej biedy spadł wtedy z ponad 7 proc. do poniżej 5 proc. Teraz znowu ten próg przekroczył. Wzrosła też liczba skrajnie ubogich dzieci. Dlaczego?

Rodziny utrzymują się z pracy i świadczeń. Sama praca nie wystarcza, choćby ze względu na dzieci czy osoby niesamodzielne będące na utrzymaniu bliskich. Gdy udział zarobków w budżetach domowych spada – np. dlatego że część kobiet o niskim wykształceniu rezygnuje z pracy – a równocześnie świadczenia nie rosną wraz z inflacją, pogorszenie sytuacji rodzin tych kobiet jest nieuniknione.

W omówieniu raportu mówi Pan dosadnie: rząd musi reagować. Jak?

Po pierwsze: waloryzując świadczenie wychowawcze i zasiłki rodzinne, by nie traciły na wartości ze względu na inflację. W przepisach nie ma wymogu, że rząd musi to robić. A premier mówi, że waloryzacja nie jest potrzebna, skoro inflacja jest niewielka i zniesiono kryterium dochodowe dla 500 plus. To zły argument, bo na tej akurat zmianie skorzystały rodziny z klasy średniej, a najbardziej najzamożniejsi.

Po drugie: należy tworzyć warunki zachęcające do pracy kobiety o niskich kwalifikacjach z dziećmi, np. zapewniając dobrej jakości miejsca pracy oraz bezpłatną wczesną opiekę i edukację. Widać coraz wyraźniej, że – wbrew rządowej narracji – nie zlikwidujemy ubóstwa rodzin i dzieci samymi świadczeniami pieniężnymi. © P Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG jest wykładowcą UW, badaczem zjawiska biedy.

Oszczędzaj, Polaku, może ci tego nie zabierzemy

KTO JESZCZE PAMIĘTA ZAPAL, z jakim 20 lat temu rządzący namawiali Polaków na Otwarte Fundusze Emerytalne, temu podejrzany wyda się entuzjazm, z jakim politycy PiS-u prezentują teraz zalety Pracowniczych Planów Kapitałowych – tym bardziej że jednocześnie szykują się do likwidacji OFE.

PPK nie są zamiennikiem OFE, ale mają podobną funkcję dodatku do przyszłej chudej emerytury z ZUS. Złożą się nań trzy płatnicy: sam zatrudniony, który co miesiąc odda na ten cel 2 proc. pensji brutto; pracodawca, który po przystąpieniu pracownika do programu musi PPK dopłacić na ten cel kolejne 1,5 proc. pensji brutto; oraz budżet – a ściślej: Fundusz Ubezpieczeń Społecznych – który raz w roku zasili konto pracownika kwotą 240 zł. W przeciwieństwie do pieniędzy w OFE, oszczędności zgromadzone w PPK mają pozostać własnością pracownika; będą podlegać także dziedziczeniu.

Paweł Borys, szef Narodowego Funduszu Rozwoju i współtwórca programu, przyznał niedawno, że oczekiwaniami, iż już na starcie do PPK przystąpi ok. 70 proc. pracowników, były przeszacowane. „Docelowo wierzę w 70 proc. (...). Ale rzeczywiście nie sądziłem, że efekt OFE, tzn. »znowu mi zabiorą«, będzie aż tak negatywnie działał. Trudno ocenić, ile czasu potrzeba, żeby odbudować zaufanie” – mówił w rozmowie z „Pulsem Biznesu”.

Zaledwie co piąty Polak ma dziś oszczędności w wysokości co najmniej rocznych zarobków (31 proc. nie ma żadnych). Jednocześnie duża aprobatą społeczną cieszyło się obniżenie wieku emerytalnego, zrealizowane przez poprzedni gabinet PiS zaraz po wygranych wyborach. Myślenie o finansach osobistych najczęściej sięga perspektywy kolejnej wypłaty. Jeśli Polacy zlekceważą również PPK, będzie to porażka nie tylko partii rządzącej, ale i wszystkich ekip, które w ostatnim dwudziestolecu manipulowały przy systemie emerytalnym z myślą o najbliższych wyborach.

© P MAREK RABIJ



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

TYSIĄCE DRZEW I KRZEWÓW uratuje zmiana przepisów o minimalnej odległości, w jakiej mogą one rosnąć od linii kolejowych. W Polsce w użyciu jest 18,5 tys. kilometrów torów, w większości przebiegających przez tereny zielone; dokonywane podczas remontów wycinki, zwłaszcza w miastach, wywoływały protesty. W wyniku porozumienia trzech ministerstw – infrastruktury, spraw wewnętrznych i administracji oraz środowiska – poza lasami tzw. wysoka zieleń będzie mogła rosnąć już 6 metrów od torów (dotąd było to 15 metrów). Nie chodzi jednak wyłącznie o ekologię: zbyt szeroki pas bez zieleni powoduje oszronienie i przegrzewanie się infrastruktury kolejowej, a czasem wiry powietrza, które wywiewają z wagonów materiały sypkie; drzewa i krzewy absorbują też hałas.

© P ŻYM

SYNOD W SKRÓCIE

RYT

„Proponujemy wprowadzenie rytu amazońskiego, który pozwoli ukazać bogactwo i wyjątkowość Kościoła katolickiego w Amazonii pod względem duchowym, teologicznym i dyscyplinarnym” – napisano w raporcie synodalnej grupy roboczej kierowanej przez prefekta Kongregacji Nauki Wiary kard. Luísa Ladarię Ferrera.

CELIBAT

Z raportów przedstawionych przez wszystkie grupy wynika, że za wyświęcaniem żonatych mężczyzn opowiada się większość biskupów na synodzie. Zdecydowanie „za” było 6 grup (na 12), kolejne 3 dopuszczają taką możliwość warunkowo. Nieco mniej zwolenników znajduje pomysł diakonatu kobiet (4 grupy „za”, 3 warunkowo).

PYTANIE

„To chyba dobrze, że pieniądze Fundacji Forda idą w końcu na dobre cele?” – pytał retorycznie Paolo Ruffini, prefekt dykasterii komunikacji, odpowiadając na zarzuty, że sieć katolickich organizacji REPAM, główny sponsor synodu, otrzymała ponad 2 mln dolarów od Fundacji Forda, oskarżanej o wspieranie aborcji i „ideologii gender”.

PAKT

„Zobowiązujemy się przyjąć ubogi i skromny styl życia, solidaryzując się z tymi, którzy nic lub niewiele mają” – ogłosiło w niedzielę 150 biskupów, podpisując w katakumbach św. Domitylli proekologiczny „Pakt dla wspólnego domu”. Nawiązali w ten sposób do podobnego aktu sprzed 54 lat, kiedy to ich poprzednicy deklarowali „żyć tak jak nasz lud, pod względem mieszkania, pożywienia, środków transportu, z wszystkimi tego konsekwencjami”.

Więcej w naszym serwisie: powszech.net/amazonia



YOUTUBE / CONFERENCIA EPISCOPAL DE COLOMBIA

„OBOJETNOŚĆ” – tak określił wynik swojego eksperymentu społecznego bp Carlos Arturo Quintero Gómez z kolumbijskiej diecezji Armenia, który przyszedł na diecezjalny kongres duszpasterstwa społecznego w przebraniu bezdomnego. Zachowania zebranych badań, żebrząc, prosząc o pomoc czy upadając. „Gdy tylko wszedłem do auli, zacząłem doświadczać obojętności. Nikt mnie nie potraktował źle, ale też nikt mnie nie przyjął, gdy przechodziłem przez recepcję, nikt mnie nie przywitał i nikt nie zapytał, kim jestem” – mówił potem biskup. © P. MAM

Modlitwa rozluźnia pięści



PIOTR SIKORA

PŁAKAT TEGOROCZNEGO MARSZU NIEPODLEGŁOŚCI – umięśnione ramię wznoszące w górę zaciśniętą pięść owiniętą różańcem niczym kastetem – napawa smutkiem. Smutny musi być bowiem świat organizatorów i ogromnej części uczestników tych (dziesięciu już) marszów. Choć Polska od dawna jest niepodległa, choć żyjemy w jednej z najspokojniejszych i najbardziej rozwiniętych części świata, choć to jeden z najlepszych okresów w naszej historii, Marsze Niepodległości nie mają charakteru radosnego świętowania, lecz budują raczej atmosferę walki z czyhającymi zewsząd zagrożeniami. Trzeba współczuć tym, którzy widzą świat w taki sposób.

Jeszcze smutniejsze jest jednak to, że ludziom ze środowisk organizujących marsz nawet to, co uważają za chrześcijańską wiarę, nie przynosi

wyzwolenia z lęków i poczucia wszechobecnego zagrożenia – nie znosi napięcia, nie pozwala opuścić gardy i rozluźnić pięści. Znamienny jest sposób, w jaki różaniec jest trzymany przez rękę na plakacie. Wielu zauważyło, że znakomicie może służyć w tej pozycji jako kastet, trudno natomiast modlić się, trzymając go tak właśnie. Gdyby potraktować plakat jako wyraz stanu ducha jego autorów i zwolenników, trzeba by powiedzieć: wiedzą, jak się bić, ale o modlitwie raczej nie mają pojęcia – bo modlitwa uwalnia od lęku i gniewu; niesie pokój.

Smutne jest także to, że polscy biskupi, którzy ostatnio często protestowali przeciw licznym – jakoby – profanacjom chrześcijańskich symboli, nie widzą problemu w tym, iż różaniec z krzyżem został uwikłany w kulturowo-polityczną wojnę. Czy to nie profanacja? © P.

0 seksualności w zakonach

PRZEŁOŻENI ZAKONÓW męskich i żeńskich w Polsce chcą zbadać, jak wygląda w ich zgromadzeniach komunikacja nt. intymności, płciowości i seksualności. Badania zapowiedział przewodniczący Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich podczas niedawnego zebrania tego gremium. Kontekstem są przypadki wykorzystywania seksualnego małoletnich przez duchownych. Ojciec Janusz Sok przyznał, że w wielu seminariach temat nie był podejmowany.

Na pytanie, jaką formę będą miały te badania i kto je będzie przeprowadzać, otrzymaliśmy z Sekretariatu KWPZM odpowiedź: „Inicjaty-

wa określona tytułem: »Intymność, płciowość, seksualność osób konsekrowanych« jest na etapie wstępnego projektu”, a „badania będą przeprowadzone we współpracy z naukowcami z Instytutu Statystycznego Kościoła Katolickiego”.

Dyrektor ISKK ks. Wojciech Sadłoń mówi „Tygodnikowi”, że widzi determinację przełożonych zakonnych, dlatego nie chciałby sprowadzić ich inicjatywy jedynie do badań ankietowych: – Powinny to być pogłębione badania jakościowe. Temat skupia się na komunikacji, zatem chodzi o reakcje i sposób podejścia w zakonach do seksualności. Celem mają być wskazania formacyjne, ale liczę, że wynik będzie też mieć wartość naukową – wyjaśnia ks. Sadłoń.

© P. ARTUR SPORNIAK



ANDREW TESTA / PANOS PICTURES / FORUM

Johnson zawsze wygra

TU STRACI, A TAM MU SIĘ UDA: w minioną sobotę brytyjski premier Boris Johnson znowu przegrał z posłami bitwę o wyprowadzenie kraju z Unii 31 października. Parlament zmusił go do poproszenia Brukseli o kolejne opóźnienie brexitu (premier wysłał stosowny list, lecz bez podpisu; w drugim, już podpisanym, wyjaśniał, dlaczego uważa opóźnienie za szkodliwe; legalnością tego triku zajmą się teraz sądy). Wcześniej jednak wynegocjował nową umowę rozwodową z Unią, która

zapobiega „twardemu” podziałowi wyspy Irlandia, lecz *de facto* ustanawia granicę celną na Morzu Irlandzkim, a zatem wewnątrz Zjednoczonego Królestwa. Tym samym dokonał czegoś, co przez długie miesiące za wykluczone uznawała nawet sama Unia.

Teraz Boris Johnson może robić to, na czym zawsze zyskiwał: obarczać opozycję i parlament winą za blokowanie woli społeczeństwa (wyrażonej w referendum w 2016 r.). I choć już po zamknięciu tego wydania „Tygodnika” w Izbie Gmin miało dojść do kolejnego głosowania, ani ewentualna porażka (a tym bardziej przekonanie posłów do nowej umowy), ani masowe demonstracje w Londynie przeciw brexitowi (na zdjęciu) politycznie nie zaszkodzą już premierowi. Budowa poparcia przed ewentualnymi przyspieszonymi wyborami jest teraz dla niego tym łatwiejsza, że i Brytyjczycy, i politycy europejscy chcieliby mieć już brexit z głowy. Trzy lata zajęły Wielkiej Brytanii i Unii przygotowania do brexitu. Na dziesięć dni przed jego kolejną datą ciągle nie było wiadomo, kiedy – i czy w ogóle – do niego dojdzie. © MARCIN ŻYŁA

USA: coraz ostrzejszy kryzys wewnętrzny

RELACJE MIĘDZY DONALDEM TRUMPEM i Partią Demokratyczną pogarszają się dramatycznie. Zeszlodygodniowe spotkanie obu stron, w którym uczestniczyli m.in. lider Demokratów w Senacie Chuck Schumer i spikerka Izby Reprezentantów Nancy Pelosi, skończyło się po 20 minutach. Podczas spotkania Pelosi miała stwierdzić, że Trump realizuje interesy Kremla, prezydent miał nazwać spikerkę „trzeciorzędną polityczką”.

To kolejny przykład rosnących napięć między prezydentem a Demokratami z Izby Reprezentantów, którzy prowadzą wiele dochodzeń wobec Trumpa. Sytu-

acja zaogniła się jeszcze bardziej, od kiedy Pelosi ogłosiła oficjalne rozpoczęcie śledztwa w ramach procedury impeachmentu.

Biały Dom, już wcześniej utrudniający Demokratom pracę, zapowiedział, że nie będzie współpracował przy tym śledztwie, które nazwał pokazowym procesem i nieuprawnioną próbą „obalenia wyników wyborów z 2016 r.”. Z kolei Demokraci wystawiają kolejne wezwania sądowe dla potencjalnych świadków i przygotowują się do przesłuchań w świetle kamer.

Rozpoczęcie impeachmentu podniosło stawki w dotychczasowych sporach i podkreśliło fakt, że polityka w Waszyngtonie to gra o sumie zerowej. To, kto w tym sporze wygra, wpłynie na wynik przyszłorocznych wyborów prezydenckich.

© JAN SMOLEŃSKI

Spada nam szczodrość

POLACY DOPIERO NA 86. MIEJSCU w światowym rankingu szczodrości przygotowanym przez CAF, brytyjską organizację zajmującą się analizą dobroczynności. Badanym zadawano trzy pytania: czy w ostatnim miesiącu pomogłeś osobie nieznamemu? („tak” odpowiedziało 37 proc. Polaków); czy przekazałeś pieniądze orga-

nizacji charytatywnej? (28 proc.); czy poświęciłeś czas na wolontariat? (11 proc.). W ogólnej klasyfikacji wygrali Amerykanie, przed mieszkańcami Mjanmy (d. Birma), Nowej Zelandii, Australii i Irlandii; wysokie miejsca i najwyższe awanse odnotowali obywatele państw afrykańskich i azjatyckich. Polacy, dla odmiany, to jeden z największych spadków w rankingu szczodrości, który CAF, co roku, ogłasza już od dekady. © ŻYM

Balkańska porażka Unii Europejskiej



PIOTR OLEKSY

PRZYWÓDCY UNIJNI NIE WYRAZILI W MINIONYM tygodniu zgody na otwarcie negocjacji akcesyjnych z Albanią i Macedonią Północną, choć formalnie państwa te wypełniły stawiane im warunki, przede wszystkim dotyczące reformy wymiaru sprawiedliwości. Decyzję Unii zablokował jednak francuski prezydent, który uważa, że wszelkie rozmowy o rozszerzeniu Unii są możliwe dopiero po przezwyciężeniu kryzysu wewnętrznego we Wspólnocie.

Bez wątpienia spowoduje to ogromne rozgoryczenie wśród bałkańskich społeczeństw. Szczególnie dotyczy to Macedończyków, którzy w imię idei zbliżenia z Unią zgodzili się na historyczny kompromis w sporze z Grecją o nazwę swojego państwa. Macedoński premier stara się teraz dokonać „ucieczki do przodu” i zapowiada przyspieszone wybory parlamentarne na wiosnę. Zoran Zaew, który postawił wszystko na europejską kartę, liczy zapewne, że wyborcy uznają to za uczciwe podejście i pozwolą mu kontynuować rządy. Jest jednak wysoce prawdopodobne, że brak konkretnej unijnej oferty dla Bałkanów osłabi siły proeuropejskie w regionie i wzmocni pozycję ugrupowań, które szukają sojuszników w Rosji i Turcji. Długofalowo zmniejszy to wiarygodność i możliwości oddziaływania Unii w swoim sąsiedztwie.

Wizja odbudowy granicy między Irlandią a Irlandią Północną spowodowała, że wróciło widmo tamtejszego konfliktu, i przypomniała Europejczykom, jak ważną rolę odgrywa Unia w zapobieganiu wojnom w Europie. Szkoda, że Emmanuel Macron nie myśli o tym w kontekście regionu, który dwie dekady temu zatrwazał brutalnością konfliktów etnicznych. ©

LICZBA TYGODNIA

400

mld dolarów rocznie – żywność o takiej wartości co roku ulega zniszczeniu lub przeterminowaniu, zanim trafi do sklepów.

KULTURA W SKRÓCIE

SZAPOCZNIKOW

W nowojorskim oddziale jednej z najbardziej wpływowych galerii Hauser & Wirth od 2 października będzie można zobaczyć wystawę poświęconą Alinie Szapocznikow. „Stworzone w jednym z najtrudniejszych okresów XX wieku giętkie zmysłowe rzeźby Szapocznikow są pełne emocji, niepokojące. Niezaprzeczalne w wyrażaniu kobiecych przeżyć, w tym śmiertelnej choroby. Prace Szapocznikow są dziś niezwykle ważne” – napisali organizatorzy wystawy.



FABRICE GOUSSET / HAUSER & WIRTH

BUTENKO

Zmarł jeden z najbardziej znanych i nagradzanych polskich grafików i ilustratorów. Autor komiksów i książek, projektant lalek i dekoracji dla teatrów lalkowych oraz scenografii do Kabaretu Starszych Panów, a przede wszystkim twórca Gapiszona, Panny Kreszczki oraz Gućia i Cezara. Więcej o Bohdanie Butence pisze Wojciech Bonowicz w felietonie (patrz s. 57).

GOSPODINOW

I KACZOROWSKI

„Trudno pisać o smutku, ale to też powieść o empatii. Bo jeśli literatura wnosi coś dobrego, to właśnie empatię” – mówił autor „Fizyki smutku” Georgi Gospodinow, odbierając Literacką Nagrodę Europy Środkowej „Angelus”. Kapituła wyróżniła także tłumaczkę powieści Magdalenę Pytlak. Z kolei Aleksander Kaczorowski otrzymał Górnośląską Nagrodę Literacką „Juliusz” za książkę „Ota Pavel. Pod powierzchnią”. Wyróżnienie, którego fundatorem jest miasto Rybnik, zostało wręczone po raz czwarty.

Ekonomiczny Nobel za konkrety



RAFAŁ WOŚ

PRZEZ CAŁE LATA TZW. NOBEL Z EKONOMII był filarem utwierdzającym hegemonię neoliberalnego myślenia, a nagroda trafiała do ekonomistów, którzy prześcigali się w pokazywaniu, jak wspaniałym mechanizmem jest wolny rynek. Po kryzysie 2008 r. tu też zawitały nowe wiatry. Tegoroczną nagrodą podzielili się: będący małżeństwem Hindus Abhijit Banerjee i Francuzka Esther Duflo oraz Michael Kremer.

Doceniono ich badania nad problemem biedy na świecie. Innowacyjność podejścia wyróżnionego tria polega na tym, że zamiast tworzyć uniwersalny zestaw środków zaradczych, postawili na eksperymenty. Dotąd dominowało przekonanie, że na pytanie: „Dlaczego w tak wielu krajach

tak wiele dzieci mimo otrzymania podstawowej edukacji nie ma podstawowych kompetencji pozwalających na wydzwignięcie się z biedy?”, da się odpowiedzieć jednym hasłem, np.: budujemy szkoły w Afryce. Banerjee, Duflo i Kremer uważają jednak, że pytanie trzeba rozbić na kilka bardziej konkretnych. Czy nie jest tak, że dzieci są zbyt głodne, by się uczyć? Czy problemem nie jest brak nauczycieli? Czy metody nauczania są dopasowane do poziomu uczniów? Odpowiedzi trzeba szukać w praktyce i dopiero na tej podstawie projektować pomoc.

Proste? Dla wielu ekonomistów i organizacji pomocowych działających przez lata wedle zasady „wiemy lepiej, czego wam potrzeba” – przełomowe. ©P

ZNAKOMITY TYDZIEŃ miał polski kontratenor Jakub Józef Orliński. W zeszłą niedzielę w Berlinie odebrał prestiżową nagrodę Opus Klassik w kategorii solista wokalny, by już dwa dni później dostać kolejną, tym razem w Londynie, gdzie otrzymał Gramophone Classical Music Award w kategorii młody artysta roku. W sierpniu Dorota Kosińska antycypowała fenomen Polaka, pisząc na naszych łamach: „Ktoś oznajmia, że śpiewak jest uosobieniem greckiego ideału kalokagatii, czyli połączenia dobra i piękna. Ktoś nazywa go darem niebios”. Cały jej tekst pod adresem powszech.net/orlinski



FELIPE TRUEBA / EPA / PAP

Nowe przygody Genjiego

NAJSTARSZA ZNANA NAM POWIEŚĆ stała się odrobinę dłuższa. W Tokio odnaleziono fragment „Opowieści o Księciu Promienistym” – klasycznego dzieła napisanego przez damę dworu Murasaki Shikibu na początku XI w. Oryginalny rękopis Shikibu nie dotrwał do naszych czasów, najstarsze wersje opowieści (teraz już z 5 z 54 rozdziałów) znamy z kopii żyjącego na przełomie XI i XII w. poety i kaligrafa Teiki Fujiwary.

„Opowieść o Księciu Promienistym” to psychologiczno-obyczajowa powieść ukazująca życie (głównie romanse i intrygi) księcia Hikaru

Genjiego na tle arystokratycznych zwyczajów epoki Heian (794-1185). Tekst powstał w czasie rozpowszechniania się w Japonii utworów tworzonych przez kobiety, a sama „Opowieść...” była niezwykle popularna wśród arystokratek. Damy dworu nie tylko odwoływały się do niej w pamiętnikach – także przepisywały, uzupełniając ją i przerabiając, tworząc najprawdopodobniej pierwsze w historii *fan fiction*. Kolejne losy Genjiego były tematem rozmów, szarad i konkursów, sprawdzających znajomość dzieła.

„Opowieść o Księciu Promienistym” została kilka razy sfilmowana, powstało też wiele inspirowanych historią Genjiego animacji.

©P MONIKA OCHĘDOWSKA

TP

OLGA TOKARCZUK BĘDZIE GOŚCIEM CONRAD FESTIVAL

Mamy szczęście do noblistek: jak w poprzednich latach Herta Müller i Swietłana Aleksijewicz, także w tym roku na naszym festiwalu zagości laureatka Literackiej Nagrody Nobla. Spotkanie z Olgą Tokarczuk odbędzie się w sobotę, 26 października, więcej szczegółów na stronie internetowej „TP”.



ROBERT ŚLUSZNAK / CONRAD FESTIVAL.PL

WSPINACZKA NA PIRAMIDĘ

Że jest chora, to wiadomo.
Ale co właściwie jej dolega i jak to leczyć?
Oto diagnoza polskiej ochrony zdrowia.

TEKST **MACIEJ MÜLLER** ILUSTRACJE **JOANNA RUSINEK**

MASZ DWA DNI NA WYCIECZKĘ PO STANACH Zjednoczonych. Które miejscy wybierzesz, by móc potem powiedzieć: znam USA? Nowy Jork, Chicago? Przelot choćby nad Teksasem? Do Kalifornii nie dotrzesz, a w kierunku parku Yellowstone nawet nie spojrzysz.

Podobnie karkołomne jest wyjaśnianie problemów polskiego systemu ochrony zdrowia. Nie wystarczy ani artykuł, ani 300-stronicowa książka. I łatwo przekroczyć zasadę Einsteina: „wszystko upraszczać jak tylko można, ale nie bardziej”.

W tej niepełnej i punktowej wycieczce po systemie pomoże nam pani Emilia. 50-latką, która od kilku tygodni odczuwa dotkliwe bóle brzucha, cierpi na biegunkę i chudnie. Chociaż jest postacią wymyśloną, to zbudowaną z opowieści lekarzy i pacjentów i wszystko, przez co przejdzie, wydarzyłoby się naprawdę.

Pani Emilia właśnie zapisała się do lekarza rodzinnego. Zadzwoiła do rejestracji i dostała termin za dwa dni. Długo? Podstawowa Opieka Zdrowotna to w zasadzie jedyny element państwowego systemu, do którego można się dostać tak szybko. Góra dwa tygodnie, często nawet tego samego dnia.

Sprawy klamkowe

Założenia systemu opartego na powszechnym ubezpieczeniu zdrowotnym

– a takie zaczęły dominować w Europie drugiej połowy XX wieku – są piękne i przejrzyste. Ma on kształt piramidy, a jego podstawę stanowi lekarz pierwszego kontaktu. W Polsce ten segment to właśnie POZ, a dominują w nim – czy raczej powinni dominować, bo jest ich wciąż za mało – lekarze rodzinni. To specjalizacja uniwersalna (dawniej mówiło się o medycynie ogólnej), zawierająca elementy wielu innych. Bo lekarz POZ powinien i zajrzeć do ucha, i zmierzyć ciśnienie, i zszyć rozcięcie. Otacza opieką wszystkie grupy wiekowe, od dzieci po ludzi starszych. Najlepiej, jeśli – zgodnie z nazwą – prowadzi całą rodzinę. Wie wtedy, że 40-latką, który prowadzi siedzący tryb życia, warto namówić na kolonoskopię, bo jego ojciec miał nowotwór jelita.

Zaufanie do lekarzy rodzinnych wzrasta. – Widzę to po liczbie spraw, które nazywamy klamkowymi – mówi młoda lekarka rodzinna z kilkusobowej przychodni POZ w Małopolsce. – Pacjent już wychodzi, chwyta za klamkę, ale obraca się i mówi: „pani doktor, bo ja jeszcze chciałem o jedną rzecz spytać...”. I tu wychodzi główny powód, dla którego w ogóle przyszedł.

Niemniej wielu rodziców wciąż woli, by ich dziećmi zajęli się pediatrzy, a nimi samymi interniści (bo lekarze tych →





→ specjalizacji również pracują w POZ). Eksperci mówią, że to echo systemu działającego przed reformami Buzka, kiedy to pacjent musiał sam szukać sobie lekarza, więc leczył się głównie u specjalistów.

Na poziomie POZ powinno się rozwiązywać nawet 80 proc. problemów zdrowotnych społeczeństwa. Lekarz musi jednak rozpoznać poważnie chorych i skierować ich na któryś z wyższych segmentów: pod opiekę specjalisty bądź do szpitala.

I na tym skończymy opis piramidy systemowej, ponieważ istnieje ona tylko w założeniach. POZ trudno dzisiaj nazwać podstawą systemu.

Schody

Panią Emilię po godzinie spędzonej w kolejce przed gabinetem przyjmuje lekarz. Założmy, że sezon grypowy dopiero się zaczyna, doktor nie musi przyjmować tego dnia 40 pacjentów, więc może poświęcić każdemu nawet 15 minut – choć w większości i tak spędzonych na wklepywaniu w komputer dokumentacji dla NFZ. Przeprowadza wywiad i kieruje panią Emilię na podstawowe badania krwi i moczu. Na tym etapie system jeszcze nie jest zatkany, więc pacjentka po tygodniu wraca z kompletem wyników. Lekarz stwierdza niski poziom hemoglobiny. „Anemia. Musi pani wykonać szczególną diagnostykę” – mówi.

I tu zaczynają się schody. Bo lekarz rodzinny nie ma uprawnień, by wysłać pacjenta na wszystkie potrzebne badania.

Może to zrobić odpowiedni specjalista (kardiolog, endokrynolog, gastroenterolog itp.) – do którego pacjent otrzyma w POZ skierowanie.

Do specjalisty czeka się nawet kilka miesięcy. Potem trzeba się zakolejkować na samo badanie. A następnie: znowu do specjalisty, już z wynikami.

Szatkowanie

171,9 mln – tyle porad udzielili pacjentom w 2018 r. lekarze POZ. Specjaliści: 116,3 mln. Pani Emilii, jeśli by poszła tylko do jednego specjalisty po skierowanie na jedno badanie, udzielono by 4 lub 5 świadczeń (w zależności od tego, czy wróciłaby do POZ) już tylko na tym etapie przygody z systemem. Te wielomilionowe liczby biorą się z faktu, że opieka nad pacjentem jest niesłyszanie poszatkowana.

Efektom szatkowania są rosnące kolejki. Lekarze rodzinni utyskują, że do mediów trafiają spektakularne i dramatyczne historie ludzi z rakiem czy udarem, a nie mówi się o pacjentach czekających po pół roku na usunięcie pęcherzyka żółciowego i cierpiących na nawracające zapalenia. Cała Polska mówiła o przeszczepieniu twarzy przez ekipę chirurga prof. Adama Maciejewskiego, mało kto wie, że później ten pacjent, człowiek niezamożny, nie miał dostępu do refundowanej przez NFZ rehabilitacji.

Do pierwszego ze specjalistów, gastroenterologa, pani Emilii udaje się dostać

już po pięciu tygodniach: ma wyjątkowe szczęście, kilku pacjentów zrezygnowało z wizyty i zgłosiło to do przychodni (w Polsce to rzadkie zachowanie). Lekarz wysyła ją na badania, potem studiuje wyniki w jej obecności. I coś tłumaczy, ale głównie za pomocą 5-6-sylabowych wyrazów. Pani Emilia jest spięta, boi się dopytywać, pan doktor taki zajęty. Wraca do POZ (może tam jej wyjaśnią, o co chodzi?), ale nie potrafi powtórzyć, co dokładnie mówił specjalista.

– Głównym problemem nie jest nawet finansowanie czy kiepskie regulacje, ale brak komunikacji między lekarzami. Jedynym nośnikiem informacji, siłą rzeczy nieprofesjonalnym, jest sam pacjent – mówi lekarka POZ. – Specjalista na ogół nie przekazuje mi prawie żadnych informacji na temat wysłanego do niego pacjenta. Czasem dostajemy lakoniczną karteczkę z kodem choroby ICD 10 i zapisanymi lekami. Ale jeśli pacjent ją zgubi – to przepadło.

O ile w ogóle pacjent do POZ wróci, bo specjalista może go po prostu przejąć. Ze względu na sposób finansowania systemu jest to korzystne dla wszystkich: specjalista jest opłacany przez NFZ za każdą wizytę (więc opłaca mu się mnożyć ich liczbę, np. tylko w celu przedłużenia recepty), a POZ – z tzw. stawki kapitałowej. Obecnie to prawie 160 zł rocznie na zapisanego pacjenta, w przypadku osób starszych czy cierpiących na niektóre choroby przewlekłe stawka jest wyższa. Tak czy inaczej: w POZ nie opłaca

Polska to Chory Kraj

POD TAKIM HASŁEM od września 2019 r. Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie wspólnie z samorządami farmaceutów, diagnostów laboratoryjnych, fizjoterapeutów i pielęgniarów, a także środowisk pacjentów – prowadzi akcję wzywającą do reform systemu. „Każdego roku nowotwory są przyczyną śmierci około 100 tys. Polaków, a dostęp do leczenia raka jest na jednym z najniższych poziomów w Unii Europejskiej. Średni czas oczekiwania na wizytę u endo-

krynologa wynosi 24 miesiące, w kolejce do kardiologa dziecięcego czekamy 12 miesięcy. Na 1000 mieszkańców Polski przypada średnio 2,4 lekarza – to najmniej w całej UE, gdzie średnia wynosi 3,8” – czytamy w opublikowanym manifestie (można go poprzeć na stronie polskatochorykraj.pl).

Manifest wymienia sześć kroków koniecznych do poprawy sytuacji pacjentów:

1) Osiągnięcie minimalnych publicznych nakładów na system ochrony zdrowia nie

mniejszych niż 6,8% PKB do końca roku 2021 oraz 9% PKB do końca 2030 r. (w tym roku środki publiczne wydane na ochronę zdrowia przekraczają 100 mld zł);

2) Stworzenie wspólnego Ministerstwa Zdrowia i Polityki Społecznej;

3) Podjęcie działań prowadzących do osiągnięcia średnich wskaźników długości i jakości życia oraz wyleczalności z powodu chorób nowotworowych i sercowo-naczyniowych co najmniej na poziomie średniej Unii Europejskiej nie później niż do 2024 r. („nie godzimy się na fakt, że za zachodnią

granica tę samą chorobę można wyleczyć, a u nas jest się skazanym na śmierć”);

4) Wprowadzenie maksymalnego czasu oczekiwania na pomoc lekarską lub badanie medyczne, określonego przez naukowców i lekarzy zajmujących się konkretnym zagadnieniem zdrowotnym;

5) Zabezpieczenie miejsc opieki długoterminowej i geriatryi poprzez osiągnięcie średnich wskaźników UE do 2024 r.;

6) Znacznie wyższy standard profilaktyki dziecięcej, bo „dziś leczymy zbyt wiele chorób, którym można było zapobiec”.

się mnożyć wizyt, a *de facto* – w ogóle leczyć. Od NFZ gabinet nie dostanie z tego tytułu ani grosza więcej.

Skutek uboczny jest taki, że lekarz POZ, który w założeniu miał być koordynatorem leczenia i przewodnikiem po systemie, traci kontrolę nad swoim pacjentem, nie wie nawet, u ilu specjalistów ten się leczy i czy nie dochodzi np. do przepisywania leków, których interakcja może być niebezpieczna.

Zapobiec temu mogłaby kompletna informatyzacja systemu. Ale do jej końca jeszcze długa droga.

Stos skierowań

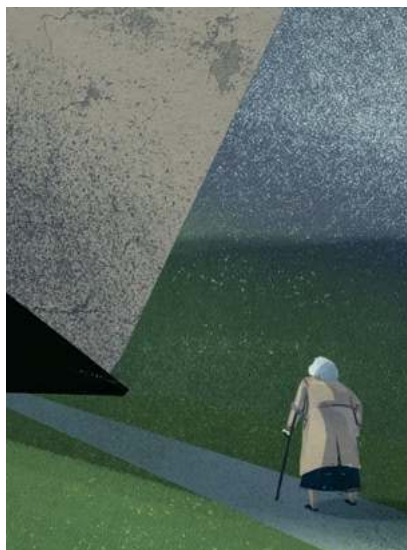
W ten sposób z podstawy do wyższego piętra przepływa coraz więcej pacjentów, a piramida zaczyna stawać na czubku. Lekarzom rodzinnym często nie brakuje kompetencji do prowadzenia przewlekłych chorób (choć i takie przypadki nietrudno wskazać), lecz albo się to nie opłaca przychodni, w której pracują, albo utrudniają to regulacje.

– Trudno nam opiekować się np. chorym z nadciśnieniem pierwszego stopnia, bo nie mamy możliwości, by skierować go na holter ciśnieniowy – mówi lekarka POZ. – Takie badanie może zlecić jedynie kardiolog. Tylko czy pacjent do nas wróci?

Kardiologowi może się to nie opłacać, bo – jak powiedzieliśmy, NFZ płaci mu za każdą wizytę pacjenta, po drugiej, przejmuje pacjenta „prostego”. Powiększającego kolejkę, w której powinni się znajdować raczej nadciśnieniowcy z drugim i trzecim stopniem choroby. Specjalista, zamiast służyć konsultacją w sprawach skomplikowanych, przejmuje obowiązki lekarza rodzinnego. A rodzinny, zamiast leczyć, prowadzi często biuro wypisywania zaświadczeń i skierowań.

Tymczasem pani Emilia krąży ze skierowaniami po poradniach specjalistycznych i szpitalach. Musi zrobić gastroskopię, kolonoskopię, USG i badania w kierunku chorób zakaźnych. Stoi w kolejkach kilka miesięcy. Diagnoza: nieswoiste zapalenie jelita grubego.

Dr Maciej Biardzki poznał ochronę zdrowia z wielu punktów widzenia, pracując w NFZ i w zarządach szpitali. Dzisiaj jest szeregowym lekarzem rodzinnym na Dolnym Śląsku. Opowiada o sytuacjach jeszcze bardziej zagmatwanych.



– Specjalista odsyła do mnie pacjenta, który już wystąpił się w jego kolejce, z uwagą, że na skierowaniu, które wypisałem, było tylko jedno rozpoznanie, a on znalazł kolejną rzecz... Więc potrzebne jest kolejne skierowanie, obejmujące oba rozpoznania – mówi. – Pal sześć, że ja mam więcej papierkowej roboty. Biedny jest pacjent, który będzie ponownie stał w kolejce do tego specjalisty. Opóźni to diagnozę i leczenie.

Częściej dochodzi do sytuacji, w której specjalista odsyła pacjenta do POZ w celu wykonania potrzebnych badań diagnostycznych, żeby oszczędzić własną pulę przeznaczoną na ten cel. Rodzinni czują się traktowani jak sekretarki, tym bar-

dziej że specjaliści lubią zarzucać im braki w kompetencjach medycznych („Nie daj sobie nigdy wycinać żadnych znamion w POZ” – słyszę w gabinecie dermatologa; inna sprawa, że lekarz rodzinny zajmowałby się tzw. małą chirurgią wyłącznie dla własnej satysfakcji, bo NFZ by do tego nie dokładał).

Z nielogicznego systemu wynikają racjonalne z punktu widzenia finansowego zachowania lekarzy. A że nie ma to sensu medycznego – coś poradzić. System skonstruowano nie z myślą o pacjencie, ale o rozliczeniach płatnika, czyli NFZ. A NFZ nie widzi pacjenta, tylko kolejne świadczenia.

System kształtuje też postawy pacjentów. Lekarze półzartem dzielą tych roszczeniowych na „bomisie” i „jatyłki”: ci pierwsi posługują się argumentacją „bo mi się należy”, drudzy próbują się wbić w kolejkę mówiąc: „ja tylko po skierowanie”.

Pani Emilia dostaje od lekarza rodzinnego skierowanie do gastroenterologa. Ale ma dość kolejek. Idzie prywatnie: czeka tydzień zamiast trzech miesięcy. Specjalista wysyła ją na tomografię i przepisuje leki. Ale okazują się nietrafione, trzeba je zmieniać. To zwiłokrotnia liczbę wizyt – płatnych, bo jesteśmy tu poza systemem NFZ – i drenuje oszczędności pani Emilii.

Mało tego: specjalista nie podpisał z Funduszem umowy na wypisywanie recept refundowanych, może je wystawiać jedynie na 100 proc. Pani Emilia chodzi

→

Opieka koordynowana

ODWROTNOŚCIĄ systemu

„poszatowanego” jest opieka koordynowana, czyli płacenie nie za poszczególne świadczenia, tylko za cały proces opieki nad pacjentem – od diagnozy, przez leczenie po rehabilitację. Świadczeniodawcy w takim systemie łączą się w konsorcja obejmujące opiekę POZ i specjalistyczną, a w niektórych przypadkach także szpitalną. Opieka koordynowana redukuje zbędne świadczenia i skracą kolejki; minusem jest to, że pacjent na ogół nie ma możliwości wyboru specjalisty

czy szpitala, ale idzie do tego, z którym współpracuje lekarz POZ (tutaj: realny koordynator leczenia). W Polsce od 2017 r. funkcjonuje program rocznej opieki koordynowanej nad pacjentem po zawale; uczestniczy w nim 57 placówek. Lekarze, którzy przekonywali decydentów do jego wdrożenia, argumentowali, że pacjenci po zawale mają utrudniony dostęp do porad kardiologicznych i rehabilitacji: np. tylko co drugi pacjent w ciągu roku po wyjściu ze szpitala był konsultowany przez kardiologa. Częściowe statystyki dowodzą, że ryzyko zgonu u pacjentów objętych programem jest o ponad 30 proc. mniejsze niż u do pacjentów spoza niego.

→ więc do POZ – czekając oczywiście w kolejkach – by je „przepisywać”.

Na tomograf nie mogę

Postulowano już wiele reform mających zachęcić POZ do zatrzymywania i prowadzenia pacjentów. Np. nagradzać wyższą stawką za realizację wyznaczanych przez NFZ czy resort zdrowia celów zdrowotnych. Służy też temu wspomniane zwiększanie stawki kapitałowej za prowadzenie niektórych grup pacjentów (np. z cukrzycą czy starszych niż 40 lat). Z kolei ograniczeniem kolejek służyłoby współpłacenie pacjentów, np. w wymiarze 5 zł za wizytę w POZ. Według części ekspertów ograniczyłoby to liczbę ludzi przychodzących do poradni raczej ze względów społecznych niż medycznych: by się spotkać i porozmawiać. Inni wskazują, że to uderzenie w konstytucyjną zasadę równości w dostępie do leczenia, a rykoszetem dostaliby głównie ludzie starsi. Żadna władza nie odważy się tu eksperymentować.

Problem leży też w ograniczeniu lekarzom rodzinnym zakresu badań, na które mogą skierować. Co stoi za tym posunięciem?

– Kiedy wprowadzano POZ-y, lekarze rodzinni zrzeszeni w Porozumieniu Zielonogórskim uznali, że państwo przeznaczyło niedostateczne środki na ten segment. Wobec tego starali się ograniczyć liczbę obowiązków – tłumaczy Maciej Biardzki. – W rezultacie nie mogę skierować pacjenta np. na tomograf, wysyłam go do specjalisty i dopiero on może wypisać to skierowanie. Pacjent stoi w dwóch kolejkach, a przecież chodzi o badania, które powinny być wykonane szybko. Potem trzeba czekać jeszcze na opis, bo brakuje radiologów.

Dziś szef przychodni ustala lekarzom limity na badania i konsultacje, a jeśli go przekroczą, pomniejszone zostanie ich wynagrodzenie.

– Tymczasem pule pieniędzy na wynagrodzenia lekarzy i na badania diagnostyczne czy konsultacje specjalistyczne powinny być oddzielone. Gabinety nie powinny zwiększać swojego przychodu ze środków przeznaczonych na diagnostykę – uważa Maciej Biardzki. I wskazuje rozwiązanie znane choćby z Wielkiej Brytanii, gdzie *general practitioner*, czyli tamtejszy lekarz rodzinny, dysponuje wydzielonym budżetem na konsultacje specjalistyczne i badania diagno-

Ubezpieczenia dodatkowe

ICH WPROWADZENIE to jedna z propozycji naprawy systemu i zmniejszenia kolejek. Problem stanowi tu zawartość koszyka świadczeń gwarantowanych, a więc opłacanych ze składki zdrowotnej; w Polsce zawiera on praktycznie wszystkie wykonywane świadczenia (a postulat jego ograniczenia oznacza polityczne samobójstwo). Nie ma więc przestrzeni dla ubezpieczeń dodatkowych. Konstytucyjna zasada równości w dostępie do opieki zdrowotnej nie pozwala natomiast oferować polis od czekania w kolejce po świadczenie „koszykowe”. Pewnym wyjściem są tzw. ubezpieczenia suplementarne, dotyczące świadczeń powyżej standardu świadczeń „koszykowych” (np. operacja laparoskopowa zamiast klasycznego cięcia). Problem w tym, że polski koszyk opisu takich standardów nie zawiera.



styczne. To pieniądze znaczone, których nie da się oszczędzić.

– Taki system ogranicza, wbrew obawom NFZ, wykonywanie badań nieuzasadnionych, a więc sprzyja skracaniu kolejek – mówi Biardzki.

Oddział nie tylko ratunkowy

Rodzinni konsekwentnie od lat walczą o zwiększanie finansowania swoich gabinetów – i poszerzanie zakresu badań, na jakie mogą kierować. Jeszcze kilka lat temu nie mogli wypisywać skierowań na spirometrię, co uniemożliwiał im prowadzenie pacjentów z astmą. Dzisiaj nie mogą skierować m.in. na echo serca, serologię czy na stwierdzenie obecności wirusa HIV.

– Ostatnio przyszła do mnie 80-letnia kobieta, która całą poprzednią noc spędziła w kościele na adoracji, klęcząc – mówi lekarka POZ. – Bardzo bolała ją noga. Wszystko wskazywało na zakrzepicę, tylko że nie mogłam jej skierować na USG naczyn. Mogłam jej bez tego przepisać heparynę, ale po pierwsze, wcześniej powinienam oznaczyć kreatyninę (wynik byłby dopiero za dwa dni), a po drugie nie jest jasne, czy gdybym wypisała bez badania receptę refundowaną, NFZ by jej nie podważył. Pewnie wy-

broniłabym się, ale wolałam wysłać pacjentkę na Szpitalny Oddział Ratunkowy. Tak jest przecież.

SOR to oddział z założenia mający zapewnić szybką pomoc najbardziej potrzebującym. W polskiej zakolejkowanej rzeczywistości stał się wentylem bezpieczeństwa. Często: jedyną możliwością wykonania w rozsądnym terminie badań diagnostycznych. Lekarze z SOR-u uważają często, że rodzi się zapychają im poczekalnie pacjentami, którzy nie są, medycznie rzecz ujmując, w „stanach nagłych”, nie wymagają ratunku.

– To nie takie proste – tłumaczy lekarka POZ. – Dla mojej 80-latki nawet kilkudniowe chodzenie po specjalistach i brak szybkiego rozpoczęcia leczenia oznaczałoby ryzyko zatorowości płucnej. To wcale nie jest tak, że mrugamy do pacjenta i przedstawiamy sprytny sposób ominięcia kolejek. Dajemy mu na SOR skierowanie, w którym wyjaśniamy, dlaczego jego stan oceniamy jako zagrożenie życia. Ja często dodaję od siebie, dlaczego proszę o jakieś badanie, np. „pacjent z dysfunkcją chodu, samotny, ma trudności w zrozumieniu zaleceń. Proszę o wykluczenie zatorowości płucnej”. Decydujemy się na to, jeśli zwykła droga zajęłaby wiele tygodni, a pacjent wymaga szybkiej diagnozy.



Pieniądze potrzebne już

MACIEJ PIRÓG, LEKARZ, BYŁY WICEMINISTER ZDROWIA:

Rząd tłumaczy, że stopniowo podnosi nakłady, bo nagły wzrost środków spowodowałby marnotrawstwo. To bzdury.

MAŁGORZATA SOLECKA: Mamy to! Jest wzrost nakładów na zdrowie.

MACIEJ PIRÓG: Spektakularny. Szkoda, że tylko na papierze.

Przypomnijmy: dwa lata temu Sejm uchwalił ustawę, w której zapisano, że w 2025 r. nakłady publiczne na ochronę zdrowia wyniosą 6 proc. PKB. W 2017 r. było to 4,5 proc. Co roku nakłady mają wzrastać o ok. 0,3 punktu procentowego.

W ubiegłym roku mieliśmy wydać na zdrowie 4,67 proc. PKB. Wydaliśmy jednak 4,42 proc. Zdecydował zabieg ministra finansów, którym w 2017 r. był Mateusz Morawiecki. Jego resort długo blokował prace nad tą ustawą, co pamiętam z obrad zespołu ds. usług publicznych Rady Dialogu Społecznego. Jesienią 2017 r., gdy rezydenci głodowali, walcząc o wzrost finansowania zdrowia do 6,8 proc. PKB, rząd uznał, że blokowanie ustawy nie opłaca się politycznie. Ale przed jej zaakceptowaniem całkowicie wypaczono jej sens.

Media cytowały fragment opinii Ministerstwa Finansów, że ustawa nie powinna rodzić skutków finansowych dla budżetu przed 2020 rokiem.

Ministerstwo dopięło swego. Zmieniono metodologię obliczania relacji wydatków na zdrowie względem PKB. Zapisano, że bieżące wydatki będą zestawiane z PKB sprzed dwóch lat. To powoduje, że ani w tym roku, ani w przyszłym do osiągnięcia ustawowych poziomów nie będą potrzebne pieniądze z budżetu, wystarczy wzrost składki zdrowotnej. Biorąc pod uwagę, jak bardzo niedoinwestowany mamy system, musi niepokoić, że ciągle gonimy króliczka, zamiast go złapać.

Minister zdrowia mówi, że przeciwnie – króliczek został złapany. Nakłady rosną, bo mamy wiele miliardów więcej w budżecie NFZ.

To ciągle jest 4,5-4,6 proc. PKB. Były już lata, kiedy wydawaliśmy „nawet” 4,7 proc. PKB. Jesteśmy, mimo ustawy, dokładnie w tym samym miejscu. A w 2024 r., jeśli nie zmieni się metodologia liczenia wskaźnika, zamiast 6 proc. PKB będziemy na zdrowie wydawać około 5,5-5,6 proc.

I to przy optymistycznym założeniu, że zwiększanie nakładów nie ustąpi innemu priorytetowi lub nie zostanie wstrzymane, gdy przyjdzie kryzys. Tymczasem kilka dni przed wyborami przedstawiciele komitetów wyborczych podpisali „Pakt dla zdrowia”. Mają popierać wzrost nakładów do 7 proc. PKB w 2030 r.

PiS może zacierać ręce, bo to jest dokładnie przekaz rządu. Stopniowo podnosimy nakłady, a nagły wzrost środków w systemie spowodowałby marnotrawstwo. To bzdury. Pieniądze są potrzebne tu i teraz, nie za pięć, nie za jedenaście lat!

My już w tej chwili powinniśmy wydawać te realne 6 proc. PKB. Po pierwsze dlatego, że mamy za sobą dekady zaniedbań. Ochrona zdrowia jest niedoinwestowana, a nowoczesne technologie niedostępne albo dostępne w ograniczonym stopniu. Po drugie, nasze PKB ciągle jest wyraźnie niższe, i to nie tylko od niemieckiego, ale i czeskiego. Po trzecie, bo udział wydatków prywatnych w Polsce jest wyższy niż w krajach, do których poziomu aspirujemy. Powinniśmy zwiększać nakłady publiczne, żeby zatrzymać wzrost wydatków z kieszeni pacjenta w obecnej formie, np. za wizytę u specjalisty. Takie świadczenia powinny być dostępne w ramach publicznej ochrony zdrowia.

Przez pięć lat budżet NFZ zwiększył się o 30 mld zł – przekonuje minister zdrowia.

To prawda. Pieniądzy jest rzeczywiście więcej. Ale to naturalny wzrost, wynikający z rozwijającej się gospodarki i coraz

Podróż bez końca

Panią Emilię zostawiamy przed drzwiami gastroenterologa pracującego na NFZ: po kilku miesiącach doczekała się wizyty. Prywatnie płaciła za każdym razem 180 zł: to nie na kieszeń osoby pracującej w budżetówce. Za chwilę będzie musiała prezentować specjalistę stos dokumentacji medycznej i relacjonować cały dotychczasowy przebieg diagnozowania i leczenia.

Co potem? Być może lekarz będzie walczył o włączenie pani Emilii do programu lekowego (najdroższe terapie są refundowane tylko w takich ramach).

Kryteria kwalifikacji do programów są bardzo restrykcyjne: eksperci wskazują na takie absurdalności jak „niewystarczająco poważna postać choroby”. Jeśli leczenie farmakologiczne nie przyniesie skutków, być może pani Emilia będzie musiała się zoperować.

Jej gehenna z systemem będzie trwała do końca życia: nawet po udanym leczeniu powinna już zawsze pozostawać pod opieką gastroenterologa.

Daj Boże, by na NFZ.

© P MACIEJ MÜLLER

→ wyższych wynagrodzeń. To jedna strona medalu. Po drugiej stronie są koszty – które rosną w jeszcze większym tempie.

Dlaczego?

W ochronie zdrowia przez wiele lat płace były bardzo niskie. Kiedy okazało się, że NFZ dysponuje trochę większymi pieniędzmi, pojawiły się żądania płacowe. Jeszcze za rządu PO-PSL o swoje upominały się pielęgniarki, którym prof. Marian Zembala, minister zdrowia w 2015 r., przyznał specjalne „4x400”. Potem po pieniądze zgłosili się lekarze, ponownie pielęgniarki, ratownicy... Tymczasem związki wywalczyły ustawę o wynagrodzeniach minimalnych dla pracowników ochrony zdrowia, a rząd hojnie podwyższa płacę minimalną. I dziś, gdy minister pokazuje wzrost finansowania, dyrektorzy szpitali wiedzą, że te pieniądze już dawno zostały wydane. Nie na świadczenia czy poprawę dostępności – tylko na płace.

To chyba dobrze, że wynagrodzenia rosną?

To byłoby wspaniałe – gdyby były na to pieniądze. Jeśli minister ukrywa informacje o zadłużeniu szpitali w 2019 r. i jednocześnie mówi, że nawet jeśli ono wzrosło, to dlatego, że trzeba było zadbać o kadry, to coś jest nie w porządku. Każdy dyrektor publicznej placówki doskonale wie, co to jest dyscyplina finansów. Najwyraźniej minister zdrowia nie chce wiedzieć.

Jeśli system wymusza wyższe płace bez zagwarantowania dodatkowych pieniędzy, to oznacza, że zakłada się, albo przynajmniej dopuszcza, ograniczenie jakości lub liczby świadczeń – czyli ich dostępności. I to poniekąd się dzieje. Właśnie dlatego kilka razy w tygodniu słysząc informacje o zawieszanych czy zamykanych oddziałach. Ministerstwo przez nieprzebrane decyzje doprowadziło też do powstania chorego rynku pracownika. Są szpitale, które wydają na pensje 70 proc. swoich przychodów, a i tak dyrektor zмага się z kolejnymi żądaniami płacowymi. To chyba najlepszy dowód, że sytuacja nie jest normalna.

Jak do tego doszło?

Dużo mówi się o podwyżkach, które minister ustalił z pielęgniarkami czy lekarzami. Ale są też inne decyzje, np. dotyczące wymagań, jakie muszą spełnić oddziały czy szpitale, by móc podpisać umowę z NFZ. W niektórych specjal-

Minister zdrowia pokazuje wzrost finansowania, a dyrektorzy szpitali wiedzą, że te pieniądze już dawno zostały wydane.

Na płace.

nościach, np. w radioterapii, to one wywindowały wynagrodzenia do granic absurdu. I przyczyniły się do fikcji – w niektórych placówkach nie pracują specjaliści, tylko ich pieczętki. Ważne, żeby papiery się zgadzały.

Inny przykład to rozporządzenie w sprawie norm zatrudnienia pielęgniarek. Czy normy są potrzebne? Być może tak. Czy są potrzebne w takiej formie i teraz, gdy pielęgniarok mamy o połowę mniej niż unijna średnia, a przepisy blokują zróżnicowanie ich liczby w przeliczeniu na łóżka ze względu na rodzaj oddziału, na jakim pracują? Wprowadzenie norm z jednej strony podrożyło pracę pielęgniarek, z drugiej – znów doprowadziło do fikcji. Bo dyrektorzy wykazują w papierach likwidację łóżek, a w rzeczywistości – pojawiają się „dostawki”. Których normy nie obejmują.

I pojawia się pytanie o jakość.

O ustawę o jakości w ochronie zdrowia, którą PiS obiecał na początku swoich rządów. Byłoby to najlepsze miejsce do wpisania takich rozwiązań, jak normy zatrudnienia.

I wskazania źródeł finansowania.

No tak. Zbyt często do projektów ustaw Ministerstwo Zdrowia wpisywało, że zmiany będą bezkosztowe. Poniekąd można to zrozumieć. Gdyby ustawa niosła za sobą koszty, zwłaszcza takie, które musiałby ponieść budżet państwa, Ministerstwo Finansów zablokowałoby takie rozwiązanie.

To długa historia: minister finansów kontra ochrona zdrowia. Już Leszek Balcerowicz, wicepremier i minister finansów w rządzie Jerzego Buzka, sprzeciwił się składce zdrowotnej na poziomie 11 proc. W wyniku długich targów między AWS a Unią Wolności

ustalono „kompromis” – 7,5 proc.

Z takim poziomem finansowania wystartowały Kasy Chorych i szybko okazało się, że to mało.

Trudno z perspektywy 20 lat bronić tamtej decyzji, ale można spróbować ją zrozumieć. Balcerowicz, podobnie jak wielu ministrów finansów, wychodził z założenia, że system ochrony zdrowia przyjmie każde pieniądze bez widocznego efektu. Pamiętajmy też, że Balcerowicz nie ściął wydatków na zdrowie. On ich nie zwiększył, choć jednocześnie przeprowadził dużą operację oddłużenia – państwo wzięło na siebie długi szpitali i spłaciło też zadłużenie wobec aptek.

Składka jednak była mała. W 2000 r. jej podwyższenie o 0,25 punktu procentowego wywalczyła minister Franciszka Cegielska. Po dwóch latach Sejm podjął decyzję o kroczącym wzroście składki – o 0,25 punktu procentowego, aż do osiągnięcia 9 proc.

To była odważna decyzja, choć nie rozwiązująca problemu. Pieniądzy nadal jest za mało, a próby rozmowy o tym – choćby między organizacjami pracodawców, związkami zawodowymi i rządem – kończą się zawsze tym samym: nie ma możliwości podniesienia składki zdrowotnej, żadna partia, która chce wygrać kolejne wybory, tego nie robi.

Dlatego pojawiają się pomysły alternatywne. PSL proponował przesunięcie części składki rentowej do budżetu NFZ. Koalicja Obywatelska – przeznaczenie na ochronę zdrowia akcyzy z alkoholu i papierosów.

Akcyza na używki powinna wzrosnąć, bo i papierosy, i alkohol są w Polsce za tanie. Natomiast zasada, że ci, co palą i piją, dokładają się do zdrowia, jest moralnie wątpliwa. To nie są zachowania propaństwowe i patriotyczne, tylko szkodliwe. Akcyza powinna trafiać do budżetu państwa i być mądrze wydawana. Również na zdrowie, ale na pewno nie wprost. Natomiast pomysł z przesunięciem części składki rentowej czy funduszu chorobowego na potrzeby NFZ nie jest zły. Ani nowy – mówił o nim prof. Zbigniew Religa. Wtedy się niestety nie udało.

Pieniądzy w systemie jest za mało, ale to nie jest polska specyfika. Proszę zajrzeć do niemieckich mediów: Kasy Chorych zadłużone na miliardy euro. Brytyjskie

gazety alarmują o deficycie National Health Service. Czesi od czasu do czasu piszą, że ubezpieczyciele się zadłużają.

A w Polsce NFZ kwitnie.

Właśnie. Przyjęliśmy absurdalne rozwiązanie, które całość odpowiedzialności finansowej przerzuca na świadczeniodawców. NFZ wychodzi na zero albo wręcz ma nadwyżki. Szpitale toną w długach. Państwo nie poczuwa się do odpowiedzialności. Gdyby zadłużony był publiczny płatnik, musiałoby się poczuwać.

To pozwala podejmować decyzje bez liczenia się z konsekwencjami. Pakiet onkologiczny rządu PO-PSL, choć rozwiązał część problemów pacjentów, zadłużył szpitale. Wcześniej w szpitalu wysokospecjalistyczne uderzyły tzw. Jednorodne Grupy Pacjentów. I nie chodzi o bojówki niezadowolonych chorych...

...tylko o sposób rozliczania świadczeń. Upraszczając: wcześniej NFZ płacił szpitalowi za każdą wykonaną procedurę; każda była inaczej wyceniona. Wprowadzenie JPG oznaczało, że procedury zostały pogrupowane, a ich koszt – uśredniony.

Gdy rząd wprowadzał JPG, Pan był dyrektorem Centrum Zdrowia Dziecka. Szpital właśnie wyszedł na prostą, długi zostały spłacone.

I wtedy zmieniły się reguły. Rozliczenia według JPG to świetne rozwiązanie, które dobrze by się przysłużyło ochronie zdrowia, na pewno zracjonalizowałyby



KRZYSZTOF ZULCZKOWSKI / FORUM

MACIEJ PIRÓG jest dyrektorem Kliniki Budzik, doradcą Konfederacji Lewiatan, byłym wiceministrem zdrowia w rządzie Jerzego Buzka i byłym wieloletnim dyrektorem Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie.

koszty, gdyby politycy chcieli słuchać ekspertów. Podczas prac nad ustawą o releksję prosił ich ówczesny prezes NFZ Jacek Paszkiewicz. Przestrzegał, że to rozwiązanie musi mieć wbudowanych kilka bezpieczników, chroniących jednostki wysokospecjalistyczne. Rząd, Sejm i Senat wyjęli je wszystkie.

Co to oznaczało dla szpitala takiego jak CZD?

Że za dużą część świadczeń Centrum otrzymywało takie same pieniądze, jak szpital powiatowy. To mił, że do CZD nie trafiają dzieci z zapaleniem płuc. Trafiają i najczęściej są obciążone innymi chorobami, często złożonymi. Leczenie zapalenia płuc u dziecka z nowotworem czy padaczką lekooporną nie kosztuje tyle samo, co u dziecka bez innych obciąż-

zeń. Każdy, kto ma trochę wyobraźni, jest w stanie to pojąć, jednak nie nasi decydenci. A gdy jeszcze weźmie się pod uwagę, że NFZ rozliczał leczenie tylko jednej choroby w tym samym czasie...

Z naszych wyliczeń wynikało, że szpitale wysokospecjalistyczne, szczególnie pediatryczne, powinny mieć w ramach JPG wycenę podwyższoną o ok. 10 proc., żeby mogły myśleć o spięciu budżetu.

Nie miały. I co się stało?

Zadłużenie zaczęło lawinowo rosnąć. Pojawiły się problemy z pieniędzmi dla dostawców, na wypłaty. I zaczęliśmy korzystać z pożyczek pozabankowych.

Przeczytałam wiele interpelacji, w których doświadczeni posłowie pytają ministra zdrowia, dlaczego szpitale zadłużają się w firmach pożyczkowych, a nie w bankach.

Cóż powiedzieć. Moje wizyty w bankach, w których starałem się o kredyt dla CZD, przebiegały w miłej atmosferze. Nawet odmowy, z jakimi się zawsze spotykałem, były bardzo uprzejme. Myślę, że wielu moich kolegów dyrektorów miało za sobą w tamtym czasie równie miłe doświadczenia. Wielu ma je w tej chwili, bo szpitale znów muszą się zapożyczać w parabankach.

Mimo że NFZ rośnie w finansową siłę?

Mimo to. Szpitalom, pracownikom ochrony zdrowia, pacjentom wcale nie żyje się dostatniej.

© Rozmawiała MAŁGORZATA SOLECKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziwiał-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Sukot i Kohelet*



TORA I TRADYCJA ŚCIŚLE ŁĄCZĄ ŚWIĘTO Sukot (obchodziliśmy je w zeszłym tygodniu) z wyjściem z Egiptu. Jest to święto pielgrzymie – wierni niegdyś udawali się do Świątyni w Jerozolimie – a razem było to święto plonów. Po dziś dzień

buduje się „suki”, czyli imitujące namioty pomieszczenia z przewiewnych materiałów, dach jest prawie otwarty, tak by można było oglądać nocą gwiazdy. Każdego dnia zaproszeni są symbolicznie kolejni ojcowie judaizmu: Abraham, Izaak, Jakub, Józef, Mojżesz, Aaron, Dawid. Pamiętany jest nakaz potrząsania czterema gatunkami roślin, z których każdy reprezentuje inny typ żydów. Pełnię żydowskiego bycia reprezentuje etrog, aromatyczny soczysty owoc (np. cytryna czy pomarańcza). Liturgię ośmiodniową kończy taneczne święto Radość Tory i zaczyna się kolejny cykl czytania Pięcioksięgu.

Na każde święto jest inna księga zwojów do przeczytania. Na Sukot, radosne święto, o dziwo sięgamy po Koheleta medytującego nad marnością ludzkiego żywota. Dlaczego? Jest kilka na to odpowiedzi. Pierwsza zawiera się w słowach z drugiego rozdziału Księgi: „Powiedziałem sobie: idź, naley sobie w radości i używaj tego, co dobre, ale i to marność” (w tłumaczeniu Anny Kamieńskiej). Kohelet chce prostego szczęścia i wesołości, ale stawia nam ich granice. Nie bardzo wiemy, dlaczego mamy na Sukot nie przekraczać miary zadowolenia, ale być może chodzi o to, by nigdy, nawet w radości, nie zapominać o Stworzycielu. Inną odpowiedź podsuwa połączenie święta z wizją czasu. Kohelet pisze o czasie poruszającym się po kole, o czasie stale powracającym. „Pokolenie przemija, pokolenie przychodzi, a ziemia trwa nieporuszona. Wschodzi słońce, i zachodzi słońce, i dąży do miejsca swego, aby tam świecić. Odchodzi na południe i obraca się na zachód, obraca się, obraca się, odchodzi wiatr i wraca wiatr do swych okolic”.

Jest jeszcze jeden, być może najważniejszy powód, a wiąże się z micwą hakel, zgromadzeniem raz na siedem lat ludu i czytaniem Księgi Powtórzonego Prawa właśnie na Sukot. Kohelet to właśnie ten, który zwraca się do zgromadzenia ludu. Jest to dzień wyjątkowo ważny, bo tego dnia odnowione zostaje Przymierze z całym narodem, *am Israel*. Naród jako całość ma podlegać prawu i jeśli go nie wypełni, spadną nań kary niezależnie od tego, jak byli sprawiedliwi poszczególni jego członkowie. Zapewne kara na nich spadnie w innym świecie, który nadejdzie (nie ma o nim mowy w Torze). Kohelet uzupełnia niejako przesłanie Pięcioksięgu, mówiąc: „I myślałem w głębi serca, że sprawiedliwy i złoczyńca będzie sądzony przez Boga, bo każde działanie ma swój kres i każdy czyn” (Koh 3, 17). Czytajmy Koheleta w święto Sukot, choć słusznie i dobrze jest czytać stale, bez oglądania się na uroczyste okazje.

©

O. WACŁAW

Oszajca: *Zachwyceni sobą*



„DWÓCH LUDZI WESZŁO DO ŚWIĄTYNI, ABY się modlić: jeden był faryzeuszem, a drugi celnikiem. Faryzeusz skupiony na sobie tak się modlił: »Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie: zdybcy, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, albo jak ten celnik. Poszczę dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam«. Celnik natomiast stał z daleka i nie śmiał nawet oczu podnieść ku niebu, ale bił się w piersi, mówiąc: »Boże, bądź miłosierny dla mnie, grzesznego«. Mówię wam: ten odszedł do domu usprawiedliwiony, nie tamten. Bo każdy, kto się wywyższa, będzie ponizony; a kto się unia, będzie wywyższony”.

Faryzeusz nie kłamał. Naprawdę był człowiekiem pobożnym, wiele czasu i pieniędzy stracił dla ludzi i Boga. Miał się czym szczycić. W tym przekonaniu utwierdzała faryzeusza opinia publiczna. Natomiast celnik był postrzegany jako kolaborant i oszust. Łukasz poprzedza tę przypowieść komentarzem, że Jezus opowiedział ją tym, „którzy byli przekonani o swej sprawiedliwości, a innymi gardzili”. Gdzie indziej Jezus powiedział jeszcze, że „są ostatni, którzy będą pierwszymi, i są pierwsi, którzy będą ostatnimi”. Wielu egzegetów uważa, że ta właśnie sentencja stanowi istotę Dobrej Nowiny.

Przypowieściowy faryzeusz (bo nie wszyscy) jest człowiekiem zapatrzonym w siebie, sobą zachwyconym, a jednocześnie niepewnym swojego szczęścia. Porównuje siebie z innymi i znieść nie może, że inni mają coś, czego on nie ma. Z zazdrości oczernia innych, by na ich tle, przynajmniej we własnych oczach, wypaść na lepszego – i to go gubi.

Nie zawsze jednak ci, którzy uważają siebie za doskonałych, zaraz muszą być ludźmi zepsutymi czy, jak mówi papież Franciszek, fałszywie siebie oceniającymi. Mogą być wśród nich tacy, którzy grzeszą jakby niewinnie, uważając własną doskonałość za jedynie prawdziwą, za szczyt ludzkich możliwości i jedynie słuszne kryterium oceny innych. Tymczasem w Ewangelii Marka czytamy, jak to pewnego razu do Jezusa „przybiegł pewien człowiek i padając przed Nim na kolana zapytał: »Nauczycielu dobry, co mam robić, aby osiągnąć życie wieczne?«. Jezus mu odrzekł: »Czemu nazywasz Mnie dobrym? Nikt nie jest dobry, tylko jeden Bóg«”. Dlatego Syracyles mówi: „nie staraj się Go przekupić, nie przyjmie daru, nie pokładaj nadziei w niesprawiedliwej ofercie, bo Pan jest jedynym sędzią i nie ma On względu na osobę”.

Mówiąc inaczej, nie próbuj wysługiwać się Bogiem. Błogosławiona Zdenka Schelingová radzi: „Swe ubóstwo i słabość musimy również miłować. Starajmy się być jak najdalej od tego, co się błyszczący, kochajmy swoją małość. W smutkach zachowujmy spokój, przeciecz Jezus nas odnajdzie i przetworzy w płomieniach swojej miłości”.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Obezwładnianie Ewangelii

Wielki jest umysł,
który wyzbył się
namiętności,
ma dystans do rzeczy
i pozostaje w Bogu.

TALAZJUSZ Z LIBII



W gniewie
nic nie mówić
i nie czynić.

PITAGORAS



Wybrał PIOTR SIKORA



PRZYWOŁYWANE JUŻ TU pytanie św. Pawła VI, zadane w „Ewangelii nuntiandi”, „Jak to się stało, że obezwładniliśmy Ewangelię?”, wróciło do mnie przy następującej Ewangelii: „Jezus powiedział do faryzeuszów i do uczonych w Prawie: Biada wam, ponieważ budujecie pomniki prorokom, a wasi ojcowie ich zamordowali. (...) Biada wam, uczonym w Prawie, bo wzięliście klucze poznania; sami nie weszliście, a przeszkodziliście tym, co wejść chcieli. Gdy wyszedł stamtąd, uczeni w Prawie i faryzeusze zaczęli gwałtownie nastawać na Niego i wypytywać Go o wiele rzeczy. Czyhali przy tym, żeby Go pochwycić na jakimś słowie” (Łk 11, 47-54). W powyższym tekście można wskazać trzy (a nawet cztery) mechanizmy myślenia i działania zdolne zastępować dynamizm Ewangelii.

Pierwszy to redukcja pamięci o męczennikach i prorokach do wybudowania pomnika. „Postawiliśmy pomnik” – ma oznaczać: pamiętamy ich czyn i słowa; wartości, które głosili, i za które oddali życie. Pogłębialiśmy ich rozumienie. Kontynuujemy i pomnażamy! Czy na pewno? Co lepiej i dalej popycha dzieje Ewangelii: widok kolejnego pomnika Jana Pawła II czy kolejna lektura „Redemptor hominis”?

Drugi to redukowanie Objawienia do prawa pojmowanego wyłącznie jako zbiór zakazów – odnośne zdanie brzmi w dosłownym tłumaczeniu: „sami nie weszliście, a tym, co wejść chcieli – zabroniliście” (greckie: *kolyo*; św. Hieronim tłumaczy tu: *prohibuistis*). Tego nie wolno! Tego nie

dotykaj! Pamiętam np. z historii inkwizycji zakaz czytania Pisma Świętego w przekładach na języki narodowe: kobietom w ogóle nie wolno czytać Biblii; mężczyznom – poza kilkoma pobożnymi wyjątkami – również; duchowni powinni czytać Biblię po łacinie; a jeśli nie rozumieją, to niech się nauczą.

Redukcja trzecia: fascynacja kluczami. „Wzięliście klucze poznania, a nie weszliście”. Czy klucze nie są po to, by otworzyć drzwi i przekroczyć ich próg? Jezus mówi: poznanie/wiedza jest jedynie kluczem. Potrzebujesz go, by otworzyć przed sobą świętą Rzeczywistość Boga. I wejść w doświadczenie.

My tymczasem przekaz wiary redukujemy do przekazu abstrakcyjnych pojęć: dbamy o przyswojenie sobie precyzyjnych definicji, wynikań i pojęć. Znajomość nazw wszystkich Ksiąg składających się na Kanon Biblijny nie musi się przekładać na pasję słuchania Żywego Słowa Boga; wiedza o rodzajach modlitwy sama w sobie nie czyni jeszcze nikogo człowiekiem modlitwy. Ukończone z wyróżnieniem studia z teologii pastoralnej nie muszą się wcale przełożyć na świadectwo. Rzeczywistość jest ważniejsza niż idee – powtarza wielokrotnie Franciszek.

Do tych trzech redukcji dochodzi nierzadko czwarty problem: agresja w stosunku do każdego (i próba wykazania błędu każdemu), kto nam ową trójkę postawi przed oczyma: „zaczęli gwałtownie nastawać na Niego...”. A przecież On z miłością mówił to do nich; a także do wszystkich, którym mieli na mocy swego powołania służyć. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (27 X – 3 XI)

30. niedziela zwykła: Syr 35, 12-14, 16-18;
Ps 34; 2 Tm 4, 6-9, 16-18; Łk 18, 9-14;
Poniedziałek: Ef 2, 19-22; Ps 19; Łk 6, 12-19;
Wtorek: Rz 8, 18-25; Ps 126; Łk 13, 18-21;
Środa: Rz 8, 26-30; Ps 13; Łk 13, 22-30;
Czwartek: Rz 8, 31b-39; Ps 109; Łk 13, 31-35;

Piątek, Wszystkich Świętych: Ap 7, 2-4, 9-14;
Ps 24; 1 J 3, 1-3; Mt 5, 1-12a;
Sobota: Hi 19, 1, 23-27a; Ps 27; 1 Kor 15, 20-24a, 25-28; Łk 23, 44-46, 50, 52-53; 24, 1-6a;
31. niedziela zwykła: Mdr 11, 22 – 12, 2;
Ps 145; 2 Tes 1, 11 – 2, 2; Łk 19, 1-10.

UTRAPIENIA PREZESA

Gdyby spojrzeć na wyniki wyborów
oczami Jarosława Kaczyńskiego,
to okaże się, że radości jest niewiele,
za to trosk co niemiara.
A najtrudniejsze dopiero przed nim.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

SUWEREN ZABRAŁ GŁOS, SPRAWA ZAMKNIĘTA – taką parafrazą kościelnego powiedzenia można zazwyczaj podsumować wynik wyborów. Tym razem jest inaczej. Wyborczy wyrok suwerena nie kończy przegrupowania na scenie politycznej. On dopiero je otwiera.

No bo spójrzmy. Wbrew pozorom, wcale nie jest tak, że PiS może rządzić samodzielnie. Sojusznicze partie Zbigniewa Ziobry i Jarosława Gowina się wzmocniły i szachują Kaczyńskiego tym, że bez nich nie ma większości. Nie udało się zorać z PSL ani zrobić putinowskich wariatów z nacjonalistycznej Konfederacji. Obie formacje nie tylko weszły do Sejmu, ale

bardzo się wzmocniły, także finansowo. Do tego prezesowska pycha została ukarana, bo część znanych, kontrowersyjnych i brutalnych polityków PiS niespodziewanie przegrało wybory, a inni ledwo przeczłgali się przez próg.

Wieszczyć końca hegemonii PiS nie ma sensu. Ale powiedzieć, że partia władzy dostała zadyszki, można jak najbardziej.

Żeby była jasność – PiS odniósł w wyborach duży sukces. Nigdy nikomu nie udało się wygrać wyborów samodzielnie – a Kaczyński dokonał tego drugi raz z rzędu. W tym sensie PiS stał się partią masową, która jest w stanie zdobyć

i utrzymać poparcie ponad 40 proc. aktywnych wyborców.

Czemu więc Kaczyński nie otwiera szampana? Czemu nie kroi tortu, najlepiej w kształcie sejmowej sali plenarnej? Czemu narzeka, że PiS zasługuje na więcej? Ano dlatego, że to zwycięstwo spełnia wiele przesłanek zwycięstwa pyrrusowego.

Sukces kosztował dużo

Przed wszystkim kosztowało naprawdę dużo. Obóz władzy położył na szali wszystkie aktywa. Kaczyński i Morawiecki odbyli wielomiesięczne tournée po Polsce, bardzo aktywni byli członko-



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Warszawa, 13 września 2019 r.

wie rządu i walczący o mandaty kandydaci. Masa billboardów, reklam, efektowne konwencje – to wszystko kosztowało dziesiątki milionów z partyjnej kasy. Szczodre obietnice i wprowadzone w kampanii programy – 500 plus na pierwsze dziecko, obietnica 13. i 14. emerytury – to z kolei żywa, liczona w miliardach gotówka z państwowej skątki. Do tego obietnice wyższych dopłat dla rolników (z budżetu UE) oraz drastycznego podniesienia płacy minimalnej (na rachunek przedsiębiorców). Wszystko podbudowane refrenem o spełnianiu obietnic, wiarygodności i dotrzymywaniu słowa.

Dlatego nadzieje były ogromne. Liderzy PiS liczyli na ok. 270 mandatów, może nawet o kilka więcej, by móc odrzucać prezydenckie weto (276). Jeżeli z takimi oczekiwaniami prezes przyjeżdżał na wieczór wyborczy na Nowogrodzką, to nie ma się co dziwić, że po ogłoszeniu wyników miał kwaśną minę.

Tak, w liczbach są rekordy. Nikt nigdy w wyborach do Sejmu nie dostał ponad 43 proc. poparcia. Tak, to wzrost o 6 punktów w porównaniu z wynikiem PiS sprzed 4 lat. Tak, to rekordowe ponad 8 mln głosów, czyli partii Kaczyńskiego przybyło w ciągu kadencji niemal 2,5 mln wyborców.

Tylko cóż z tego? Mobilizacja elektoratu antypisowskiego – we wszelkich jego odcieniach – doprowadziła do zniwelowania tego sukcesu. Rekordowa od trzech dekad frekwencja i liczba partii, które weszły do Sejmu, wraz z zapisanymi w ordynacji zasadami przeliczania wyników – wszystko to doprowadziło do tego, że obóz władzy uzyskał ledwie 235 miejsc w Sejmie. Wszystkie tłuste obietnice, brutalna propaganda TVP, cały zapal działaczy, straszenie złodziejami z Platformy i dewiantami spod szyldu LGBT+ pozwoliły zaledwie zachować *status quo*.

Choć nie. Stan rzeczy został zmieniony, i to zasadniczo.

Prezes stracił panowanie

Kaczyński przestał niepodzielnie panować nad sceną polityczną, i nie chodzi wyłącznie o utratę kontroli nad Senatem. Opozycja dokonała tu niemożliwego – zwycięzca sejmowy zawsze miał w izbie wyższej jeszcze lepszy wynik z racji obowiązywania ordynacji jednomandatowej, faworyzującej duże ugrupowania. To jednak bardziej osobisty sukces mocnych kandydatów opozycji niż Koalicji Obywatelskiej jako formacji politycznej. Szefostwo Koalicji – w praktyce Grzegorz Schetyna – poza powtarzaniem zaklęć o wadze wyborów senackich nie zrobiło w kampanii nic, aby te słowa przekuć w czyny. Mandatów opozycji przysporzyli lokalni kandydaci. Doszło do sytuacji bez precedensu – do Senatu wystartowali wieloletni włodarze miast, związani z opozycją. Wadim Tyszkiewicz, przez ostatnie 17 lat prezydent Nowej Soli, czy Zygmunt Frankiewicz – aż przez 26 lat prezydent Gliwic – rok po wygraniu swych miejskich prezydentur zrezy-

gnowali z nich dla foteli szeregowych senatorów. Podobnie zrobił popularny w elektoracie antypisowskim młody poseł Krzysztof Brejza. Do tego opozycja osiągnęła niemal w całym kraju porozumienie w sprawie wystawienia wspólnych kandydatów. Dlatego często wyborcy dostawali na senackiej karcie tylko dwa nazwiska – z PiS i z opozycji. Ten plebiscyt władza minimalnie przegrała.

Co prawda PiS zdobyło 48 na 100 mandatów, ale Platforma 43, PSL 3, a SLD 2.

Większość dają opozycji trzej senatorowie niezależni, którzy są kojarzeni z Platformą. Poza Tyszkiewiczem to był szef NIK i minister sprawiedliwości z PO Krzysztof Kwiatkowski oraz Stanisław Gawłowski, człowiek Schetyny, były wiceminister środowiska w rządzie Platformy.

PiS kusi senatorów

Oczywiście, Senat nie ma możliwości blokowania ustaw sejmowych. Ale może je przez miesiąc poprawiać, co znacznie wydłuża prace. W ten sposób niemożliwe byłyby sytuacje – jakże częste w mijającej kadencji – gdy PiS w ciągu jednego lub kilku dni przeprowadzał kontrowersyjne ustawy przez parlament.

Senat da także opozycji prawo zatwierdzenia nowego Rzecznika Praw Obywatelskich, bo znany z krytyki PiS Adam Bodnar za rok kończy kadencję. Do tego wyznaczy swoich nominatów do Krajowej Rady Sądownictwa i Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. No i zatwierdzi wybór szefa NIK, co jest kłopotliwe dla PiS w razie, gdyby trzeba było wybrać następcę bohatera afery sutenerskiej Mariana Banasia. Ale najważniejsze jest to, że bez zgody Senatu nie da się zmienić Konstytucji.

Z przywiązywaniem wagi do Senatu należy jednak poczekać, bo PiS prowadzi szeroko zakrojoną akcję werbunkową – próbuje przekupić stanowiskami kilku senatorów opozycji. Korupcja polityczna? Ależ tak. Czy to godne i etyczne? Nie. Ale nie jest też nielegalne.

Dlatego wśród świeżo upieczonych senatorów jest nerwowo. Co jakiś czas słychać publiczne deklaracje, takie jak Jana Filipa Libickiego z PSL, który kiedyś był w PiS („Ja się nie dam przekupić”). Są i tacy, którzy – jak Tomasz Grodzki z PO – wprost przyznają: już u mnie byli („Byłem pytany o chęć zostania ministrem zdrowia. Uważam się za człowieka przyzwoitego, więc grzecznie odmówiłem”). →

⇒ Senat jest rzeczywiście w tej kadencji wyjątkowy, jeśli chodzi o potęgę opozycyjnych osobowości. Ale mimo to łowy mogą się PiS udać. Bo, jak to zwykle, jest też grupka senatorów nowych, których pokusa nadania swej karierze szybkości światła może być kusząca. A światłem w polskiej polityce wciąż steruje Kaczyński.

Przejęcie kontroli nad Senatem – czyli wybranie jego władz – nie będzie więc dla opozycji łatwe. Swą grę zaczął już prowadzić Krzysztof Kwiatkowski. Polityk, która ma proces o ustawianie konkursów w NIK i był dla PiS jednym z symboli zgnilizny czasów PO, zaczął publicznie wysyłać do obozu władzy sygnały o swej skłonności negocjacyjnej. Oczywiście, wiele w tym charakterystycznej dla niego megalomanii – chce się stać języczkiem u wagi, wynegocjować dla siebie stanowisko i przywileje, do których przywykł w ministerstwie i w NIK. Choć z drugiej strony, Kwiatkowski wytrwał w NIK mimo zarzutów karnych także dlatego, że wpuścił do władz tej instytucji nominatów PiS, w tym Małgorzatę Motylow, koleżankę Marty Kaczyńskiej, i syna przegranej właśnie posłanki Anny Sobeckiej.

Ziobro się rozbrykał

Nawet jeśli Senat uda się skorumpować i podporządkować, to wciąż lista kłopotów, które suweren przysporzył Kaczyńskiemu, jest spora. Na pierwszy rzut oka to może wydawać się drobnostką, ale warto od niej zacząć tę litanię. Oto wyborcy głosujący na PiS pokazali czerwoną kartkę kilku wyrazistym, kontrowersyjnym politykom obozu władzy, na których w różnych obszarach opierał się Kaczyński.

Na konserwatywnym Podkarpaciu przepadł Stanisław Piotrowicz, w PRL prokurator, a ostatnio szef sejmowej Komisji Sprawiedliwości, który słynął z ekspresowego przepychania wszelkich ustaw przez Sejm. Z Torunia nie weszła Anna Sobecka, od lat bliska sercu szefa Radia Maryja, łącznik ojca dyrektora z partią władzy. Nie weszła Bernadeta Krynicka, która – sama majaca córkę z zespołem Downa – ubliżała rodzinom dzieci niepełnosprawnych, którzy w 2018 r. protestowali w Sejmie, domagając się zwiększenia świadczeń. W Krakowie ledwo wszedł szef klubu PiS, mistrz mieszania nonszalancji z arogancją, Ry-

Przejęcie kontroli nad Senatem **nie będzie dla opozycji łatwe.**

Kaczyński ma wiele narzędzi, by nowych senatorów skorumpować i podporządkować..

szard Terlecki. Nawet Jarosław Gowin nie błysnął – zdobył niespełna 16 tys. głosów, co jest jego najgorszym wynikiem, od kiedy kandyduje do Sejmu, czyli od 12 lat. Suweren dał prezesowi Kaczyńskiemu jasny sygnał – skończyły się czasy przyjmowania wszystkiego i wszystkich bezkrytycznie.

Decyzje wyborców PiS zasadniczo zmieniły układ sił w obozie władzy. W Zjednoczonej Prawicy dominuje PiS, ale swoje drobne udziały mają partie Ziobry i Jarosława Gowina. Po wyborach okazało się, że w 235-osobowym klubie ich ugrupowania mają po 18 posłów. Czyli PiS samodzielnie nie ma większości i stał się zakładnikiem dwóch kanapowych partii.

O ile Gowin ma ciche porozumienie z Morawieckim i wierzga umiarkowanie (na razie zapowiedział, że nie poprze podwyżek ZUS), to stronnicy Ziobry wręcz przeciwnie: brykają, aż miło. Morawiecki liczył, że przy wyniku na poziomie 270, a nawet 250 posłów uda mu się zmarginalizować Ziobrę. Ludzie ministra sprawiedliwości dostali marne miejsca na listach, jednak patron bardzo ich w kampanii wspomagał. To dało efekty – teoretycznie są w stanie nawet utworzyć w Sejmie własny klub, do czego wystarczy 15 posłów.

Przy 235 posłach – gdy obóz władzy ma nad opozycją przewagę zaledwie pięciu głosów – Morawiecki nie może rozprawić się z Ziobrą. Co więcej: Ziobro próbuje tę sytuację wykorzystać. Nie dość, że gra o posadę wicepremiera – przy zachowaniu teki ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego – to domaga się dodatkowych stanowisk dla swoich ludzi. Gra o drugie ministerstwo. Jednocześnie jego ludzie, ewidentnie do tego wyznaczeni, zaczynają przebąkiwać o potrzebie

rozmowy nad wymianą premiera. Mówił o tym w TVN 24 europoseł Patryk Jaki, potem idąc z podobną tezą do innych mediów dodawał, że premierem powinien zostać Kaczyński.

To oczywiście taktyka negocjacyjna, choć przy okazji wyszła na jaw nienawiść między głównymi graczami Zjednoczonej Prawicy. Ziobro podczas rozmów z tego – nierealistycznego – postulatu zrezygnuje. Ale przy okazji próbuje obsadzić premiera w roli odpowiedzialnego za słabszy wynik, czyli prezentuje Morawieckiego jako część problemu, nie zaś rozwiązania.

Koalicja władzy i pieniędzy

Rozstanie Ziobry z PiS nie wchodzi w grę – ten związek jest konsumowany władzą i pieniędzmi. Pisowcy straszą ziobrystów wyrzuceniem ich ludzi – w tym brata i żony Ziobry – z intratnych posad w spółkach skarbu państwa. Partia ministra sprawiedliwości nie ma innych źródeł dochodu dla swoich ludzi. W najbliższej kadencji PiS zainkasuje z budżetu w ramach subwencji dla partii politycznych niemal 100 mln zł, jednak Kaczyński nie podzieli się z Ziobrą i Gowinem, obawiając się właśnie tego, że będzie żywicielem pasożytów.

W PiS można usłyszeć, że partia na wszelki wypadek sonduje możliwość współpracy z PSL. To może być zagrywka na zdyscyplinowanie Ziobry, bo ludowcy kategorycznie zaprzeczają. – Możemy rozmawiać o sytuacji w Senacie. Do rządu z PiS na pewno nie wejdziemy – mówi mi jeden z kluczowych polityków PSL.

Faktem jest jednak, że PiS przestał mówić źle o PSL – to kolejny dowód na to, jak bolesne jest to sejmowe zwycięstwo. Wszak od czterech lat cała polityczna i propagandowa machina PiS zaprogramowana była na zniszczenie PSL, by przejąć cały elektorat rolniczy i wiejski. Kaczyński był przekonany, że tylko wówczas zyska gwarancje trwałych rządów na lata. Efekt jest taki, że ludowcy wyszli z tej wojny silniejsi – w 2015 r. ledwie przekroczyli 5 proc., dziś mają 8,5 proc.

Prezes lubi słowo „anihilacja”

Jarosław Kaczyński lubi słowo „anihilacja”, woli używać go w miejsce zniszczenia, unicestwienia, wdeptania w ziemię. W jego politycznej opowieści, przez 8 lat rządów anihilowany przez Platformę był

on sam i cały PiS. Jak widać, anihilacja ta okazała się nieskuteczna, skoro PiS rozpoczyna drugą kadencję.

Jeśli ktokolwiek używał narzędzi politycznej anihilacji, to Kaczyński na pewno był w czołówce. Chciał anihilować nie tylko PSL: przez kilkanaście lat anihilował zagrażające PiS partie prawicowe, wychodząc z założenia, że aby rządzić, musi być jedyną narodową prawicą w Sejmie. Ten plan właśnie runął – nie udało mu się anihilować Konfederacji.

To zlepek mniej lub bardziej nacjonalistycznych, czasem poważnych, czasem zupełnie niepoważnych ugrupowań prawicowych. Właśnie dlatego czy jako poważni prawicowcy, czy jako nacjonalistyczni happenery, politycy Konfederacji mogą napisać partii władzy sporo biedy – choćby zmuszając ją do walki o rząd dusz na prawicy. Aborcja, zwrot mienia żydowskiego, wyścig o sojusz z Kościołem – po raz pierwszy od ponad dekady Kaczyński będzie się musiał oglądać na prawo. A konfederatów nie będzie łatwo rozbić i przejąć. Politycy, którzy w większości latami żyli bez państwowych pieniędzy, wchodząc do Sejmu zapewnili sobie finansowanie na poziomie niemal 7 mln zł rocznie. Nic nie spaja polityków tak jak pieniądze.

Polisa prezesa Kurskiego

W PiS popularne jest przekonanie, że sukces Konfederacji to wina prezesa TVP Jacka Kurskiego, który formację tę brutalnie zwalczał w telewizyjnych programach. Podobnie ma być zresztą i z PSL. W PiS słyszy się, że wojna telewizji z LGBT+ doprowadziła do wzmocnienia elektoratu lewicy i jej powrotu do Sejmu po czterech latach banicji. Nie przypadkiem Kurski w wieczór wyborczy pojechał do siedziby PiS i zrobił sobie zdjęcie z Kaczyńskim. To jego polisa.

Zresztą robienie z Kurskiego głównego winowajcy pokazuje, że chętnych do wzięcia odpowiedzialności za zwycięską porażkę brak. Równie dobrze Konfederacji mogły pomóc jednoznacznie liberalne gospodarczo deklaracje jej liderów – wszak nawet ministrowie z PiS przyznają, że środowisko drobnych przedsiębiorców wystraszyło się podwyżki płacy minimalnej.

Czy Kurski atakując miłośników tęczy pomógł lewicy? Lewica raczej pomogła sobie sama. Wbrew pozorom, od poprzednich wyborów z 2015 r. elekto-

Jeśli Grzegorz Schetyna
straci stanowisko,
szef PiS **nie będzie miał
powodów do radości.**

Lider KO jest dla
Kaczyńskiego komfortowym
przeciwnikiem.

ratu lewicowego drastycznie nie przybyło. Wówczas SLD, startując z Ruchem Palikota, zdobył prawie 7,5 proc., a Razem – 3,5 proc. Wtedy żadne lewicowe ugrupowanie nie przekroczyło progu wyborczego. Tym razem po prostu liderzy lewicy złączyli i wystartowali z jednej listy. SLD, Wiosna i Razem dostały 12,5 proc.

Skarbczyk Czarzastego

Zjednoczona lewica to formacja różnorodna. Są tam zwolennicy adopcji dzieci przez pary homoseksualne, są entuzjaści jeszcze większej pomocy społecznej, są wreszcie miłośnicy PRL. Pełna paleta, której każdy odcień będzie dla PiS kłopotliwy – dlatego ten powrót do Sejmu to porażka obozu władzy.

Pamiętać należy jednak o jednym: SLD, Wiosna i Razem były dogadane tylko na wybory i na razie nie wiadomo, czy utworzą w Sejmie wspólny klub. Rozsypka lewicy byłaby PiS na rękę, szkopał w tym, że – znów tak jak w przypadku Konfederacji – kluczowe mogą się okazać pieniądze. Całą subwencję lewicy – 11,5 mln zł rocznie przez cztery lata kadencji – zainkasuje SLD, bo Wiosna i Razem startowały po prostu z list Sojuszu. Jedyną receptą obu partii na dostęp do skarbczyka Włodzimierza Czarzastego będzie sojusz z nim. Wiosna jest już do tego przekonana, u młodych lewicowców z Razem pozostają jeszcze resztki buntu.

Przegrał tylko Schetyna

Jedno, co Kaczyńskiemu wyszło, to pokonanie Platformy. Wybory potwierdziły głęboki kryzys PO. Partia nie potrafiła przedstawić atrakcyjnego programu, okazała się niezdolna do wywołania emocji. Panuje w niej marazm, przez co kampania była koszmarna – mówią o tym nawet

nowi posłowie. Choć wielu polityków PO – Bogdan Zdrojewski, Joanna Mucha, Julia Pitera – domaga się głowy Grzegorza Schetyny, on udaje zadowolonego z siebie. Jego stronnicy twierdzą, że ich sukcesem jest to, że opozycja dostała więcej głosów od PiS.

To prawda: Koalicja Obywatelska (PO i Nowoczesna) razem z lewicą i PSL dostały niemal 9 mln głosów, PiS zaś 8 milionów. Ale gdzie w wyniku lewicy czy ludowców sukces Schetyny? Koalicja Obywatelska jest jedyną formacją, która w tych wyborach wyraźnie przegrała – dostała o 4 punkty mniej niż PO i Nowoczesna startując oddzielnie cztery lata temu. To strata 32 mandatów.

Schetyna próbuje uciec do przodu, planując ogłoszenie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej kandydatką na prezydenta: kampanią prezydencką chce odwrócić uwagę od wyborów szefa PO, które powinny się odbyć na początku roku. Może zresztą pod tym pretekstem spróbuje je przełożyć?

Wygląda jednak na to, że po porażce Schetyny swe aktywa w PO zechce uruchomić Donald Tusk. Były ojciec założyciel Platformy wezwał publicznie do wystawienia takiego kandydata, który ma szansę pokonać Andrzeja Dudę. Zastrzegł, że nie mówi o sobie. Zasugerował też, że Kidawa nie ma na to szans. Nieoficjalnie spekuluje się, że Tusk rozpoczął akcję usuwania Schetyny po to, by PO poparła prezydencką kandydaturę Władysława Kosiniaka-Kamysza, polityka, który dobrze wypadł w sejmowej kampanii. W myśleniu Tuska elektorat Platformy przełknie każdego, kto ma szansę pokonać Dudę. A Kosiniak ma inne zalety – przyciągnie elektorat PSL i będzie w wyborach prezydenckich gryzł trawę.

A zatem może także słaby wynik PO wcale sukcesem Kaczyńskiego nie jest? Jeśli Grzegorz Schetyna straci stanowisko, szef PiS nie będzie miał powodów do radości. Schetyna jest niebywale wygodnym, wręcz komfortowym przeciwnikiem dla Kaczyńskiego.

Może się więc okazać, że choć Kaczyński wybory wygrał, to – jak mawiał Lech Wałęsa – więcej jest w tym plusów ujemnych aniżeli dodatnich.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

A kiedyś będzie tu polska Bawaria

DARIUSZ KAŁAN

Kandydaci opozycji rzadko się pojawiali na Podkarpaciu. Tak jakby uznali, że to ziemia stracona.

SCISK BYŁ TAKI, ŻE KIEDY URODZIŁ SIĘ Adaś, najmłodszy, wszystkie jego rzeczy zostały w kartonach. W pokoju, w którym musiało się zmieścić siedem osób, nie było miejsca na dodatkową szafę. Dopiero przed rokiem Anna Malinowska, mama Adasia, po kilku miesiącach spędzonych w mieszkaniu swojej matki przeniosła się do domu, który wraz z mężem zaczęła budować siedem lat temu. I – jak twierdzi – to nie byłoby możliwe bez Prawa i Sprawiedliwości.

Jest wiele rzeczy, za które Malinowska szanuje PiS, ale to, co od razu przełożyło się na poprawę jakości życia, to oczywiście 500 plus. Co miesiąc ona i jej mąż, pracownik domu kultury w Krośnie, dostają dodatkowe 2,5 tys. zł. Czyli trzecią pensję. – Odważyliśmy się wziąć kredyt w banku – mówi.

Malinowska, przedszkolanka z Jasienicy Rosielnej i matka pięciorga dzieci w wieku od półtora roku do dziesięciu lat, opowiada. – Wszystkie mają ciężkie alergie. Wiosną nie wolno im wychodzić na podwórko. Nie wolno otwierać okien ani suszyć prania na zewnątrz. Za pierwsze świadczenie kupiliśmy wentylację mechaniczną, żeby dzieci mogły w domu normalnie oddychać.

82,8 procent

Wtej wsi na Podkarpaciu, liczącej 2256 mieszkańców, Malinowska nie jest odosobniona w swoich politycznych sympatiach. W wyborach do parlamentu w całej gminie Jasienica Rosielna (około 8 tys. osób) PiS otrzymał jeden z najlepszych wyników w kraju (82,8 proc.). Z danych Państwowej Komisji Wyborczej wynika, że PiS wygrał tu wszystkie ostatnie wybory, otrzymując od 2011 r. poparcie na poziomie 71-88 proc.

Do Jasienicy nie jest łatwo się dostać. Z oddalonego o 45 km Rzeszowa, stolicy Podkarpacia, odchodzi tylko jeden PKS dziennie, o 15.40. Można też skorzystać z Marcela, czyli popularnego zielonego busa prywatnego, który dowiezie do sąsiedniego miasteczka Blizne. Potem trzeba liczyć na stopa albo przez prawie godzinę iść na piechotę.

Jedna długa ulica, szereg zadbanych domków, kilka sklepów spożywczych, park z XVIII wieku i zabytkowy kościół na wzgórzu – Jasienica Rosielna wygląda jak wiele miejscowości w Polsce. Jest też dobrym przykładem, jak PiS połączył dwa pozornie sprzeczne pomysły: wysokie świadczenia socjalne należące dotychczas do repertuaru lewicy oraz twardy konserwaryzm.

Malinowska przyznaje, że była zwolenniczką PiS-u, zanim wprowadzono 500 plus: – Skłaniają się ku wartościom chrześcijańskim i preferują normalny model rodziny. Z mężczyzną i kobietą, ojcem i matką. Bo ja jednak bym wolała, żeby dzieci wychowywały się w wartościach starych, że tak powiem, które robią się nagle niepopularne. Ale nie możemy się odcinać od korzeni, prawda? – głośno się zastanawia.

W miejscach takich jak Jasienica, gdzie dużo mówi się o wartościach i pielęgnuje pamięć o historii i bohaterach z przeszłości, strach związany z utratą tożsamości jest bardzo silny. Atrakcyjność takich polityków jak Jarosław Kaczyński polega na obietnicy, że ochronią małe społeczności przed wszystkimi niebezpieczeństwami współczesnego świata. A jest ich wiele.

Tym, co Kaczyński w odniesieniu do LGBT+ nazwał niedawno „niebezpieczną ofensywą ideologiczną”, można określić także migrantów i uchodźców, wprowadzenie euro czy skorumpowane liberalne

elity z Brukseli. Wszystko zależy od czasu i zapotrzebowania społecznego.

– Nie chcę, żeby ktoś uczył moje dziecko, przepraszam, onanizowania się. Sfera seksualna jest bardzo silna. Po co to podkreślać i pokazywać, przecież człowiek musi nad tym panować – mówi Malinowska, nawiązując do rozpowszechnianego przez media rządowe fałszywego obrazu społeczności LGBT+ jako potencjalnych pedofilów.

Zapytana, kto jej powiedział o lekacjach masturbacji, stwierdziła: – No, na przykład w Warszawie cały czas prezydent miasta chce to wprowadzić w szkołach. I w ogóle są takie tendencje, żeby nie wkładać dzieci w role konkretne, że mama sprząta, a tata naprawia. Żeby było wszystko odwrócone.

Malinowska upiera się, że szanuje homoseksualistów. Po prostu sprzeciwia się „wszystkim, którzy chcą zepchnąć na margines większość”. I dodaje: – PiS jednak trzyma się tych tradycyjnych wartości.

Jakie siły za tym stoją

Na pewno PiS trzyma się blisko Kościoła. – Podkarpacie, region z silnymi korzeniami chrześcijańsko-demokratycznymi sięgającymi okresu przedwojennego, wyraza na modelowy przykład sojuszu ołtarza z tronem – mówi Dominik Szczepański, politolog z Uniwersytetu Rzeszowskiego. W Rzeszowie plakaty PiS-u wi-





Jasienica Rosielska, wrzesień 2019 r.

siały na ogrodzeniu m.in. kościoła salety-
nów przy ulicy Dąbrowskiego. Politycy
angażują się w pielgrzymki, koncerty
i marsze kościelne. Posłanka Krystyna
Skowrońska otwarcie poprosiła o wspar-
cie proboszczów podkarpackich parafii.

– Ludzie czują, że region jest bastionem
konserwatyizmu, którego trzeba bronić
– twierdzi Szczepański.

Pytam księdza Krzysztofa Chudzia,
proboszcza z Jasienicy Rosielnej, czy opto-
wał za PiS z ambony. – Zajmuję się głósze-
niem Ewangelii. Nigdy nie ośmieliłbym
się powiedzieć ludziom, na kogo mają
głosować. Obraziłbym ich.

Twierdzi, że to pierwszy wywiad, na
jaki się zgodził.

Tradycyjne wartości, które pojawiają
się w każdej rozmowie z mieszkańcami
Jasienicy, według księdza Chudzia można
sprowadzić do motta: „Bóg, Honor, Ojczy-
zna”: – Pokazuje ono dumę z naszej wła-
snej tradycji i historii, ale także szacunek
do innych. Ale szacunku nie należy mie-
ścić z afirmacją.

– Nikt u nas nie zrobiłby krzywdy ge-
jowi – przekonuje. – Nawet jeśli manife-
stowałby swoją seksualność, nikt by go
nie pobił, zapewniam pana. Ludzie po
prostu by go ignorowali. Jednak moje
pytanie brzmi: jakie siły stoją za finanso-
waniem ruchu LGBT i dlaczego? Proszę
o tym pomyśleć.

Czy ksiądz Chudzio zna odpowiedź?
Wzrusza ramionami.

Dla Jerzego Tubka, właściciela warsz-
tatu stolarskiego i rzeźbiarza-amatora,
w jego decyzjach politycznych wartości
to „punkt zerowy, podstawa nie do nego-
cacji”. Ich brak automatycznie dyskwa-
lifikuje, dodaje, nawet jeśli ktoś propo-
nowałby „ekonomicznie rozsądne rze-
czy”. Tubek, sympatyk PiS-u, twierdzi, że
ostatnie propozycje, w tym podwyższe-
nie płacy minimalnej do 4 tys. zł brutto
w 2023 r., mogą mieć negatywny wpływ
na jego firmę. – Będzie boleć – przy-
znaje. – Ale jeśli wiesz, że ktoś wykorzy-
stuje twoje pieniądze w dobry sposób,
czemu nie? Demokracja to nie anarchia,
ktoś ją musi trzymać w garści.

Wyjście z biedy

Nic dziwnego, że Podkarpacie, część daw-
nej Galicji, z ponad 60 procentami tere-
nów rolniczych, wolniejszym rozwo-
jem gospodarczym, konserwatyzmem
i znacznym autorytetem Kościoła katolic-
kiego, znalazło swojego adwokata w PiS.
A to tak bardzo odrzuca wielu w Warsza-
wie i na zachodzie kraju. Nieraz padają
stwierdzenia, że mieszkańcy zostali ku-
pieni przez partię rządzącą i poddani pra-
niu mózgu przez hierarchów.

Dla Urszuli Brzuszek, wójta gminy
Jasienica Rosielna i członkini PiS-u, to
oznaka braku tolerancji.

– Niektórzy, jak to słyszą, bulwersują
się, bo tyle się mówi o równości. Odpie-
ramy ataki i nienawiści wszelakie, które

się pojawiają, bo nie ma tolerancji dla
naszych poglądów, tylko atak. Ty jesteś
po tej stronie, więc musimy cię atako-
wać. Czujemy się pogardzani, zupełnie
bez powodu – mówi mi w swoim gabi-
necie.

I dodaje: – Czujemy się bardziej warto-
ściowi pod względem okazywania sza-
cunku dla innych, bo my nie atakujemy,
nie poniewieramy, nie ubliżamy. I dla-
czego nas tak się traktuje?

Trudne warunki gospodarcze i poczu-
cie opuszczenia przez wielkomiejskie
elity sprawiły, że ludzie z regionu liczą
głównie na siebie. – Jesteśmy obrotni,
pragmatyczni i zaradni – twierdzi Brzu-
szek. – Wbrew temu, co myślą w Warsza-
wie, orientujemy się, co się dzieje na świe-
cie. TVP Info jak najbardziej oglądam, po-
tem patrzę na TVN, jak bardzo są daleko.
Jeśli ludzie głosują, jak głosują, to znaczy,
że rzeczywiście zgadzają się z tym, co ofe-
ruje PiS.

A najwyraźniej oferuje coś więcej
niż worek pieniędzy: – Podkarpacie
przeżywa na nowo swoją tożsamość
– mówi politolog Szczepański. Rzą-
dzący wzmocnili w miejscowych prze-
konanie, że nie muszą się wstydić
swoich nienowoczesnych przekonań.
A także dużo mówią o rozwoju Podkar-
pacia. – Mieszkańcy regionów, które do-
tychczas nie były dotowane, są mobili-
zowane przez partie, które o nie dbają
– tłumaczy politolog.

Mit o Podkarpaciu jako najbardziej za-
cofanej części Polski powoli upada. Re-
gionowi daleko do „polskiej Bawarii”,
co obiecywał przed rokiem Kaczyński,
ale chyba na dobre udało mu się wyjść
z traumy transformacyjnej. Ta akurat nie
dotknęła Jasienicy, gdzie nie było pege-
rów, a spółdzielnie kółek rolniczych, i ła-
twiej było się przekwalifikować.

Chociaż Podkarpacie należy do ośmiu
regionów, które w najmniejszym stopniu
tworzą krajowe PKB, w ciągu ostatniej de-
kady zostało zalane falą pieniędzy europe-
jskich i prywatnych. Powstał Podkarpacki
Park Naukowo-Techniczny, centrum za-
kładów z branży lotniczej, elektronicznej
i informatycznej. To tutaj mieści się naj-
większy klaster lotniczy w tej części Eu-
ropy. Co dziesiąty polski informatyk stu-
diował w Rzeszowie. Efekt? Bezrobocie
spadło do rekordowego poziomu 7,9 proc.

Nic dziwnego, że kandydaci opozy-
cji rzadko się tu pojawiają. Tak jakby
uznali, że to ziemia stracona. W Jasienicy →

→ znalazłem tylko billboard kandydata PSL-u. Reszta to PiS. – Były próby organizowania spotkań przez polityków z innych partii – przyznaje wójt Brzuszek. – Ale padły śmiercią naturalną, bo nikt nie przychodził. Ludzie w ogóle burzą się, jak widzą plakat wyborczy kogoś innego niż z PiS-u.

Wójt do dziś z drżeniem w głosie wspomina wizyty marszałka Kuchcińskiego oraz Andrzeja Dudy i Beaty Szydło kilka miesięcy przed tym, zanim zostali prezydentem i premierem. – Pan Duda zapowiedział, że przyjedzie znowu – mówi Brzuszek. – Odwiedzani jesteśmy.

Chwali też „totalną zgodę” w radzie miasta, w której wszystkie miejsca zajęli sympatycy partii rządzącej: – Wcześniej było wiele ognisk zapalnych, zaćcierzewienia, konfliktów. Może to niepopularne, co powiem, ale teraz nie ma opozycji – uśmiecha się.

Nic to, że po czterech latach wizerunek partii Kaczyńskiego jako moralnie kryształowej i bezkompromisowej wobec korupcji oraz nepotyzmu został zburzony. Afery? Marnowanie środków publicznych? Nagrody dla lojalistów? Osłabianie instytucji kontrolnych? Propaganda TVP? Porażki w Unii Europejskiej? Chaos w szkołach i służbie zdrowia? Wielu przyznaje, że słyszało o skandalach.

– Nikt nie jest doskonały, czarne owce są w każdej partii – mówi Katarzyna Zych, księgowa. – Widzę nienawiść w Kaczyńskim, pewnie po Smoleńsku, i nie podoba mi się to.

Zych przyznaje, że nie popiera wszystkiego, co robi PiS. – Ale pod rządami każdej innej partii będziemy zmuszeni zaakceptować rzeczy, których nie możemy zaakceptować.

Nie ma takiej możliwości, żeby Anna Malinowska zagłosowała na Platformę Obywatelską. – Dla nich człowiek biedniejszy nie jest wart rozmowy. Bo sobie nie radzi, nie jest wystarczająco operatywny. Ale czasami trzeba pomóc takim osobom, wskazać drogę, którą mogą iść.

Mieszkańcom Podkarpacia drogę wskazuje dziś Jarosław Kaczyński.

© DARIUSZ KAŁAN

Reportaż jest poszerzoną wersją artykułu, który ukazał się w magazynie „Foreign Policy”.

Uczelnia imienia taniej złotówki

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

My okupujemy ich plaże, oni wybierają nasze uniwersytety. W ciągu niespełna dekady liczba Turków uczących się w Polsce wzrosła ośmiokrotnie.

NA PIERWSZE ZAKUPY W WARSZAWIE Tutku wybrała się do piekarni. Wiedziała, że może mieć kłopoty z dogadaniem się po angielsku, sprawdziła więc w słowniku turecko-polskim jak poprosić o hamur. „Prosie surowi chlepek” – wyrecytowała i bardzo się zdziwiła, bo ekspedientki ryknęły śmiechem. Niezrażona znalazła w telefonie zdjęcie surowego ciasta. Dowiedziała się, że „nie ma” i, odprowadzona chichotami, wyszła szukać dalej. Dopiero od znajomych dowiedziała się, że w sklepie można kupić gotowe ciasto na pizzę, ale o surowy chlepek do samodzielnego wypieku może być trudno.

Z tymi Polakami też zabawna sprawa. Mieszkanie, które Tutku wynajęła z chłopakiem, wcześniej zajmowała polska para, która kilka lat mieszkała w Turcji. Gdy drugiego dnia zaczęło niebezpiecznie lać się z toalety, właścicielka lokalu zawołała ich na pomoc. – Chcieliśmy mieć w toalecie kranik do podmywania. Wiedzieliśmy, że w Polsce ich nie ma, więc zabraliśmy ze sobą przenośny – opowiada i śmieje się, że na jego widok nawet hydraulik zrobił wielkie oczy.

Lepiej niż w domu

Tutku jest w Polsce drugi rok. Studia licencjackie z psychologii klinicznej ukończyła w Stambule, magisterkę postanowiła robić w Polsce. – Myślałam o innych krajach, ale trudno było znaleźć uniwersytet, na którym psychologia kliniczna byłaby nauczana po angielsku. Na ogół były to języki ojczyste. O Uniwersytecie SWPS wiedziałam od koleżanki, która już tu studiowała.

– U siebie w ciągu roku miałam do zaliczenia 9 przedmiotów, tutaj 16 – mówi Ozge, która studiowała na Politechnice

Warszawskiej (licencjat z energetyki, magisterium z inżynierii produkcji). Wraz z nią studia zaczynała spora grupa Turków. Ukończyło kilkoro. – Wykruśzali się po drodze mówiąc, że jest za ciężko. Byłam zdziwiona, bo przecież te kierunki również w Turcji są trudne.

– Ale nie aż tak jak w Polsce – twierdzi Mert Dinc, który do Warszawy przyjechał dwa lata temu. Na politechnice zaczął od kursu językowego. – Marzyłem, by być inżynierem, wybrałem więc prestiżową uczelnię. Dobrze zrobiłem. Mamy dużo zajęć praktycznych. W Turcji przyszli inżynierowie wielu rzeczy uczą się tylko z książek.

– No i języki – dodaje Samet Hasan Aras, który uczył się na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. – U mnie w Sivas francuski był wykładany po turecku. W Toruniu francuski jest po francusku, a angielski po angielsku. Wykładowcy są o wiele lepsi niż u nas.

Siła złotówki

Choć na polskich uczelniach jest dziś najwięcej Ukraińców i Białorusinów, z raportu Fundacji Perspektywy wynika, że Turcy są na szóstym miejscu. W 2012 r. studentów z Turcji było w Polsce zaledwie 219. W ciągu siedmiu lat ich liczba wzrosła ośmiokrotnie. „Polska jest też najchętniej wybranym przez Turków krajem w ramach programu Erasmus” – informuje biuro prasowe Ministerstwa Nauki. Co roku na wymianę studencką przyjeżdża do nas ponad 3 tys. Turków.

Wzrost widać też na uczelniach. – Na kierunkach anglojęzycznych studiuje u nas 300 tureckich studentów – mówi Paulina Kowalcze z biura prasowego Uniwersytetu SWPS i dodaje, że



Dni Wielokulturowe na kampusie Uniwersytetu SWPS, Warszawa, maj 2018 r.

ta liczba stale rośnie. – Do tego jest jeszcze setka studentów programu Erasmus. Na Politechnice Warszawskiej w minionym roku akademickim uczyło się 68 Turków.

Dlaczego Polska? Powodów jest kilka. Najważniejsze z nich (prócz faktu, że dyplomy naszych uczelni honorowane są przez tureckie Ministerstwo Edukacji) to Unia Europejska i... złotówka.

– Ważne, że nie korzystacie z euro, stosunek liry do złotego jest rozsądny – mówi Ozge.

– Ceny studiów na Politechnice Warszawskiej są konkurencyjne w porównaniu z cenami oferowanymi w państwach zachodniej Europy. Niektórzy studenci twierdzą, że ze względu na niskie koszty utrzymania w Polsce zdarza się, iż taniej jest płacić za studia u nas, niż być studentem bezpłatnej uczelni w Niemczech – mówi Izabela Koptoń-Ryniec z Biura Rektora.

Nie tylko Polacy zarabiają na tureckich zakach. O ile firm pomagających chętnym na studia w USA czy Wielkiej Brytanii już wcześniej było w Turcji sporo, tych zajmujących się Polską przybywa lawinowo. W internecie funkcjonują dziesiątki mniej lub bardziej profesjonalnych doradców, są też firmy stacjonarne. O możliwości studiów w Polsce informował wielki baner zawieszony na pierwszym piętrze budynku przy ulicy Poległych na Cyprze. Niewielkie biuro wypełnione było ulotkami i folderami polskich uczelni oraz osobami, które oferowały m.in. fałszywe certyfikaty je-

zykowe. Kazali sobie płacić za przekazanie kandydatom dokumentów, które ci mogli samodzielnie znaleźć w internecie, albo pobierali opłatę za zorganizowanie nieistniejącego mieszkania.

Lepiej nie pytać

– Nie zawsze jest tak źle, ale oszuści się zdarzają – mówi Tutku. Ona korzystała z pomocy firmy i jest zadowolona. Jej koleżanka została na łodzi. Miała się gdzie uczyć, ale nie miała gdzie mieszkać, choć za mieszkanie zapłaciła. Zanim znalazła lokal (warszawiacy nie byli chętni do wynajęcia mieszkania cudzoziemce), spędziła dwa tygodnie waletując w akademiku u innej, poznanej na Okęciu, Turczynki.

– Bo widzisz, my jednak jesteśmy bardziej kontaktowi – mówi Ozge. Choć w Polsce jest od siedmiu lat, nie dorobiła się imponującej grupy polskich znajomych. Jej koledzy ze studiów byli raczej egoistyczni i mało towarzyscy, trzymała się więc i dalej trzyma z cudzoziemcami.

– Nie rozumiem, jak to jest. Od lat robię zakupy w tym samym sklepie osiedlowym. W Stambule już dawno byłabym na ty z ekspedientką. Tutaj od siedmiu lat to samo zimne spojrzenie. Kiedyś wchodząc do innego sklepu powiedziałam „Dzień dobry, jak się pani ma?”. Sprzedawczyni krzyknęła, że nie jestem jej koleżanką, żeby o to pytać. Już tam nie chodzę. Nie tęsknię za tureckimi potrawami, bo mogę je sobie ugotować. Herbatę też da się kupić. Ale brakuje mi tureckich relacji

międzyludzkich i sposobu bycia. My się do siebie uśmiechamy.

Turków dziwią polskie mieszkania. Ich wysokie ceny. Bo kawalerka to twór raczej w Turcji nieznanym. Standardowe mieszkanie nad Bosforem ma około 100–120 metrów kwadratowych. Mieszkanie o powierzchni 50–70 metrów kwadratowych uchodzi za kłitkę. – W Polsce całe mieszkanie bywa wielkości jednego pokoju w moim domu w Stambule. Moi rodzice nie mogli w to uwierzyć – mówi Ozge.

Właściciel dwupokojowego mieszkania przy Świętokrzyskiej, które w końcu wynajęła, nie mógł z kolei uwierzyć, że Ozge nie zamierza spać na kanapie. – Zapytałam, gdzie jest sypialnia, a on pokazał mi rozkładaną wersalkę w salonie. Bardzo się zdziwił, gdy nalegałam na łóżko. W Turcji – mówi Ozge – panuje „kultura łóżka”, nawet w tych małych mieszkaniach zawsze znajdują się oddzielne pomieszczenia: do spania i do życia. – Gości nie przyjmiesz przecież w sypialni.

Dziewczyny – i ich rodzice – cieszą się też, że w Polsce jest bezpiecznie. Za pierwszym razem Ozge przyjechała do Warszawy z tatą. Pojechali razem na uczelnię, pospacerowali po mieście. Ojciec odetchnął z ulgą, że – w przeciwieństwie do niektórych dzielnic Stambułu – „odkryta” (Ozge nie nosi chusty) kobieta jest bezpieczna.

Sąd nie dostrzega rasizmu

W gorszej sytuacji są mężczyźni. Zaledwie kilka dni temu w Starogardzie Gdańskim grożono śmiercią, a w końcu pobito grupę tureckich chłopaków – wolontariuszy, którzy spędzali wakacje pomagając w miejscowym klubie sportowym Beniaminek. Rok temu w tym samym mieście sześciu Polaków pobiło tureckiego studenta. Zeszłej jesieni w warszawskim tramwaju doszło do napadu na czterech tureckich studentów, którzy rozmawiali w ojczystym języku. Operacją zakończyło się pobicie Turka studiującego na →



MARCELINA SZUMER-BRYSZ będzie gościem Grzegorza Chłasty w środę 23 października o godz. 7.30

w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



ARCHIWUM PRYWATNE

SAMET HASAN ARAN:

„W Toruniu wykładowcy są dużo lepsi niż u nas”.

→ lubelskim UMCS. Do ataków dochodziło też w Białymstoku, Bydgoszczy, Poznaniu, Opolu czy Słupsku.

– To właśnie rasizm najbardziej zaskoczył mnie w Polsce – mówi Samet Hasan Aras. Był ofiarą napaści w Toruniu. Kupował bilet kolejowy, gdy mężczyzna na Dworcu Głównym zaczął go obrażać. – Kilka osób z kolejki przyłączyło się do niego, w naszej obronie stanęła tylko jedna dziewczyna. Przyznaję jednak, że policjanci okazali się bardzo przyjaźni i starali się pomóc.

– Od początku roku doszło do 66 przestępstw, w których pokrzywdzonymi zostali obywatele Turcji. Przez cały ubiegły rok takich wydarzeń było 168 – informuje rzecznik Komendy Głównej Policji inspektor Mariusz Ciarka. Zapewnia, że policjanci podejmują takie same działania jak w przypadku obywateli polskich.

– Nie posiadamy informacji wskazujących, aby ktokolwiek był dyskryminowany przez organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości ze względu na kraj pochodzenia – twierdzi rzecznik.

– Nie posiadają, bo albo nie przyjeżdżają w ogóle, albo nie chcą przyjąć zgłoszenia – prycha Ali Artan, który studiował na Akademii im. Leona Koźmińskiego, a dziś pracuje w Warszawie. Sporo w tym racji.

Bywa, że niechęć stróżów prawa albo bariera językowa sprawiają, że interweniować musi ambasada Turcji. Tak było ze studentami pobitymi w tramwaju. Komenda na Dworcu Centralnym nie chciała przyjąć zgłoszenia, dopóki nie pojawili się w asyście dyplomatów.

– Wierzmy, że napastnicy nie reprezentują ogółu Polaków, a odpowiednie służby doprowadzą do ich ukarania – słyszę od Hakana Abaci, radcy ambasady Turcji. To chyba jednak próżne nadzieje. Słupski sąd, rozpatrując sprawę pobitych studentów z Turcji uznał, że nie ma przesłanek, by uznać atak za rasistowski. „Padły co prawda hasła »uchodźcy wracajcie do Syrii«, ale chodziło tu o obywateli Turcji” – brzmiało uzasadnienie sądownego wyroku.

Gülen w Warszawie

Takie sprawy zwykle odbijają się w tureckich mediach szerokim echem, a rodzice studentów, którym wydawało się, że wysyłają dzieci do bezpiecznego kraju, zaczynają się denerwować. „Lepiej nie rozmawiaj po turecku”, „Nie chodź wieczorem do barów” – słyszą młodzi Turcy. Rodzice Tutku już po kilku miesiącach przyjechali „na kontrolę”. Rodzice Sameta uznali, że co ma być, to będzie. – Muzułmanie wierzą, że jeśli coś ma cię spotkać, zdarzy się i tak, czy w tym kraju, czy w innym – mówi chłopak.

Niektóre sprawy trudno jednak przewidzieć. O ile w Turcji można się spodziewać ataków Partii Pracujących Kurdystanu, nikt nie zakłada raczej, że wyjeżdżający na studia syn zginie w Polsce. A jednak na początku roku we Wrocławiu Furkan Kocaman, przebywający na wymianie w ramach programu Erasmus, został raniony nożem przez 29-letniego Kurda sprzyjającego PKK.

To najbardziej dramatyczny, ale nie jedyny przypadek konfliktów. W warszawskim kampusie Uniwersytetu SWPS nie odbył się zaplanowany festiwal międzykulturowy. Studenci pochodzenia kurdyjskiego (będący jednak obywatelami Turcji) chcieli wystawić własny namiot z flagą Kurdystanu, Turcy nie chcieli się na to zgodzić.

– Konflikt załagodzone dzięki rozmowom z psychologami i zmianie formy imprezy – słyszę w biurze prasowym uczelni. Tutku wybucha śmiechem: – Gdyby tak kilku psychologów wystarczyło, żeby rozwiązać go w Turcji!

Nie tylko konflikty etniczne, ale i turecka polityka towarzyszy studentom przyjeżdżającym do Polski. Za „tureckie zagłębie” uchodziła niegdyś Akademia Finansów i Biznesu Vistula, założona i przez wiele lat prowadzona przez ludzi związanych z tureckim duchownym Fe-thullahem Gülenem, oskarżonym o organizację puczu wojskowego.

– Po zamachu stanu konsulat sugerował nam zmianę uczelni. Odeszło wtedy jakieś 90 proc. tureckich studentów.

Uczelnia tych oskarżeń nie komentuje, ale faktem jest, że strona turecka kilkakrotnie występowała do Polski o wydanie niektórych jej pracowników. Na tureckich stronach można nawet znaleźć listę placówek, których należy w Polsce unikać. © MARCELINA SZUMER-BRYSZ

W Sądzie Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 300/19 postępowanie z wniosku Wspólnoty Mieszkaniowej nr 28 we Lgowie o stwierdzenie nabycia spadku po Helenie Kałużnej, zmarłej 20.06.2013 r., ostatnio zamieszkałej we Lgowie. W skład spadku po zmarłej wchodzi lokal mieszkalny.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się na wniosek Romana Jaronia i Władysławy Jaroń, pod sygnaturą I Ns 877/18, postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności części nieruchomości położonej w miejscowości Redzyńskie, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 400/2, o powierzchni 0,4306 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych w szczególności spadkobierców Stanisławy Olko i Stanisława Olko, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

ANNA

Dziewit-Meller:

Miasto kobiet



W UBIEGLĄ ŚRODĘ PO RAZ PIERWSZY W ŻYCIU publicznie i bardzo głośno używałam słowa „seksualna”. Do tej pory nie zdarzyło mi się jeszcze stać w centrum Warszawy i ryczeć ile sił w płucach niczego takiego, jednak, widać, zawsze jest pierwszy raz. Stałam w tłumie wkurzonych osób, które przyszły pod Sejm, by wyrazić swój sprzeciw przeciwko próbom majstrowania w sprawie edukacji seksualnej dzieci i młodzieży. Myślę zresztą, że większość z nas tam obecnych po raz pierwszy krzyczała takie słowa na ulicy, bo dotychczas nie mieliśmy tej potrzeby. Aż nadeszła, niestety.

Kiedy myślę o osobach proponujących Polkom i Polakom nowe rozwiązania prawne dotyczące sfery edukacji seksualnej, zastanawiam się, skąd biorą się różne tego typu obsesje? Skupienie się środowisk związanych z Fundacją Pro-Prawo do Życia i Komitetem Inicjatywy Ustawodawczej „Stop pedofilii” na kwestiach związanych z okolicami rodzinnymi współobywateli jest wyjątkowo silne.

Może to ocena pochopna i krzywdząca, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że myśli tych ludzi nieustająco krążą wokół jakiegoś wyuzdanego seksu. W sumie można by im nawet tego zazdrościć – badania seksuologów wskazują przecie, że generalnie Polacy kochają się coraz mniej i niestety nie seks im na co dzień w głowie. No ale, jak widać, nie wszystkim.

Czytając o horrendalnych pomysłach inicjatywy „Stop pedofilii”, wciąż myślę o swoich dzieciach. Bo przecież nawet moje osobiste wysiłki, by przekazać im możliwie fachową, odpowiednio podaną, mającą ich dobrze wyposażyć na przyszłość wiedzę o rozwoju człowieka, o seksie, o odpowiedzialności, zgodzie, antykoncepcji, ale także o możliwych zagrożeniach, jakie niesie ze sobą ta sfera, spełzną na niczym, jeśli dzieci te w swoich przyszłych relacjach natrafią na osoby takiej rzetelnej edukacji pozbawione. I doprawdy – drzę na tę myśl, mając głębokie przekonanie, że działania Mariusza Dzierżawskiego *et consortes* są wymierzone bezpośrednio w zdrowie fizyczne i psychiczne moich osobistych dzieci. Trafia mnie przy tym potężny szlag, aż mi zęby zgrzytają, dlatego nie zawaham się jeszcze i sto razy wyjść na środek ulicy Wiejskiej i krzyczeć różne słowa, których do tej pory nie krzyczałam w tym miejscu.

„Wyjdź, zajmij sobą przestrzeń, zaanektuj ją dla siebie i wykrzycz to, co cię gniece” – mówi w filmie dokumentalnym „City of joy” Eve Ensler, autorka kultowych „Monologów waginy”. Ale wbrew pozorom nie kieruje tych słów do studentek *gender studies* na którymś z zachodnich uniwersytetów. Stoi bowiem przed grupą kilkudziesięciu mieszanek Demokratycznej Republiki Kongo, w ośrodku rehabilitacyj-

nym City of Joy, stworzonym w 2011 r. dla ofiar gwałtów wojennych.

Kiedy mieszkanki ośrodka w ramach terapii grupowej opowiadają swoje historie, trudno wziąć głośniejszy oddech. Gwałty na kobietach i dziewczynkach to taktyka wojenna stara jak świat, wciąż jednak aktualna i skuteczna, niszcząca społeczeństwa z gigantyczną siłą rażenia. W Kongo brutalne gwałty dokonywane przez lokalne milicje mają wciąż miejsce, zwłaszcza w wioskach położonych w okolicy kopalni surowców takich jak koltan (tak, ten sam, bez którego nie byłoby komputera, na którym piszę ten tekst). Przemoc wobec kobiet, jaka dokonuje się na oczach ich mężów i dzieci, niszczy całkowicie społeczności lokalne, których spoiwem były te kobiety. Upokorzona ludność miejscowa zazwyczaj opuszcza te okolice na zawsze, pozostawiając oprawcom swobodne pole do działania i dostęp do bezcennych odkrywek.

Nie muszę pewnie dodawać, że wielkie korporacje i rządy mocarstw zachodnich nie mają wielkiego interesu w uspokojeniu sytuacji. W warunkach niepokoju i tumultu interesy robi się znacznie prościej, a kobiety w Kongo, jak w wielu innych krajach Afryki, w których wydobywane są bezcenne surowce, są po prostu składane na ołtarzu dobrobytu Zachodu.

City of Joy jest zaś miejscem, gdzie kobietom doświadczonym przez przemoc seksualną próbuje się pomóc przekuć ich ból i rozpacz w siłę. Założyciel ośrodka – ginekolog i aktywista doktor Denis Mukwege – razem ze współpracowniczkami, m.in. z Eve Ensler, w ciągu pół roku intensywnych zajęć (terapii psychologicznej, rehabilitacji, lekcji samoobrony, nauki języka angielskiego, podstaw rolnictwa) zmienia te bezbronne i kruche ofiary w kobiety, które wracają do swoich wiosek i stają się lokalnymi liderkami, zarzewiem zmian, jaskółką czyniącą wiosnę. I robią to skutecznie, a jedną z podstawowych lekcji, jakie tam dostają, jest lekcja edukacji seksualnej. Na zajęciach, które widzimy w filmie, terapeutka prosi uczestniczki, by powiedziały na głos słowo „wagina”. Są tak zawstydzone, że szepczą je półgębkiem, a jedna z nich mówi „nauczono nas, że to grzech mówić takie słowa”.

Kontrola nad ludzką seksualnością, nad zdrowiem reprodukcyjnym kobiet jest wciąż kartą przetargową, którą nieustająco ktoś chce grać. Dziś w Polsce bronimy prawa do rzetelnej edukacji seksualnej naszych dzieci, edukacji opartej na prawdzie, nie na obsesji. Jak w filmie mówi Eve Ensler: „Gdy zaczynamy mówić prawdę, przerywamy ciszę i zmieniamy świat”.

©

TP

Kluby „TP” zapraszają na spotkania

GLIWICE, wtorek,

29 października, godz. 17

Dyskusja po filmie

„Boże Ciało” Jana

Komasy. Miejsce:

Kawiarenka Zamkowa

(ul. Bankowa 11).

LUBLIN, czwartek,

24 października, godz. 17

„Quo vadis, polska szkoła?”.

Gośćmi będą Krystyna

Starczewska i Ewa Juszcak.

Miejsce: Dom Kultury LSM

(ul. Wallenroda 4A).

DOBRY PUNKT WYJŚCIA

ABP ANTJE JACKELÉN,
PRYMASKA KOŚCIOŁA SZWECJI:

Gdyby mi ktoś powiedział,
że jakieś zadania w Kościele
są „męskie”, to od razu
zapytałabym, dlaczego tak uważa.
Jaką odpowiedź
dostałabym w Polsce?

ANNA WILCZYŃSKA: W tradycji katolickiej podczas synodów mogą głosować tylko mężczyźni – od 2015 r. oprócz kapłanów także niewyświęceni członkowie męskich zgromadzeń zakonnych. W Kościele Szwecji wygląda to inaczej. Jak kobiety na stanowiskach kierowniczych wpływają na kształt podejmowanych decyzji?

ABP ANTJE JACKELÉN: Po pierwsze uważam, że kobiety i mężczyźni powinni cieszyć się równymi prawami, ponieważ zostali stworzeni na obraz Boga jako sobie równi. Jeśli niewyświęceni mężczyźni mogą głosować na synodach, to nie widzę powodu, dla którego nie miałyby głosować także kobiety.

W świecie luteranckim również mamy problemy z hierarchią i władzą kleru. Ale Światowa Federacja Luterancka wypracowała system kwot, który pozwala nam utrzymać równowagę pomiędzy liczbą duchownych i świeckich, kobiet i mężczyzn, starszych i młodszych przy podejmowaniu decyzji. Rygorystycznie trzymamy się zasady 40-40-20, która mówi, że w procesach decyzyjnych w Kościele



ABP ANTJE JACKELÉN (ur. 1955) jest arcybiskupem Uppsali, pierwszą w historii kobietą na stanowisku prymasa luterńskiego Kościoła Szwecji, profesorem teologii ewangelickiej.

musi uczestniczyć 40 proc. mężczyzn, 40 proc. kobiet oraz 20 proc. ludzi młodych.

Sama z początku byłam sceptyczna wobec tego pomysłu. Uważałam, że przecież ludzie powinni uczestniczyć w decydowaniu w oparciu o kompetencje, które posiadają. Ale praktyka zrewidowała moje myślenie. Dzięki systemowi kwotowemu przestaliśmy narzekać: „Gdzie są młodzi ludzie? No tak, nie ma młodych zainteresowanych sprawami Kościoła”. Teraz musimy dostrzegać młodych, rozpoznawać ich talenty, wzmacniać ich i wyposażać w umiejętności, które pomogą im brać odpowiedzialność.

W Kościele Szwecji przyzwyczailiśmy się myśleć o sobie, że stosujemy się do zasad równości i jesteśmy otwarci w kwestiach płci. Ale jeśli chodzi o ludzi młodych, okazuje się, że nie idzie nam tak dobrze jak Światowej Federacji Luterńskiej, w której jednym z lokalnych wiceprezydentów w ostatnim czasie była 20-letnia kobieta.

KAROL WILCZYŃSKI: Co zmienia obecność kobiet na stanowiskach przywódczych w Kościele?

Spójrzmy inaczej. Wykluczając kobiety, wykluczasz połowę zaangażowanych ludzi, co oznacza, że tracisz połowę doświadczenia, zdolności umysłowych, inspiracji i energii do pracy. To zwyczajnie głupie.

KW: Niektórzy katoliccy hierarchowie argumentowaliby, że słuchają kobiet, spotykają się i modlą wraz z nimi. Że znają kobiety ze swoich wspólnot, znają ich problemy, ich zdanie...

AW: ...więc mogą sami podejmować decyzje, mając na uwadze ich dobro.

Co to za logika? Jeśli kobiety stanowią dużą część Kościoła, dlaczego odmawia im się zabierania głosu? To bardzo niedobre. Spójrzcie na obraz, który przedstawia św. Paweł, gdy opisuje Kościół jako Ciało Chrystusa. Wszystkie członki Ciała są potrzebne. Jeśli wykluczamy którychś z nich z procesu decyzyjnego, tracimy coś cennego. Zdarzają się także mężczyźni, którzy mówią: dobrze, przyznajmy kobietom funkcję przywódczą, bo dzięki temu w naszych dyskusjach pojawi się więcej delikatności i emocjonalności. Nie szłabym tą

drogą, gdyż to oznacza szufladkowanie kobiet i próbę zamknięcia ich w kategoriach, do których nie muszą należeć.

AW: Co można poradzić osobom, które chciałyby większego zaangażowania kobiet w procesy decyzyjne w Kościele?

To zawsze zależy od okoliczności, ale uważam, że w pierwszej kolejności należy skupić się na generalnych zasadach wprowadzania zmian, czyli na budowaniu wpływu oraz networkingu. Trzeba najpierw kreować możliwości, a potem zmieniać struktury. Czasem wystarczy jedna osoba, która generuje zmianę – jak na przykład 16-letnia Greta Thunberg – ale nie zawsze tak się dzieje. Jeśli chodzi o liderki, bardzo ważne jest, aby wspierały je inne kobiety. Niestety one nie zawsze są najlepszym wsparciem dla innych kobiet. Jedną z moich osobistych zasad zawsze było kłaść nacisk na sprawy, które powinny wydawać się oczywiste, a często oczywiste nie są – na przykład na równość płci.

KW: Skąd wzięła się ta osobista zasada?

Zarówno w Kościele, jak i w środowisku akademickim pracowałam w otoczeniu zdominowanym przez mężczyzn. Bycie jedyną kobietą w pomieszczeniu nie zawsze było łatwe. Zdałam sobie sprawę, iż mężczyźni wcale nie uważali za oczywiste, że powinna być wśród nich kobieta. Uznawali mnie za wyjątek. Dlatego zaczęłam powtarzać sobie coś zupełnie przeciwnego: to oczywiste, że powinienam tu być. Przynależę do tego miejsca tak samo jak mężczyźni. Próbowałam przychodzić do pracy z przekonaniem, że mam prawo tam być i że mam te same warunki, co mężczyźni, nawet jeśli w praktyce wyglądało to zupełnie inaczej. Zachowywałam się naturalnie. Byłam otwarta na wymianę doświadczeń i pomysłów.

KW: Jednak nie zawsze łatwo jest zachęcić kobiety np. do tego, żeby podejmowały się „męskich zadań” w Kościele – komentowania fragmentów Pisma Świętego, prowadzenia nabożeństw.

Gdyby mi ktoś powiedział, że jakieś zadania w Kościele są „męskie”, to od razu zapytałabym, dlaczego tak uważa. Jaką odpowiedź dostałabym w Polsce?

AW: Taka jest tradycja Kościoła. Albo że należy być postusznym woli Bożej zapisanej w liście św. Pawła do Koryntian.

Chodzi o fragment o tym, że kobiety mają milczeć? Cóż, sama Biblia podaje również przykłady czegoś zupełnie przeciwnego. →



PONTUS LUNDAHL / TT NEWSAGENCY / FORUM

⇒ Wystarczy przypomnieć postać liderki pierwszej wspólnoty chrześcijańskiej na ziemiach europejskich – Lidii, która pojawia się w 16. rozdziale Dziejów Apostolskich. Rozumowanie nakazujące kobietom milczenie nie ma przyszłości w żadnym Kościele. Nie tylko nie ma przyszłości, ale też nie było go w przeszłości. Historia Kościoła wskazuje przykłady wielu wspaniałych kobiet, które pełniły role przywódcze. Sprawiliśmy, że wiele z nich stało się niewidzialnymi, ale one istniały. Zatem mówienie, że nie mamy liderek w Kościele, że zawsze tak było i powinno być, nie jest prawdą. Żeby to dostrzec, powinniśmy szeroko spojrzeć na historię i świat. Dobre przykłady znajdziemy także w świecie katolickim. Osobiście spotkałam wiele katolickich liderów.

KW: Mimo to w naszym Kościele nie słychać głosu np. teologów. Mieliśmy Lucettę Scaraffię w „L'Osservatore Romano”, ale zrezygnowała z tworzenia kobiecego dodatku.

Scaraffia wyraziła swój protest w ten sposób. Ale spróbuj uchwycić szerszy obraz. W USA lub w Niemczech może być inaczej. Macie wiele wspaniałych teologów, takich jak Elizabeth Johnson, Elisabeth Schüssler Fiorenza, Tina Beattie, Ilia Delio i wiele innych. Wiem o wspólnotach katolickich, w których kobiety oprócz celebrowania Eucharystii robią wszystko. Macie wiele bystrzych teologów katolickich, które są znacznie lepiej wykształcone niż przeciętni księża. Ich poziom wiedzy i elokwencji może powodować poczucie niepewności i wrogości wśród mężczyzn. Bo mężczyźni wiedzą, że niektóre kobiety radzą sobie znacznie lepiej niż oni na stanowiskach, które kiedyś były wyłącznie „męskie”. Poczucie niższości w mężczyznach może napędzać strategię powstrzymywania kobiet od zajmowania ważnych stanowisk. Ale na dłuższą metę to przegrana strategia.

AW: Czy w Szwecji w związku z przywództwem kobiet w Kościele mężczyźni przestają się angażować, np. przestają uczęszczać na nabożeństwa?

Nie zgodziłabym się ze stwierdzeniem, że gdy kobiety angażują się w przywództwo, wypędzają mężczyzn z kościoła. W Kościele Szwecji wciąż mamy wielu mężczyzn, którzy są liderami, biskupami.

Wy, katolicy, macie wiele wspaniałych teologów:
Elizabeth Johnson, Elisabeth Schüssler Fiorenza, Tina Beattie... U mężczyzn ich poziom wiedzy
**może powodować
niepewność.**

Ale mamy też wyzwania związane z przywództwem kobiet, na przykład różnice w wynagrodzeniach kobiet i mężczyzn. Kobiety otrzymują niższe pensje niż mężczyźni za tę samą pracę. Musimy również zwrócić uwagę na ryzyko wypalenia zawodowego, szczególnie wśród młodszych kobiet. Są to problemy społeczne, które dotyczą wszystkich kobiet, nie tylko pastorek. A trudności związane z mężczyznami, którzy opuszczają kościoły, wynikają raczej ze szkodliwej interpretacji męskości niż z tego, że mamy kobiety na stanowiskach liderek.

KW: Jednak pojawiają się mężczyźni, którzy ostrzegają, że ludzie odejdą z Kościoła, jeśli będą zmuszani, aby słuchać kobiet przemawiających z ambon. Teologowie istnieją, ale w katolickich seminariach w Polsce uczymy głównie Wojtyłę, Ratzingera i innych męskich autorów.

Często działa to tak, że studenci są zmuszani, aby czytać wyłącznie autorów płci męskiej. Z kolei autorzy płci męskiej cytują tylko... innych mężczyzn. Znam wiele przykładów tej praktyki i dostrzegam mechanizmy, które działają przeciwko rozwojowi kształcenia większej liczby teologów i liderów kościelnych. Ale nadszedł czas na zmianę.

AW: Czy nadszedł także czas, aby zmienić podejście Kościołów do społeczności LGBTQI?

Homoseksualizm jest licznie reprezentowany wśród duchowieństwa – wiemy o tym dobrze. Dotyczy to nie tylko duchowieństwa katolickiego. Ale jeśli masz Kościół, który z jednej strony potępia homoseksualizm, a jednocześnie znaczna liczba jego kapłanów jest orientacji homoseksualnej – niektórzy żyją w abstinencji, a inni w sekrecie rozwijają życie

seksualne – tworzy to samonapędzającą się spiralę, która na dłuższą metę nie jest konstruktywna. Głoszenie oficjalnego stanowiska, które staje w sprzeczności z tym, kim jesteś i jak żyjesz, może stać się trucizną dla ciebie i dla tych, którym masz służyć.

AW: Co sprawiło, że Kościół Szwecji stał się otwarty na osoby LGBTQI?

W połowie lat 70. Kościół Szwecji rozpoczął teologiczną pracę nad kwestiami seksualności i homoseksualizmu. To był długi proces, ale rozpoczęliśmy go, zanim w 1979 roku organizacje międzynarodowe przyznały, że homoseksualizm nie jest chorobą. To dzięki tej pracy jako Kościół byliśmy przygotowani, gdy w Szwecji rozpoczęła się publiczna dyskusja na temat związków osób tej samej płci. Już wtedy rozważaliśmy, czy możemy błogosławić związki osób tej samej płci. Biskupi zgodzili się co do tego, że jeśli ludzie się kochają i chcą żyć razem odpowiedzialnie do końca życia, to dlaczego nie mielibyśmy wspierać ich i błogosławić ich wysiłkom? To jest część naszej pracy duszpasterskiej.

W 2009 roku szwedzkie państwo przyjęło nowe, neutralne pod względem płci prawo małżeńskie, które umożliwiło oficjalne małżeństwa osób tej samej płci. A ponieważ związki błogosławione w Kościele Szwecji zgodnie z prawem cywilnym również są uznawane jako małżeństwa, musieliśmy się zastanowić, co robić dalej. Pary homoseksualne zaczęły prosić, aby moment błogosławieństwa ich związku mogli przeżywać wraz z rodziną i przyjaciółmi. Wtedy znów zaczęliśmy się zastanawiać: zamierzamy powiedzieć „nie” małżeństwom osób tej samej płci? Świadczyćmy służbę duszpasterską tylko dla par heteroseksualnych czy nasza praca obejmuje też pary osób tej samej płci? Zdecydowana większość uczestników synodu zdecydowała, że będziemy obejmować pary osób tej samej płci tymi samymi zasadami, które obowiązują małżeństwa heteroseksualne. Po dziesięciu latach praktyki widzimy, że to była dobra decyzja. Ale to nie wydarzyłoby się bez badań i dyskusji, które prowadziliśmy od połowy lat 70.

KW: Do jakich argumentów odnoszono się w tej dyskusji?

Małżeństwo ma funkcję ochronną. Ma pokazywać, że dwie osoby należą do siebie nawzajem, że nie powinieneś tu mieszać. Nadaje dwojgu ludziom strukturę

i pokazuje granice. Ta ochrona nie kończy się lub nie staje się słabsza, jeśli używają do niej dostęp pary tej samej płci.

Również w historii małżeństwo nie zawsze miało tę samą strukturę. W Starym Testamencie istniała poligamia. W Szwecji mieliśmy okresy w historii, w których nikt nie brał ślubu z kobietą, dopóki ta nie udowodniła, że może mieć dzieci. Małżeństwo nie zawsze funkcjonowało w ten sam sposób, a przez większość czasu patriarchat mocno wpływał na to, jak powinno wyglądać. Takie spojrzenie bardzo pomaga, gdy wielu twierdzi, że zawsze istniał tylko jeden sposób budowania rodziny. Pamiętaj jednak, że w tradycji luterńskiej małżeństwo nie jest sakramentem. Dzięki temu ta zmiana była łatwiejsza, niż mogłaby być w Kościele katolickim.

KW: Katolicy powiedzieliby, że małżeństwa osób tej samej płci ingerują w porządek stworzenia.

Słyszeliśmy to także w Szwecji. Musisz zapytać osoby, które tak twierdzą, dlaczego homoseksualizm w ogóle jest częścią porządku stworzenia? Dlaczego Bóg tego chciał? Argument porządku stworzenia może być niebezpieczny. W podobnej formie był przecież używany przez naziistów i rasistów. Mówiąc o porządku stworzenia, musimy pamiętać, że jako chrześcijanie wierzymy nie tylko w pierwsze, oryginalne stworzenie, ale także w ciągłość stwarzania świata. Wierzymy, że świat się zmienia, bo Bóg działa twórczo także teraz.

AW: Świat może się zmieniać, ale słowa Biblii uważamy za niezmiennie.

Powstaje jednak pytanie, jak interpretować te słowa. Istnieją fragmenty w Biblii, które wydają się dotyczyć homoseksualizmu. Mimo to toczą się poważne dyskusje o tym, jak należy je interpretować zgodnie z kontekstem, w którym zostały napisane. Biblisty są zgodni, że Biblia nie mówi bezpośrednio nic o homoseksualizmie w jego współczesnym rozumieniu. Mówi o męskiej prostytucji rytualnej. Nie mówi też nic o małżeństwie osób tej samej płci. W Biblii jest naprawdę niewiele fragmentów na temat homoseksualizmu. Za to znacznie częściej podejmowany jest temat ubóstwa i sprawiedliwości.

Widziałam specjalne wydanie Pisma Świętego zatytułowane „Biblia ubóstwa i sprawiedliwości”, w którym podkre-

W tradycji luterńskiej małżeństwo nie jest sakramentem.

Dzięki temu uznanie
za małżeństwo pary
tej samej płci było
łatwiejsze, niż mogłoby
być w Kościele katolickim.

ślono w tekście wszystkie fragmenty dotyczące tych tematów. Zdziwisz się, widząc jak wiele mamy w Biblii fragmentów, które mówią o sprawiedliwości i trosce o biednych. Fragmenty o seksualności i małżeństwie nie są tak liczne. Dlatego musimy sami siebie zapytać: dlaczego niektóre wspólnoty wyznaniowe są tak zajęte seksualnością i tak mało zainteresowane ubóstwem i sprawiedliwością czy kwestiami klimatycznymi? Dlaczego ważniejsze jest to, co ludzie robią w sypialniach, niż fakt, że mamy poważne problemy z naszą planetą? W Kościele Szwecji staramy się pielegnować zakorzenione w Piśmie Świętym przywiązanie do proporcji i interpretować teksty zgodnie z najbardziej aktualnym stanem wiedzy. Bo od czasów Starego Testamentu lub św. Pawła wiemy znacznie więcej na temat medycyny, psychologii lub seksualności i myślę, że Bóg chce, abyśmy wzięli tę wiedzę pod uwagę.

KW: Co powiedzieć tym, którzy sprzeciwiają się równości płci lub włączaniu osób LGBTQI w Kościele?

Biblia nie jest książką pełną prostych przepisów na rozwiązanie dzisiejszych problemów społecznych. Weźmy za przykład niewolnictwo. Zarówno ci, którzy go bronili, jak i ci, którzy chcieli je znieść, mogli znaleźć fragmenty w Biblii, które uzasadniały ich stanowisko. Jednak z perspektywy czasu wszyscy zgadzamy się, że zniesienie niewolnictwa było słuszne. Teraz nasze oczy zostały otwarte na cierpienia osób homoseksualnych. Społeczeństwo szwedzkie pytało nas, dlaczego osoby homoseksualne nie mogą się pobrać, jeśli odpowiedzialnie się kochają? To społeczeństwo i świeckie państwo postawiły przed Kościołem to wyzwanie. Zaczęliśmy sami siebie pytać: z czym oni do nas przyszli? Głosimy Ewangelię od

dwóch tysięcy lat. Głosimy miłość, solidarność i odpowiedzialność. Może teraz społeczeństwo, w tym jego świecka część, rzuca nam wyzwanie, które jest owocem naszego własnego głoszenia? Dlatego chrześcijanie muszą uważnie i mądrze słuchać wyzwań, jakie stawia przed nami społeczeństwo.

KW: Czy ksiądz Kościoła Szwecji może odmówić błogosławieństwa parze homoseksualnej?

Tak, i żaden ksiądz nie jest do tego zmuszony. Jednak większość to robi i nie stanowi to dla nich problemu. Dodatkowo w każdej parafii mamy osobę odpowiedzialną za duszpasterstwo, która odpowiada za znalezienie księdza gotowego asystować przy ślubie pary homoseksualnej.

KW: Tak to działa we wszystkich Kościołach luterńskich?

Było kilka Kościołów, które w 2009 roku zareagowały bardzo krytycznie na naszą decyzję błogosławieństwa małżeństw jednopłciowych. Teraz zwykle mówią, że zdają sobie sprawę z powodów, dla których ją podjęliśmy. Przyznają, że w przyszłości sami będą musieli zmierzyć się z tą kwestią, ale na razie zajmują się czymś innym. Lider Kościoła w Indiach powiedział mi, że wie, że będą musieli stawić czoło tym samym pytaniom, ale na razie ich głównym wyzwaniem jest system kastowy. Poprosił nas, aby nie wywierać na nich presji, ponieważ potrzebują czasu. To samo dotyczy święceń kapłańskich dla osób otwarcie homoseksualnych.

AW: Błogosławieństwo małżeństw osób tej samej płci było krokiem w stronę wyświęcania homoseksualnych księży i biskupów?

Orientacja seksualna nie ma nic wspólnego z wyświęcaniem. Bycie gejem lub lesbijką nie sprawi, że będziesz gorszą lub lepszą pastorką. Niektóre Kościoły i społeczeństwa mają politykę „Don't Ask, Don't Tell” (Nie pytaj, nie mów), jeśli chodzi o orientację seksualną duchowieństwa. Ale na dłuższą metę zmusza ona ludzi do ukrywania, kim naprawdę są.

AW: Czy wiele osób opuszcza Kościół Szwecji z powodu małżeństw osób tej samej płci lub święceń kobiet?

W dzisiejszych czasach ludzie odejść, jeśli przestaniemy wyświęcać kobiety. →

→ Jeśli chodzi o małżeństwa osób tej samej płci, niektórzy ludzie mogli odejść z tego powodu. Za to inni z tych samych względów przyłączyli się do Kościoła. Dla wielu chodzi bardziej o to, aby postawić swoje prywatne poglądy ponad wspólnymi zobowiązaniami. W społeczeństwie, które kształtuje gospodarka rynkowa, ludzie mogą ulec pokusie pójścia na „religijne zakupy” i przyłączyć się do tej społeczności, która im odpowiada. W przypadku coraz większej liczby relacji jesteśmy traktowani i sami traktujemy innych jak klientów. Kościół katolicki bardziej niż jakakolwiek inna wspólnota wyznaniowa potrafił zachować silne poczucie przynależności członków. Wielu katolików myśli o swoim Kościele: „to dla mnie rodzina, mogę się na nią gniewać, ale nie mogę jej opuścić”. Teraz widzimy rozpad tego poczucia także wśród katolików, którzy czują się sfrustrowani i odchodzą.

KW: To dlaczego wciąż potrzebujemy Kościoła jako struktury?

Kościół jest po to, aby ludzie gromadzili się dla regularnej modlitwy i budowania wspólnoty. Nie można być chrześcijaninem samemu. Aby być chrześcijaninem, musisz zostać ochrzczony. Przyjęcie chrztu oznacza, że stajesz się częścią wspólnoty, która jest Ciałem Chrystusa, stajesz się członkiem tego Ciała. Jesteś częścią globalnego Kościoła, ale także twojej lokalnej społeczności. My, chrześcijanie, jesteśmy jednym Ciałem i musimy się wspierać.

KW: Czy w Szwecji odpływ ludzi z Kościoła jest zauważalny?

Nadal mamy zaskakująco wysoką liczbę osób należących do Kościoła – prawie 60 proc. szwedzkich obywateli. Spośród tych 60 proc. wiele osób nie uznaje się za wierzących, a mimo to płaci podatek kościelny. Bycie członkiem Kościoła realnie ich kosztuje. Ale tracimy członków i badaliśmy, dlaczego tak się dzieje. Głównym powodem jest to, że ludzie mówią o sobie, że nie są wierzący. Ale z drugiej strony mamy członków, którzy mówią: „jestem niewierzący, ale identyfikuję się z tym, co Kościół robi dla ludzi i chcę go wspierać”. Jeśli chodzi o młodych ludzi, widzimy, że nie tylko Kościół traci członków. To samo dotyczy związków zawodowych, partii po-

litycznych, organizacji pozarządowych. Mamy przed sobą pokolenie, które nie myśli w kategoriach zobowiązań na całe życie lub długoterminowego uczestnictwa. Jest to ogólny wzorzec w społeczeństwie, a nie tylko kwestia Kościoła.

KW: Zatem jak dziś być dobrym chrześcijaninem?

Najbardziej ogólna wskazówka to: żyj blisko Boga, blisko bliźniego i blisko stworzenia. Wierzę, że to oznacza życie, w którym ważna jest modlitwa i uwielbienie oraz dążenie do prawdy, sprawiedliwości, przebaczenia i piękna – życie, w którym w jednej ręce trzymasz Biblię, a w drugiej gazetę z aktualnymi wiadomościami. Oczywiście przy założeniu, że gazeta jest źródłem wiarygodnych informacji, a nie narzędziem manipulacji. Wraz z wiekiem pociągać mnie zaczęły słowa Jezusa o Dniu Sądu. Dawanie wody spragnionym, jedzenia głodnym, odwiedzanie chorych i więźniów jest sposobem na przebywanie z Jezusem. Jezus mówi, że powinniśmy stać się dla siebie bliźnimi, a szczególnie dla potrzebujących, ponieważ w ten sposób stajemy się bliźnimi samego Jezusa. To jest dość radykalne podejście.

AW: Jak pokazać ludziom, że chrześcijańska miłość wymaga od nas, byśmy wykraczali poza to, co znamy, i włączyli osoby LGBTQI oraz myśleli o równouprawnieniu płci?

Warto skupić się na fragmencie z Ewangelii wg św. Jana (J 3, 16): „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne”. Grecki oryginał mówi tu o „kosmosie”, czyli całym wszechświecie. Nie mówi „Bóg tak umiłował Kościół” czy „Kościół katolicki”. Nie mówi „Bóg tak umiłował ludzi”. Ewangelia mówi o kosmosie. Bóg jest radykalnie inkluzywny. Teraz jesteśmy bardzo ograniczeni jako ludzie, nie jesteśmy doskonali, nie jesteśmy jak Bóg. Ale jesteśmy powołani do miłości i zaufania Bożej dobroci. To może być dobry punkt wyjścia dla rozwoju miłości w nas.

© Rozmawiali

ANNA I KAROL WILCZYŃSCY

AUTORZY są dziennikarzami, twórcami islamistablog.pl.

Czego się boi kardynał Krajewski

MACIEJ MÜLLER

Spotkania z Chrystusem.

Bo On może powiedzieć: nie znam nawet twojego imienia.

Byłeś biskupem, jałmużnikiem papieskim? Ciekawe.

Zupełnie nic o tym nie wiem.

TAK MOŻE SIĘ NAPRAWDĘ STAĆ – ostrzega kard. Konrad Krajewski w jednej z homilii zamieszczonych w książce „Zapach Boga”. „W moim życiu jest wiele rzeczy, które podobają się światu, są potrzebne i pożyteczne, ale mimo to mogę nie mieć żadnej zasługi przed Bogiem. Jeśli moim sercem nie rządzi chrystusowy pokój, to On mnie nie rozpoznaje. Jeśli będę się podobał światu, nie będę podobał się Bogu”.

Papieski jałmużnik czyta Pismo Święte takie, jakie ono jest – bez pośrednictwa komentarzy. Bo Franciszek kiedyś powiedział: „To tak, jakby ktoś miał źródło, a pił z konewki albo z kałuży”. Z Ewangelii kardynał wyczytuje wezwanie do nieustannego nawracania się: żadnego osiadania na laurach, sługami nieużytecznymi jesteśmy. Ewangelia jest radykalna i „albo trzeba ją głosić bezkompromisowo, albo się zamknąć”.

Kopniak w serce

Wydany ostatnio tomik, zawierający zapis kazań, rekolekcji czy wypowiedzi telewizyjnych, jest próbą zapoznania czytelników z poglądami kardynała, który niechętnie udziela wywiadów i nie ma czasu na pisanie książek. Krajewski woli działać. „Żyj tak, aby ludzie pytali cię o Boga” – radzi. To surowy rachunek sumienia nie tylko dla księży i biskupów. Kiedy ktoś poprosi: „pokaż mi Boga”, z całą odpowiedzialnością powiedz: „Popatrz na moje życie, czym jeź-



MARIAN ZUBRZYCKI / FORUM

Kard. Konrad Krajewski podczas 93. Pieszej Pielgrzymki Łódzkiej na Jasną Górę, 21 sierpnia 2018 r.

dzę, w czym chodzę, czym się zajmuję, o co zabiegam” – wskazuje Krajewski.

Zadanie chrześcijanin ma jedno: umożliwić Jezusowi wyjście z kościoła. Czyli po prostu – przyjąć komunie i zacząć działać na zewnątrz jako nośnik Boga, „żywe tabernakulum”. Nie chodzi tu o polukrowaną na różowo świętość. Jezusa warto zaprosić tam, „gdzie sobie w życiu nie radzę, gdzie miłość po błocie chodzi, do mojego rozwiedzionego małżeństwa, kiedy ktoś mnie w serce kopnął, kiedy nie radzę sobie z uczuciami, kiedy nałóg zawładnął moim życiem”.

A kiedy już nie dajemy rady? Kardynał podpowiada modlitwę: „Jezu, Ty się zajmij moim życiem, bo ja sam nie dam rady Cię reprezentować”. I wspomina, co powiedział mu Franciszek: „Nie wiesz, co robić? Czytaj Ewangelię, a znajdziesz sytuację dokładnie taką, w jakiej dzisiaj jesteś. Szukaj, co by zrobił Jezus”. Nade wszystko nie można tracić z Jezusem kontaktu. Warto prosić Go „nawet o takie rzeczy, o które w mniemaniu innych prosić nie powinieniesz”. Choćby to były kwestie tak żenujące, jak dylematy synów Zebedeusza – czy będą zasiadali po Jego prawicy i lewicy. Spokojnie – zapewnia jałmużnik – „Ewangelia zachęca, żeby przychodzić i mówić”. A Jezus „wysłuchuje tylko tych modlitw, które są dla naszego dobra”.

Przepis na miłosierdzie

Kardynał podoba się światu, bo w imieniu papieża pomaga najbiedniejszym

i czyni to bezkompromisowo. „Miłosierdzie to czyn, konkretny czyn” – mówi. Kiedyś prosił kardynałów mieszkających w watykańskim domu przy placu Leonina, żeby w razie deszczu wpuszczali za bramę bezdomną staruszkę. Nie zgodzili się. Innym razem odebrał telefon od watykańskiego dostojnika, który miał pretensje, że sprowadzeni przez Krajewskiego bezdomni „sikają przed drzwiami z brązu”. Odpowiedział: „Póki ksiądz nie wpuści ich do swojego domu, do ubikacji, póki nie da im swojego niepokalanego ręcznika, który siostry prasują kilka razy dziennie, a potem nie zrobi może kawy, to oni tam będą siusiać”.

Miedzy bezduszością a miłosierdziem jest jeszcze bylejakость. „Matka wie, kiedy dziecko przykryć, nakarmić, zatalkować, bo kocha – mówi kardynał. – A jak nie kochamy, to dajemy ubogiemu stare buty. On w nie nie wejdzie. One ukształtowały się do naszej nogi”. Dlatego kiedy do jego biura włoski producent butów przyniósł milion euro „na potrzeby papieża”, kardynał odmówił przyjęcia. „Pan to przyniósł jako jałmużnę? Tego miliona to pan nawet nie odczuł, jeśli pan go odpisał od dochodów”. Ostatecznie biznesmen zobowiązał się wypuścić serię butów specjalnie dla ubogich, bardzo szerokich w podbiciu, z dobrego materiału. „Pan da skóry, a pracownicy dwie godziny pracy – precyzował Krajewski. – Zobaczcie, jaka siatka dobroci. Tak, dopiero wtedy to była jałmużna”.

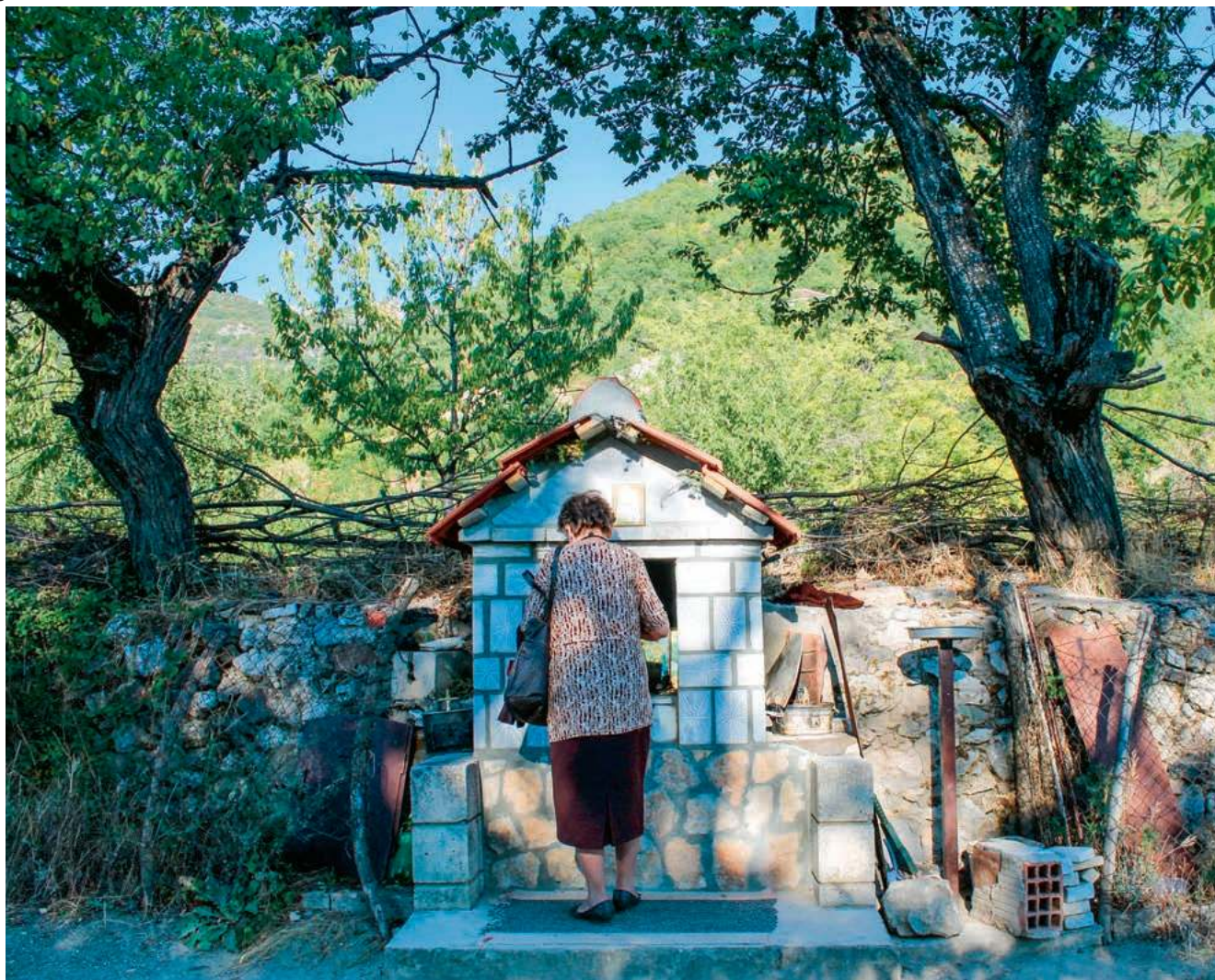
W życiu kardynała modlitwa „Jezu, ufam Tobie” ma konkretne przełożenie. Dzięki niej – przekonuje – można czynić cuda. Prezydentowi Rzymu, który uparł się, by uczestniczyć w jednej z akcji rozdawania bezdomnym żywności, Krajewski polecił produkty „rozmnożyć, tak po katolicku”. „Najpierw patrzy się w niebo, trzeba się pomodlić, a potem zacząć rozdawać”. Ośłupiałemu urzędnikowi pomogła wolontariuszka: „Rozmnożenie robi się tak. Pyta się każdego: pizza czy pasta?”. Żywności starczyło dla wszystkich.

Ale co, kiedy zaufania zabraknie? Do konfesjonatu, w którym spowiadał kardynał, przyszła kiedyś kobieta, która po wstrząsającym wyznaniu grzechów powiedziała, że nie może dostać rozgrzeszenia – bo jest muzulmanką. Krajewski zadeklarował: „ochrzczę cię” – ale naszły go skrupuły: bo kancelaria zamknięta, bo nie wiadomo, jak to ująć w księgach. Poprosił, by przyszła nazajutrz – ale ona już się nie pojawiła. Opowiedział o tym papieżowi i usłyszał: „Jaki jesteś głupi! W konfesjonale działa tylko Bóg. Nieraz tak robiłem. Wyszedłem, ochrzciłem, tylko nie w kąpielnicy, bo nie było wody. Od razu poszedłem pod kran”.

Jaki z tego wniosek? „Trzeba się narażać. Ewangelia nieraz drogo kosztuje, jest piękna jak wiosna, ale nieraz ciężka jak krzyż”.

©

Kard. Konrad Krajewski, **ZAPACH BOGA**, opr. Krzysztof Tadej, Znak, Kraków 2019.



MIRELLA MAKURAT

Giorgica w drodze do cerkwi Rusej Sredy nad Jeziorem Ochrydzkim, wrzesień 2013 r.

Jak anioły uratowały świętą

MIRELLA MAKURAT Z OCHRYDY (MACEDONIA PÓŁNOCNA)

Legenda mówi, że nad najstarszym w Europie Jeziorem Ochrydzkim jest tyle cerkwi, ile dni w roku. Jednak święci wciąż zstępują tu z fresków i w snach przychodzą do ludzi, domagając się nowych świątyń.

NIEWYSOKA GIORGICA POCHYLA SIĘ, by zapalić żółtą świecę. Dolewa też oleju słonecznikowego do lampadki. Po drodze do Welestowa wstąpiliśmy do kapliczki Matki Bożej z przybłąką ikoną Tej, Która Wskazuje Drogę. W środ-

ku metalowy krzyż i kilka niekanonicznych obrazów, w tym malunek wykonany jakby dziecięcą ręką.

Giorgica jest moją przewodniczką – prowadzi mnie do kobiety, która wybudowała cerkiew. Droga przypomina koryto

wysuszonej rzeki, zatopione w zieleni. Na jej końcu znajduje się dom Bilijany.

Wchodzimy do salonu typowo dla Macedonii połączonego z kuchnią, tak jak *muaebet* (z tureckiego – „rozmowa”) zawsze łączy się na Bałkanach z piciem kawy.

Proszę, żeby Bile opowiedziała mi o Jasnej Środzie (maced. *Rusa Sreda*).

– O świętej Rusej Sredzie – Bile ciężko stąpa, utykając na jedną nogę, ale mnie nakazuje, żebym usiadła przy stole. Przynosi zeszyt w kratkę, gdzie pochyłym pismem zapisała „wszystko o cerkwiach”. Tę wiedzę przekazała jej matka. Szuka okularów. Otwieram na stronach o Jasnej Środzie, próbujemy z Giorgicą odczytać rękopis.

– To mam od jednej kobiety z Prilepu – komentuje Bile. – Przyszła do cerkwi i zaśpiewała tę pieśń. Ona śpiewa, ja płaczę... Nigdzie nie został zapisany żywot świętej Rusej Sredy. Jeszcze tylko we Francji o niej słyszeli.

– A ja słyszałam, że była Niemką – dzieli się swoimi wątpliwościami Giorgica.

– Nie – zaprzecza Bilijana. W końcu znajduje okulary, dosiada się do nas: – Od kiedy mi zmarł syn, ledwo widzę. Prawe oko mi się wypaliło od płaczu, wzrok bardzo osłabł... ale trzeba jakoś żyć...

– Trzeba... – ciężkim westchnieniem wtóruje Giorgica.

Opowieść

„Święta Rusa Sreda ma piętnaście lat. Jej matka odeszła przedwcześnie, gdy Rusa Sreda była malutka. Ojciec był bogatym kupcem, który nie siedział w domu, tylko musiał dużo podróżować. By jego córeczka nie zostawała sama, ożenił się, ale jego nowa żona była bardzo zła. Nie mogła znieść swojej pasierbicy. Widząc, jak codziennie się modli, karała ją biciem, nie dawała jedzenia, zamykała w komórce, a Rusa Sreda wychodziła stamtąd coraz piękniejsza („czyli Bóg był z nią” komentuje Bile).

Zazdrosna macocha siedziała i rozmyślała, jak ma ją ukarać, żeby nie musieć więcej na nią patrzeć – chciała ją zniszczyć. Pewnego dnia wpadła na pomysł, żeby wysłać dziewczynę do gęstego lasu, a tam, żeby sługa ją zabił i jako dowód przyniósł jej serce. (...) Sługa zostawił Rusę Sredę w dalekim, ciemnym lesie i wrócił, nie odzywając się słowem do dziewczynki. Jako dowód przyniósł macosze serce zabitej sarny. Ona uwierzyła, że Rusa Sreda nie żyje.

Biedne dziecko zostało samo w ciemnym lesie. Nie wiedziała, co ma począć, więc zaczęła się modlić, żeby Bóg wskazał jej drogę.

Po długim czasie znalazła dróżkę. Wędrując, usłyszała galop koni i się wystraszyła. To byli heretycy, którzy w nic nie wierzą. Napadli ją i wrzucili do studni. W studni pomyślała, że już nic jej nie pomoże, i zwróciła się do Boga, prosząc pokornie o wybaczenie jej przewinień. Bóg posłał jej dwa aniołki („i dlatego na ikonie przedstawiona jest, jak dwa anioły wydobijają ją ze studni” – wtrąca lektorka). I nakazał, by uzdrawiała ludzi.

W tym czasie ojciec dziewczyny wrócił do domu i dowiedział się, że jego córka umarła. Żona się zaś rozchorowała i udali się w drogę w poszukiwaniu lekarstwa. O cudach Rusej Sredy szybko rozniosła się wieść – wkrótce i oni znaleźli się pod

skąłą, z której wypływała lecznicza woda, którą Rusa Sreda uzdrawiała. Ustawili się w kolejce potrzebujących, ale kiedy przyszła kolej na macochę, woda przestała płynąć. Macocha zawołała: »Dlaczego dla wszystkich starczyło wody, a dla mnie nie?«. Rusa Sreda odpowiedziała: »Nie dziw się matko, zło, które masz w sercu, doprowadziło do tego. Kazałaś mnie zabić, ale ja zostałam przy życiu. Teraz wróc do domu, tam będziesz leżała, dopóki się nie rozpadniesz, a twoje ciało przemieni się w ciernie. A ty, ojczu, jak chcesz, zostań ze mną, będziemy razem leczyć ludzi aż do czasu, gdy Bóg wezwie nas do swojego Królestwa«.

I tak też się stało, a do cerkwi Rusej Sredy po dziś dzień przychodzą ludzie, którzy wierzą w jej uzdrowieńczą moc, piją wodę z jej źródła i obmywają się, i ona im pomaga, dodaje im sił, odwagi i spokoju duszy”.

– Na przykład kiedy jest mi źle, tam mam wrażenie, że potrafię latać i wracam do domu jak nowo narodzona – mówi Bilijana. – Prilepczanka, co zaśpiewała tę pieśń, powiedziała, że u nich w mieście znają ją wszystkie stare kobiety.

Świątynia

Pytam Bilijanę o jej świątynię – Zaczęło się ponad 40 lat temu – mówi. – Byliśmy całą rodziną w Skopje, marzec 1972 roku. Wracając, niedaleko Resen, poczułam, jakby samochód się zapalił (a wcale się nie palił), otworzyłam drzwi, i całe szczęście, że się w nim otwierały odwrotnie, bo inaczej wciągnęłoby mnie pod koła, a tak wypadłam na beton, zabrali mnie do szpitala, od niedzieli do wtorku byłam w śpiączce, miałam wstrząs mózgu. Od tego czasu mam też powykręcane kości nóg. I później przyszło do mnie, żeby wybudować cerkiew. A żyliśmy wtedy w biedzie. Ale zaczęli przychodzić do mnie ludzie, którzy mieli sny. Wtedy mieszkaliśmy w wołoskiej dzielnicy. Pytali, dlaczego nie buduj cerkwi Rusej Sredzie. I przyszły też dwie kobiety, Tonica i Kalina, ty je znasz – mówi do Giorgicy. – Powiedziały, że podczas odpustu na Nikolicę będą zbierać u siebie na moją cerkiew. Zebrały 170 tysięcy. A mój mąż mówi: „Ja mam budować cerkiew na tym błocie?”.

Pytam, skąd wiedzieli, gdzie mają budować. – Powyżej świętego Nikoli, na wzgórzu, tam zanosili mnie Tonica i Kalina – odpowiada Bile. – Ja wtedy nie byłam jeszcze zdrowa, one mówiły: „Bóg

doda ci sił”. I rzeczywiście mi dał. Kopaliliśmy kilka lat i osusziliśmy to miejsce, wylaliśmy taras, postawiliśmy cerkiew. Doprowadziliśmy drogę, bo wcześniej trzeba było przechodzić przez dużą rzekę. Ale zestarzeliliśmy się, mój mąż zmarł, sześć lat po nim mój syn. Zostałam sama z córką, mam zięcia, wnuki, doczekałam się prawnuczek.

Pokazuje zdjęcie bobasa w stroju ludowym. Bilijana sama go wykonała z tkaniny biało-czerwono-czarnej, jak tkano i szyto w jej rodzinnej wiosce.

– Ja mam dwie – włącza się Giorgica, a zaraz nagle przypomina sobie o chorym palcu koleżanki, która znowu proponuje nam kawę, i pyta jej: – Pomidor z cukrem przykładałaś?

– Pomidor z cukrem, drożdże, miód...

– A propolis?

– I propolis, i to czym się smaruje pępek niemowlakom, i czym jeszcze nie, ale widocznie nie czas jeszcze, by ozdrowiał, taką mam krew.

– Antybiotyki?

– Brałam. Trzy i pół roku temu stłukłam go i nic nie pomaga, jeszcze nie przyszedł czas na to. Mówili, że mam raka skóry. Ja mówię: „I co z tego, to też jest dla ludzi. Dajcie spokój, nie mam raka”. Od swojego przeznaczenia nie możesz uciec.

– Mnie od rana strasznie boli głowa, wczoraj miałam problem z naciśnięciem przez jedną sytuację, której nie mogłam znieść – dodaje Giorgica – ale sobie pomyślałam, że jak dziewczyna zadzwoni do mnie, pójdę z nią do Rusej Sredy.

– To idźcie, obmyj się tam, dam ci klucz – dodaje Bile.

Pytam o wizerunek Rusej Sredy. On też pojawił się we śnie kobiecie z odległego miasta. Otrzymała polecenie przyjechać do Ochrydy i sprzedawać kopie, żeby szerzyć kult. Tam, przy dworcu autobusowym, spotkała ją matka Bilijany. Została wykonana większa kopia do świątyni.

– Ja mam tę ikonę Rusej Sredy też w swojej cerkwi – mówi Giorgica. – I przyszedł raz jeden z popów i mówi: „Zabierz ją stąd!”. „Nie, nie zabiorę – odpowiedziałam. – Co ci przeszkadza? Ona nic ci nie robi!”. Z kalendarza ją usunęli...

Państwo dziesiąte

Pytam jeszcze o modlitwy do Rusej Sredy.

– Ja używam modlitw z prawosławnego modlitewnika, to są modlitwy →

→ od Boga, a nikt nie powinien łamać zasad danych od Boga. – Bilijana zaraz zaczyna czytać modlitwy, ale jednak z zeszytu mamy, a nie te pochodzące z prawosławnego modlitewnika. Giorgica dodaje ludową pieśń o świętej Niedzieli.

– A mama skąd знаła te pieśni?

– Ha! Ona była wyjątkowa – odpowiada Bilijana. – Raz przychodzi do niej we śnie święty Naum i mówi: „Pisz! Módlcie się, ludzie, żeby się zbawić, bo nadszedł czas – czas modlitwy, czas zagłady, czas zapisany”. I ona od razu się przebudziła i to zapisała.

– Nie wiem, której dokładnie z Ochrydy śniło się, ale chyba Tonicy – kontynuuje wątek Giorgica. – Usłyszała: „Żeby ocalić Macedonię, wszyscy odmawiają tę modlitwę: »Panie, ochroń nasze państwo, niedościgłe, dziesiąte, i ocal je«”. Dziesiątka była zapisana u Boga. Bardzo starym państwem jest Macedonia, najstarszym, dziesiątym.

Giorgica: – Naprzód Dziadek Bóg dał wszystkim ludom ziemię, a o nas, Macedończykach, zapomniał. I zebrali się kilku ludzi i udali się do niego: „Dziadku Boże, wszystkim dałeś ziemię, a nam nie”. „O, to prawda, zapomniałem o was... Ale za to dam wam teraz kawałek mojego Rajskiego Ogrodu – tylko o niego dbajcie! Dam wam kawałek Raju, ale musicie go pilnować!”. Ale nam zabrali...

Nasza gospodyni podsumowuje: – Jeszcze nikt nie wziął ze sobą więcej niż jedną skrzynię, w niej jeden koc i jedno prześcieradło, nic więcej... Zmarł jakiś doktor, co przyjmował łapówki. Przed śmiercią powiedział kolegom, by pochowali go z otwartymi dłońmi, żeby zobaczył, co żona włoży mu w ręce na pożegnanie. Żona dała mu chusteczkę – co innego miała dać? Później przyśnił się kolegom: „Zlitujcie się, tam mówią o mnie »ten łapówkarz«. Odkopcie mnie i odwróćcie mi ręce, żeby przestali tak mnie nazywać

„Kiedy jest mi źle,
idę na wzgórze z cerkwią.
**Tam mam wrażenie,
że potrafię latać**
i wracam do domu
jak nowo narodzona ”

na tamtym świecie. W zamian powiem wam, gdzie zakopałem złoto”.

– Nie ma tajemnic – z wiarą, ale też lekkim zdziwieniem mówi Giorgica.

– Nie ma, wszystko jest wiadomym. Czyli święci wiedzą, i jaki masz problem, i jaki jest na niego lek... – dopowiada Bile.

Odwiedziny Tito

– A jak było w tym roku w Elśani? – pyta Bilijana o obchody wiejskiej sławy. Świętuje się tam Zaśnięcie Matki Bożej, Wielką Bogarodzicę, jak nazywają tę uroczystość. Miejscowość położona wysoko w górach dziś jest opustoszała, ale na samo święto, raz w roku, przybywają dawni mieszkańcy i tysiące gości z całej Macedonii, a za pośrednictwem internetu uczestniczą w niej również członkowie diaspory w Australii.

– Dobrze. Tylko popa nie było – odpowiada Giorgica. – A jak kiedyś we wschodniej Macedonii przesunęli obchody o jeden dzień, bo święto wypadło w piątek, a oni, żeby nie było postne, przenieśli na sobotę. Ona jak uderzyła!

Kobiety przywołują narrację, którą słyszałam już wielokrotnie. Chodzi o tragedię z 1996 r., kiedy od uderzeń pioruna zginęło dziewięć osób, a kilkadziesiąt odniosło obrażenia. W rzeczywistości Zaśnięcie wypadło wówczas w środę, czyli podobnie jak piątek w dzień ścisłego postu, ale ludowym zwyczajem na to święto ofiarowuje się zwierzęta, a także przygo-

towuje w wielkich kotłach wspólny posiłek – mandżę z jagnięciny. Obchody przesunięto na czwartek. W tym roku święto również wypadło w środę. W Elśani nie przełożono festy, ale gulasz z ofiarnych owieczek przyrządzono, odczytując *post factum* z pogody, że taka widocznie była wola Matki Bożej.

– W tym roku padało, ale jak przyszła pora posiłku, wyszło słońce, trawa, na której gromadzą się tysiące osób, wysuszyła się, czyli tak chciała Bogarodzica – mówi z przekonaniem Giorgica. – A ten zwyczaj wziął się stąd, że pewnego pastera wysoko w górach złapała wielka burza. I modlił się: „Litości, Bogarodzico, jak mnie uratujesz, masz ode mnie trzy owce”. Uratowała go, czyli chciała, żeby na ten dzień ofiarować jej mięso.

Na koniec, zanim poszliśmy z Giorgicą do lasu do świątyni Rusej Sredy, Bile opowiada jeszcze jeden sen: – Jak miałam kłopoty, czyż nie pojawiły mi się przeszkody też we śnie? Tito siedzący naprzeciw Bogarodzicy, chwala Ci Boże! I ja, jak go zobaczyłam, zesłam z góry i podeszłam do niego i mówię mu: „Jej, ty ożyłeś!”. „Wiesz, kim jestem?” – rzekł. „Wiem, jesteś Tito”. „Kochacie mnie?”. „Kochamy – powiedziałam. – Niech gadają, co chcą, my za twoich czasów pokonczyliśmy szkoły, domy pobudowaliśmy i nauczylismy się, jak żyć. Teraz – mówię do niego – zaprowadzę cię do Rusej Sredy”. „To chodźmy” – mówi. Wstałam, podałam mu dłoń, wstał ze mną, chwyciłam go pod ramię i idziemy. Idziemy, ale ludzie zaczęli wznosić mury z kamieni. Jakby labirynt mi zrobili. I on powiedział: „Chodź za mną!”. I teraz on na przedzie, ja za nim, i mnie wyprowadził na górę. Jeden most, drugi most i za trzecim mostem skręcimy na górę. I teraz przystanął i mówi do mnie: „Wyprowadziłem cię na czysto?”. „Wyprowadziłeś mnie. Teraz jeszcze tylko jeden most i będziemy u Rusej Sredy”. „Nie. Zatrzymaj się. Czy wiesz, kim jestem?”. „No wiem, ty jesteś Tito”. „Nie – odrzekł. – Ja jestem ten, bez którego nie otwiera się cerkwi, i bez mojej matki”. „Chwała Ci Boże!”. A bez kogo nie otwiera się cerkwi? Bez Jezusa Chrystusa i bez Bogarodzicy. I znikł.

© MIRELLA MAKURAT

W Sądzie Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 37/19 postępowanie z wniosku Stefana Wawrzyniaka o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Graf zmarłej 07.11.1981 r. ostatnio zamieszkałej w Osieku, gmina Jarocin. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo własności zabudowanej nieruchomości o powierzchni 1,47,38 ha.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Autorka jest etnologką, prowadzi badania na Bałkanach m.in. nad religijnością na pograniczach kulturowych. Niektóre nazwy i imiona zostały zmienione.

SZYMON

Hołownia: Mamy wspólne pragnienia



„ZIEMIA JAŁOWA. OPOWIEŚĆ O ZAGŁĘBIU” Magdaleny Okraski, wydana w ubiegłym roku, u mnie dopiero teraz doczekała się lektury. Nie mogła trafić w lepszy czas: w październiku odwiedziłem na spotkaniowo-wykładowej trasie ponad 20 miejscowości, czasem wieczorem rozmawiając z ludźmi w Elblągu, a już rankiem następnego dnia – w Szczawnicy, kończąc dzień na kolejnym spotkaniu w Wieliczce. Politycy w kampanii wyborczej jeżdżą tak przez parę kluczowych predelektacyjnych miesięcy, destynacje określając często z pomocą speców od tzw. „geografii wyborczej” (to oni podpowiedzieli np. Andrzejowi Dudzie przed drugą turą wyborów, które uczyniły go prezydentem, że powinien odwiedzić przede wszystkim trzy miasta w kujawsko-pomorskim i trzy w śląskim, w których to regionach dobry wynik osiągnął Paweł Kukiz, przejmując w ten sposób oddane na niego głosy).

Ja żyję tak (bo to też już sposób na życie, nie tylko praca) od sześciu, siedmiu lat, a więc dłużej niż nie tylko kampania, ale i jakakolwiek polityczna kadencja. Prawie dwieście spotkań w roku, prawie sto tysięcy przejechanych po Polsce kilometrów. Dziesiątki tysięcy twarzy, głosów, setki miast, gmin, wsi. Bez tej perspektywy trudno uwolnić się od lepiącej się do człowieka działającego na co dzień w Warszawie (czy innym dużym polskim mieście) pokusy, wyrażającej się w opiniach nabrzmiewających najczęściej po każdych kolejnych wyborach: bo to wszystko przez „tę prowincję”, „na tej prowincji ludzie biorą 500 plus, są zadowoleni, nie mają żadnych innych potrzeb, ich łatwo kupić”, „prowincja ciągnie Polskę w dół” itp.

Śluchając tych wyższościowych idiotyzmów, mam szaloną ochotę zaprosić ich autorów w moją trasę. Żeby porozmawiali sobie z tymi, którzy nie różnią się od nich naprawdę niczym, prócz adresu. Którzy wrzucani do jednego worka z „miastowym” wyobrażeniem ciemnego ludu nie mają czasem nawet szans pokazać, że dzisiejsza polska wieś (czy małe miasteczko) naprawdę nie wygląda tak, jak w XIX-wiecznej noweli czy malarstwie. A przede wszystkim niczym nie różni się w potrzebach od miasta.

Co ma z tym wspólnego książka Magdaleny Okraski? To świetnie napisana relacja z bardzo osobistej (autorka tu mieszka) podróży po Zagłębiu – krainie wciąż mylonej przez wielu Polaków ze Śląskiem, miejscu, które pod koniec XIX wieku nagle wybuchło przemysłem i osadnictwem, a za PRL-u (zwłaszcza za Gierka) stało się emblematem myślenia ówczesnych polskich przywódców o rozwoju i postępie (produkujemy dużo ciężkich przedmiotów z metalu). Pokazuje nie żadną geograficznie opisaną Polskę B czy Polskę C, a Polskę oddzielną od innych Polsk zupełnie innym kryterium:

tę, która została – nie z własnej woli – w latach 90. XX wieku. W latach, w których upadały nie tylko wielkie socjalistyczne przedsiębiorstwa, ale waliła się wraz z nimi cała ich społeczna otulina, cały ten ekosystem zakładowych przychodni, żłobków, szkół, osiedli, wreszcie – ekonomia całych wyrosłych wokół nich miast (gdy huta czy fabryka przestaje płacić, rację bytu traci kawiarnia, sklep i zakład usługowy, w którym zarobione pieniądze wydawano, z czasem wyprowadza się służba zdrowia, transport etc).

Jasne, ktoś w tych miastach próbuje robić rewitalizację, za unijne pieniądze wybuduje ścieżkę rowerową, otworzy „klimatyczną kawiarenkę” czy będzie za wszelką cenę próbował posadzić tu jakiś niewielki biznes. Te miasta, te zakątki, wciąż zagrzewają się – hasłami swoich radnych czy burmistrzów – do biegu naprzód, mimowolnie patrząc jednak w tył. Jeden z bohaterów książki kwituje to tak: „Tu nie ma nawet co robić listy. Wszystko jest zamknięte. Wszystko! Jak polski rozwój ma polegać na tym, że budujemy ścieżki rowerowe i spacerowe i taką Fabrykę Życia, gdzie się kawę pije, to lepiej tę Polskę zamknijmy. No tak, nową kompostownię otworzyli. Co ja mam kompostować, siebie? Lata siedemdziesiąte to socjał, to byt. Teraz coś pod nowym szyldem, pod PiS-em się rodzi, ale nie ma już przemysłu. Państwo mamy religijne, a co się stało z człowieczeństwem?”.

Jeżdżąc tyle po Polsce, co rusz trafiam do miejsc, w których 500 plus owszem lata dziury (i to jasne, że lepiej chodzić w polatany, niż w dziurawy), ale to kropelka, po której odłączeniu pacjent nie będzie ani trochę zdrowszy, niż był. W których najwięcej energii i światła jest we wspomnieniach, a nie w marzeniach, bo karmione nimi zrywają tyle razy weryfikował już negatywnie nasz „nowy, cudowny świat”. Te brednie o Polsce leniwej, uzależnionej od socjału i głoszącej na PiS, i tej przedsiębiorczej, wspierającej KO czy Lewicę, pękają jak mydlana bańka, gdy 300 czy 500 kilometrów od Warszawy rozmawia się z ludźmi, którym chce się działać, robić, słuchać, uczyć się, niezależnie od tego, że mają ledwie cień tych, które są dostępne w Warszawie (i często tu ignorowane), możliwości.

Nic się w Polsce nie zmienia, jeśli ta Polska, która żyje już w rytmie XXI w., nie wyciągnie ręki i nie poczeka na tę, która od czasów balcerowiczowskiej rewolucji wciąż próbuje sztuki złapania jakiejś płaszczyzny, z której można by odbić się do skoku, i coraz mniej jej się chce, gdy wciąż czuje pod stopami ruchome piaski. Nie pragnienia nas różnią, a właśnie możliwości.

Uważam za szczególne błogosławieństwo, że swojego osobistego patriotyzmu mogę dziś nie budować na lukrowanych obchodach, flagach, pieśniach i łzach z powodu rocznicy, a na widokach i głosach z Zawiercia, Wieliczki, Strzegomia, Miłostawia, Chojnic, Braniewa, Zamościa. Tam widać, że Polaków nie zlepią na dobre wojny o PKB czy przeciw LGBT, że popękane dziedzictwo zaborów, komunistów, nuklearnej transformacji lat 90. da się scalić tylko wtedy, gdy zmieni się optykę, horyzont. Nikt z nas nie żyje, nie pracuje, nie kocha w dewastującym rytmie kadencji, czy to prezesa zarządu, czy posła na Sejm. Jeśli coś ma się realnie, a nie tylko na banerze zmienić, polskie życie publiczne – polityka, biznes, samorząd, itd. – musi zacząć myśleć i działać w dużo bardziej ludzkiej perspektywie pokolenia.

©



WYWRÓCONA SZACHOWNICA

Jedenaście dni: tyle wystarczyło, by rozkołysać region
i zakwestionować wiele z tego, co dotąd wydawało się pewne
– w Syrii i nie tylko.

KRZYSZTOF STRACHOTA

PRZYPOMNIJMY FAKTY. ZACZEŁO SIĘ 6 października, gdy prezydent Donald Trump zapowiedział ostateczne wycofanie żołnierzy USA z Syrii i jednostronne przekazanie odpowiedzialności za sytuację w tym rejonie Turcji, Europie oraz państwom regionu – komukolwiek, kto ma z Syrią problem.

Trzy dni później Turcja zaczęła – odwołując się do domniemanej umowy z USA – ofensywę na północną Syrię, kontrolowaną przez tamtejszych Kurdów. Jej deklarowanym celem było utworzenie „strefy bezpieczeństwa” o szerokości 30 km wzdłuż granicy, odepchnięcie (*de facto* zniszczenie) sił i ośrodków politycznych Kurdów oraz docelowo relo-

kacja części syryjskich uchodźców przebywających w Turcji (to 3,6 mln ludzi).

Wstrząs z konsekwencjami

Turecka operacja wstrząsnęła północną Syrią. Nawet 200 tys. ludzi mogło opuścić domy, uciekając przed bombardowaniami, wojskami tureckimi i – co gorsza – idącymi w pierwszej linii oddziałami protureckiej opozycji syryjskiej. Po obu stronach mogło zginąć łącznie do tysiąca ludzi (wojskowych i cywilów).

Operacja wstrząsnęła też światową opinią publiczną: oto Kurdowie, dzielnie walczący z samozwańczym kalifatem, a przy tym postępowi, zostają porzuceni przez USA i rzuceni na pastwę

agresywnej Turcji. Postępowanie prezydenta Erdoğan rozhuštało wreszcie – do niewyobrażanych rejestrow – relacje turecko-zachodnie. Padły groźby zalenia Europy przez Turcję milionami uchodźców i groźby zniszczenia tureckiej gospodarki (przez Trumpa), na przemian z wyrazami zrozumienia, a przynajmniej bezradności ze strony Zachodu. Tymczasem na tereny zajmowane przez Kurdów zaczęły wkrać rządowe siły syryjskie i wojska rosyjskie (w porozumieniu z Kurdami).

I nagle, 17 października, pada wieść, że specjalna delegacja USA z wiceprezydentem Pence'em i sekretarzem Pompeo ustala w Stambule z Turkami zawieszenie broni w Syrii, zapowiada wycofanie



AAREF WATAD / AFP / EAST NEWS

Tureckie czołgi i wspierający Turków syryjscy bojownicy w pobliżu wsi Qirata, północna Syria, 14 października 2019 r.

Jednak tym razem nie może być powrotu do tego, co było – nawet gdyby umowę ze Stambułu udało się zrealizować. Z grona graczy, którzy dotąd siedzieli przy syryjskiej szachownicy, znikają Amerykanie, a mocna figura, jaką byli Kurdowie, staje się pionkiem. Turcja zaś dostaje szacha i czeka na mata.

W historii konfliktu syryjskiego, trwającego od 2011 r., porównywalnym wstrząsem było tylko pojawienie się tzw. Państwa Islamskiego (w 2014 r.) i interwencja rosyjska (w 2015 r.).

USA: odwrót planowy

W ostatnich latach konflikt syryjski, choć bynajmniej nie zamarł, poniekąd się ustabilizował. Reżim w Damaszku, wspierany przez Rosję i Iran, nie tylko przetrwał, ale był zdolny do coraz odważniejszych działań ofensywnych. Opozycja – niedobitki coraz bardziej radykalnych grup radykałów sunnickich – została zepchnięta w region Idlib, gdzie ulega stopniowej marginalizacji. Jedna trzecia kraju (północny wschód Syrii) kontrolowana była przez Kurdów, którzy we współpracy z USA rozbili Państwo Islamskie, uniknęli otwartego konfliktu z Damaszkiem oraz stworzyli efektywne struktury polityczne i wojskowe, z każdym rokiem coraz bardziej przypominające samodzielne państwo.

Kluczowym graczem w tym konflikcie – mimo bardzo ograniczonej obecności militarnej – pozostawały USA, buforujące napięcia między kurdyjskimi towarzyszami broni a tureckimi sojusznikami i blokujące Rosję oraz Iran. Turcja – która dawno pożegnała się z marzeniami nie tylko o odbudowie Imperium Osmańskiego, ale nawet o pozycji patrona arabskich sunnitów – kontentowała się zabezpieczaniem granicy i nadzieją na ograniczanie państwowotwórczych postępów Kurdów (niebezzasadnie traktowanych przez Ankarę jako projekt Partii Pracujących Kurdystanu, PKK, i zagrożenie dla bezpieczeństwa oraz integralności terytorialnej samej Turcji).

Dziś faktem staje się wyjście USA z Syrii. Niezależnie od kuriozalnego i gorszego stylu, w jakim się to odbywa (i liczą-

nych niekonsekwencji na poziomie realizacji), jest to proces planowy, spójny z oczekiwaniami amerykańskiego podatnika i wyborcy oraz spójny z polityką Trumpa, który skraca fronty i brutalnie mobilizuje do wysiłku sojuszników (także z Europy). Wreszcie – to proces pozwalający Amerykanom wyjść z syryjskiego klinczu, jako że USA nie miały żadnych widoków na zdominowanie procesu politycznego w Syrii.

Kurdyjskie rozczarowania

W minionych dniach żołnierze USA nie tylko więc opuścili z trudem budowane pozycje, ale zostawili po sobie potężną nieufność wobec Ameryki – zarówno wśród Turków, jak też zwłaszcza Kurdów, jedynych partnerów USA w tym konflikcie.

Choć Kurdowie nie zostali dotąd rozbici przez potężną machinę wojenną Turcji – i niewiele wskazuje, by w najbliższej przyszłości to nastąpiło – to dziś muszą zawiesić swoje marzenia o podmiotowej roli w polityce regionalnej, co jest ich strategiczną klęską. Pozbawieni amerykańskiego parasola, narażeni na militarną presję Turcji, zostali zmuszeni do uznania zwierzchnictwa Damaszku i do wypuszczenia sił rządowych i rosyjskich (na własne pozycje i strategiczną infrastrukturę, jak tama na Eufracie, lotniska czy miasto-symbol Kobane).

Kurdowie są nadal potrzebni Damaszkowi i Moskwie: dają silne struktury administracyjne i potencjał militarny, dają też przeciwwagę wobec Arabów-sunnitów. Ale w Syrii będą odtąd funkcjonować na narzuconych warunkach (i nie ma ich w gremiach, które zajmują się pracami nad nową konstytucją czy procesem pokojowym). Będą też musieli zapłacić wysoką cenę za lata nielojalności wobec prezydenta Asada. Zapewne będzie to udział w ofensywie na opozycyjny Idlib, która prędzej czy później nastąpi.

Inna sprawa, że nie z takich opresji Kurdowie wychodzili w ciągu ostatnich 40 lat.

Bezradna Turcja

Niezależnie od buńczucznych tonów, fatalny jest bilans październikowej ofensywy dla Turcji. Owszem, wbili klin między Kurdów i USA. Owszem, szykuje się redukcja kurdyjskiego parapaństwa w Syrii (choć nie likwidacja). Ale... Turcja →

Kurdów na odległość żądanych 30 km i podjęcie rozmów o rozejmie (Kurdowie w tych rozmowach nie uczestniczyli).

Można by powiedzieć, że rollercoaster wyhamował. Patrząc wstecz, można by też orzec, iż pędził on po drodze starej i przewidywalnej: w końcu Turcy od dawna zapowiadali podobne działania (i działali: w początku 2018 r. podbili kurdyjską prowincję Afrin). Także Trump już w grudniu 2018 r. ogłosił i rozpoczął wycofanie wojsk z Syrii, a w styczniu 2019 r. obwieścił swą akceptację dla „strefy bezpieczeństwa”. No i przecież niejedna karczemna awantura między Turcją a Zachodem miała już miejsce, a wszystko wracało do normy...

⇒ nigdy nie mogła się czuć tak samotna i bezradna: USA zagroziły „atomowymi” sankcjami gospodarczymi, sojusznicy z NATO nabrali wody w usta, a w polu tureckie wojsko stanęło naprzeciw Rosjan, co wyraźnie pokazuje granice sprawczości Ankary.

Wreszcie, „strefa bezpieczeństwa” w Syrii miała pozwolić relokować tam znaczną liczbę uchodźców syryjskich, rozładować narastające na tym tle napięcie w Turcji i stworzyć bufor między Turcją a Kurdami. Jednak nie ma na to szans. Co więcej: skutkiem zbliżającej się nieuchronnie ofensywy Asada i Rosjan na Idlib może być eksodus do Turcji kolejnych 2-3 mln uchodźców – szczególnie, bo mających za sobą lata warunków frontowych, wrośniętych w radykalne struktury opozycji islamskiej i bynajmniej nie ciepło nastawionych do Turcji.

Sukces Asada i Iranu

Choć ani Amerykanie, ani Kurdowie, ani Turcy nie nadawali tonu konfliktowi syryjskiemu w ostatnich latach, ich miejsce było wyraźnie zaznaczone, pozycje mniej lub bardziej mocne, a w rękę mieli mocny pakiet blokujący rozwiązania forsowane przez Damaszek, Moskwę i Teheran. Dziś, po tych 11 dniach, sytuacja jest już zupełnie inna.

Turecka operacja „Źródło Pokoju” i ekwilibrystyki Waszyngtonu – to jeden z największych sukcesów reżimu Asada od początku wojny (a na pewno sukces osiągnięty najtańszym kosztem). Doszło do neutralizacji najbardziej niebezpiecznych dla Asada mocarstw (USA i Turcji) oraz do rozpoczęcia nowej i spektakularnej fazy reintegracji jednej trzeciej kraju, dotąd kontrolowanego przez Kurdów.

Co ważne, proces ten odbywa się metodami politycznymi, przy akceptacji – i częściowo zachęcie – samych Kurdów. Obiecuje nie tylko ziemię z jej bogactwami (np. kontrolowanymi dotąd przez Kurdów złożami ropy), ale też efektywne struktury administracyjne i siłę zbrojną. Bo jednym z nieoficjalnych, ale przecież oczywistych punktów umowy syryjsko-kurdyjskiej jest przejście sił kurdyjskich pod komendę Syryjczyków i Rosjan.

Satysfakcji Asada wtóruje Iran: siły USA znikają z kluczowego dla Irańczyków państwa. Znikają w stylu, który w regionie postrzegany jest jako słabość, zdrada (wykorzystanego sojusznika: Kur-

dów) i uległość (i to wobec krnąbrnego klienta USA, tj. Turcji). Rozwój sytuacji w Syrii jest doskonałym przedłużeniem sukcesów irańskich w Jemenie oraz konsekwentnego osłabiania Arabii Saudyjskiej (regionalnego rywala i jednocześnie klienta Waszyngtonu). Jakby tego było mało: ostatnio Saudowie rozwiązali swoich problemów coraz otwarciej szukając w Rosji, a nie w USA.

Rosja głównym zwycięzcą

Jednak graczem, który najbardziej „zasłużył” sobie, by odcinać kupony od dzisiejszej sytuacji, jest Rosja. Moskwa zapracowała sobie na mocną pozycję już w latach 2015-16, gdy jej lotnictwo – wspierające syryjskie i irańskie siły lądowe – pozwoliło obronić reżim i przejść do ofensywy (także kosztem Turcji). Ale to był dopiero początek: dziś Rosja kontroluje proces polityczny w Syrii. Posiada rozległe instrumentarium nacisków i ofert pod adresem Damaszku, Teheranu, Ankary, Kurdów, a do pewnego stopnia także państw Zachodu.

W czasie ostatniej tureckiej operacji Rosja była w stanie – równocześnie! – udzielać politycznego przyzwolenia Turcji (blokując antyturecką rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ) i udzielać jej wsparcia militarnego (rozpoznanie), jak też podkreślać nielegalny charakter operacji tureckiej, zajmować pozycje kurdyjskie (będące celem Ankary) i trzymać palec na spuście rozpoczynającym ofensywę w Idlibie. To Rosja ma instrumenty, które pozwalają jej rozgrywać przeciwko sobie Damaszek, Teheran, Ankarę i Kurdów albo kanalizować ich wysiłki w wygodnym dla siebie celu. Jeden warunek: będzie mogła to osiągać dopóty, dopóki sytuacja w Syrii i regionie pozostaje napięta.

Nieodmiennie jednak głównym adresem syryjskiej polityki Rosji pozostaje Zachód: to pogłębiający się rozziw między Turcją a USA/NATO, który Rosja podsyca i rozgrywa, daje jej nadzieje na osiągnięcie strategicznych sukcesów, a nie na zajęcie kolejnego kurdyjskiego miasteczka.

W roli widza

Ostatnie dwa tygodnie dały ogromną okazję do rekonstrukcji lokalnych zawiłości konfliktu wokół Syrii, do ilustrowania samopotwierdzających się prawi-

deł geopolityki, do perwersyjnego kontemplowania twitterowych bonmotów Trumpa (np. o jego mądrości i Kurdach, którzy nie lądowali w Normandii, albo o Syrii jako bezwartościowym piachu). Były też impulsem do pochyleń się nad tragedią wojny, tragedią Kurdów i masowych przejawów solidarności z ofiarami. Zwłaszcza europejscy politycy dawali wyraz oburzeniu działaniami Turcji, troskali się o uchodźców i ostrzegali przed odrodzeniem Państwa Islamskiego oraz powrotem terronu do Europy.

Jednak w tym wszystkim dominuje postawa widza, ograniczona do kategorii moralnych i estetycznych. Tymczasem – zwłaszcza z perspektywy Europy – problem Bliskiego Wschodu narasta, a ci, którzy (w różnym stylu i przy dyskusyjnych efektach) parali się nim – czyli USA, Turcja i Kurdowie – są dziś słabsi lub nieobecni.

Łatwo jest gardłować za Kurdami, ale zapewne mało kto z wyrażających swą solidarność chciałby wysłać tam europejskie wojska (pytanie też, czy są tu możliwości techniczne). Łatwo wybrzydząć na Turcję, ale jej problem z Syrią (i Kurdami, i uchodźcami) jest faktem, a dotychczasowa pomoc finansowa dla Ankary kroplówką, dla Unii zaś łatwym samousprawiedliwieniem. Łatwo obśmiewać Trumpa, ale on ma rację, że Syria (uchodźcy, terroryści) to problem Europy, nie USA, nakłady na rozwiązanie tego problemu rozkładają się zaś dalece nierównomiernie. Tragikomiczne są zarzuty o nieracjonalności Waszyngtonu i nielojalności wobec sojuszników: Trump wykazał się przecież daleko posuniętą elastycznością wobec Turcji, swego NATO-wskiego sojusznika.

Pozostaje Syria, w której rękę na „kurku” z uchodźcami i terrorystami (np. sprawa Idlibu i jeńców z Państwa Islamskiego) trzymają Rosja z Iranem. Świadomi, jak potężna jest to karta przetargowa. Pozostaje Turcja, zaplątana w węzeł problemów wewnętrznych i regionalnych, właściwie bezbronna wobec osaczającej ją Rosji i coraz bardziej skora do desperackich gestów (jak odblokowanie migracji do Europy).

Bezrefleksyjność i bezradność Europy wobec tego, co się dzieje w jej bezpośrednim sąsiedztwie, to nie największy powód do troski. Co jednak nie powinno być pociechą.

© KRZYSZTOF STRACHOTA



BURAK KARA / GETTY IMAGES

Widok na Hasankeyf przed zalaniem spiętrzonymi wodami Tygrysu, 1 października 2019 r.

Miasto przed potopem

HANKA NOWICKA Z HASANKEYF (POŁUDNIOWO-WSCHODNIA TURCJA)

Władze Turcji twierdzą, że budowa tej tamy na Tygrysie ma zapewnić nowe źródło energii. Ich oponenci, że chodzi o jeszcze większą kontrolę nad mniejszościami: Kurdami i Arabami.

TO JEDNO ZDANIE, WYPOWIADANE PO CI-
chu, słycać raz po raz. „Jako ostatni
opuszczę miasto!” – powtarza sobie Meh-
met, pochylając się nad maszyną krawiec-
ką. I Senol, który sprzedaje butelki wody
prosto z lodówki ustawionej na końcu
bazaru. Powtarza je Cetina, próbujący
opchnąć turystom kolorowe broszury
o tonącej perle Mezopotamii.

Położone w południowo-wschodniej
Turcji starożytne miasto Hasankeyf – do
niedawna liczące 3 tys. mieszkańców – to
jedna z najstarszych osad ludzkich: we-
dług szacunków archeologów ludzie żyją
tu od 12 tys. lat. Kolebka cywilizacji. Dziś
ostatni mieszkańcy pośpiesznie pakują
dobytek życia. Gdy byłam w Hasankeyf,

na wyprowadzkę mieli jeszcze tydzień.
Potem wody Tygrysu, spiętrzone przez
tamę Ilisu, miały zalać miasto. A także
300 starożytnych mieszkalnych jaskiń,
zabytkowe budowle i unikalną przyrodę.

Rób zdjęcia, póki można

Jeszcze przed zakrętem słycać jej głos.
Starsza kobieta wychyla się z tarasu na
drugim piętrze i krzyczy w stronę bul-
dożera, pracującego po drugiej stro-
nie uliczki. Krzyk miesza się z płaczem:
„Prześcieście natychmiast!”

Robotnicy nie sobie z tego nie robią. Już
raz zatrzymała ich, na trzy dni. Więcej nie
dadzą się nabrać na płacz. Oni tylko wy-
konują polecenia. Do poniedziałku ma

być zrobione. – Była tu taka jedna. Poje-
chała z rodziną obejrzeć nowy dom, przed
wyprowadzką. Zmarła kilka dni później.
Kobiecina padła z wrażenia – mężczyźni
rechoczą, odpalając nawzajem papierosy.

– Oni chcą mnie zabić! – sprawczyńi
zamieszania kurczowo trzyma mnie za
rękę. Wcześniej chwyciła mnie, wychy-
lając się zza metalowej bramy, i wcią-
gnęła na swoje podwórko. Bedrige, bo
tak się nazywa, zatacza ręką koło nad
trzema kondygnacjami. – Oni zburzą
mój dom!

Stoimy w ciasnym uścisku między
kolumnami toreb i walizek. Podwórko,
ocienione zielenią, po brzegi zapełniają
większe i mniejsze tobołki. Piramida dy-
wanów opiera się o schody. Stos koców
i kap podtrzymuje dolny taras. Z gałęzi
drzew zwieszają się ciężkie owoce z toreb
foliowych, napchanych dobytkiem życia.
Kaskady firan opływają większe i mniej-
sze kartony. Wylewają się z nich czajniki,
ubrania, zabawki. Krzew głogu oplata
rura od odkurzacza. Bedrige ze zwinno-
ścią dziewczynki kursuje w tym labiryn-
cie. Trudno uwierzyć, że ma 85 lat.

Z tarasu rozpościera się widok na Ha-
sankeyf. – Rób zdjęcia – starszuszka nama-
wia głosem miłym, ale nieznoszącym →

→ sprzeciwu. – Rób, rób. Niedługo tego nie będzie.

Wdrapuje się na murek balkonu i przytula do drzewa owocowego: – Mąż je zasadził.

Niczym wprawny reżyser, Bedrige oprowadza po domu, wskazując wszystko, co wymaga udokumentowania: drzewa, święte obrazy z Medyny, drobne pamiątki z Mekki. Fotografować należy wszystko, poza nią samą. Jest pobożną kobietą, wdową po imamie, nie pokazuje twarzy. Za to z dumą pokaże największą księgę Koranu w Hasankeyf.

Od kiedy wie o wyprowadzce? – Wiele lat nas straszyla, ale kto by wierzył?! Tak ludzi przenosić...

Kobieta porządkuje swój dobytek od trzech miesięcy. Transport przyjeżdża jutro. Tylko Allah wie, jak wszystko się pomieści. Nikt nie pomaga. Sąsiedzi dawno się wyprowadzili. A rodzina? Bedrige odgrzebuje album, drobne dłonie przebierają wśród kolorowych zdjęć. Tu siostra z mężem. Porzucił ją, lajdak jeden. A tu ze ślubu.

– O, patrz, tu ja, jak brzydko wyszłam – rzuca figlarne spojrzenie. – A tu syn z rodziną. Wyniósł się stąd. I córka z dziećmi. Żyją daleko, w mieście.

– Sama to robię, sama. Kto ma mi pomóc? Oni tylko czekają, aż umrę. Wtedy zburzą mój dom – dodaje.

Wielki projekt

Z tarasu Bedrige widać oddalony o 3 km nowy most.

70 km za nim w dół rzeki na uruchomienie czeka ukończona zaporą. Na tamie Ilisu powstanie druga co do wielkości elektrownia wodna w Turcji. Ma produkować rocznie 3800 gigawatogodzin i dostarczać energię o równowartości 1,3 biliona tureckich lir, co daje 4 proc. krajowego zapotrzebowania na prąd.

Ilisu to część wielkiego rządowego Projektu Anatolii Południowo-Wschodniej (GAP).

Pomysł na wykorzystanie energii rzecznej Tygrysu powstał już w 1954 r. Ale, według obrońców praw człowieka, dziś chodzi o kontrolę nad Kurdami i Arabami. Ma na to wskazywać zlokalizowanie wszystkich wielkich inwestycji tureckich na terenach zamieszkałych przez mniejszości. Sama budowa Ilisu wymusza przesiedlenie 15 tys. ludzi z 200 miejscowości.

A przecież GAP zakłada budowę jeszcze 21 p mniejszych tam.



W oczekiwaniu na wielką falę: nad brzegiem Tygrysu, Hasankeyf, 2 października 2019 r.

Analitycy polityki międzynarodowej wskazują na kolejną możliwą przyczynę. Tama powstała w strategicznym miejscu, 140 km od granicy z Irakiem. W razie sąsiedzkiego konfliktu zaporą może posłużyć Turkom jako narzędzie polityczne – jak kurek z wodą, który można przykręcić.

Wody Tygrysu są kluczowe dla życia w tym regionie.

Turecki Rejtan

– Sprawa jest czysto polityczna, nie ma nic wspólnego z ekonomią – uważa Mehmet Ali Aslan, stojąc po kostki w wodzie. Były poseł Partii Ludowo-Demokratycznej (HDP), opozycyjnej wobec prezydenta Erdoğan i prokurdyjskiej, chłodzi stopy po dniu pełnym spotkań. Promienie zachodzącego słońca odbijają się od śnieżnobiałej koszuli, nadają jego okrągłej miękkiej twarzy romantyczny charakter.

– Po tych górach hula wiatr, słońce dotyka ich przez wszystkie pory roku. Gdyby naprawdę chodziło o energię, postawiliby farmy wiatrowe albo panele słoneczne. Można by też przyciągnąć więcej turystów. Ale tu jest pogrzebana historia kurdyjska, aramejska, arabska. Nie tu recka – przekonuje.

Mehmet patrzy na wysoki brzeg. Czarne otwory ciągnących się po horyzont jaskiń zioną pustką. Palcem wskazuje ponad nimi, w miejsce, gdzie buldożery grzebią pozostałości średniowiecznych budowli: – To tam przypięłam się łańcuchami do skał po tym, jak usłysza-

łem pierwszą detonację. Odłamki tego wybuchu utkwily w moim sercu. Hasankeyf to nie tylko nasza sprawa, ale całej ludzkości. W tej ziemi leżą przodkowie wielu narodów.

Zdjęcie skrępowanego łańcuchami Mehmeta Aslana w koszulce z napisem „Ocalmy Hasankeyf” obiegała tureckie media w sierpniu 2017 r. Poseł zyskał sławę i przydomek „wspierającego lud”. Ale prace nad usunięciem zabytków zatrzymał tylko na jeden dzień. Położenie się Rejtanem nie uratowało go też przed odsunięciem od władzy. Po niezadowolających rządzącą partię AKP wynikach lokalnych wyborów wiosną tego roku Ankara zadbała, by żaden z licznych w regionie prokurdyjskich polityków nie objął swego urzędu. Oficjalny powód? Rzekoma współpraca z kurdyjskimi partyzantami z PKK.

Mehmet działa więc oddolnie. W formalną politykę Turcji już nie wierzy. Za to wierzy w Europę.

– Gdybyż Europa upomniała się o Hasankeyf... – zaczyna marzyć.

– A gdzie tam! – asystentka przerywa mu gwałtownie. Arzu wychowała się we Francji i ma dość idealizacji starego kontynentu. – Europa też jest winna! Słyszeliście, że projekt od początku wspierały firmy z Niemiec, Szwajcarii i Austrii? – dziewczyna potrząsa głową, pochylona do kamery. Oburzenie nie znika z jej twarzy jeszcze chwilę po tym, gdy słyszy, że owszem, firmy i banki europejskie z poparciem swych rządów były zaangażo-



HANKA NOWICKA

Były pasterz Ali w opuszczonej mieszkalnej jaskini pod Hasankeyf, październik 2019 r.

wane w inwestycję od 2005 r., ale wycofały się z niej cztery lata później, na fali międzynarodowej krytyki. Zostali tylko Holendrzy. Przenoszą zabytkowe budowle na drugą stronę rzeki.

– Co za wstyd! – Arzu odsuwa się od kamery. Pomaga Mehmetowi z YouTube’em. Dokumentuje miasto przed zalaniem. Z Europy przyjechała z wizytą do babci, do Izmiru, a wylądowała na drugim końcu Turcji.

– Nie darowałabym sobie, gdybym nic nie zrobiła. Jak mieszkałam w Stambule, walczyłam o każde drzewo, każdy park. A o Hasankeyf się w ogóle nie mówi! Ludzie tu zostali zostawieni sami sobie. Moja znajoma, Kurdyjka, ma rację. Nikt w Turcji nie reaguje, bo nie uważa tego dziedzictwa za swoje.

Nowe muzeum starożytności

Auto pnie się pod górę. Ahmet parkuje przy grobowcu turkmeńskiego księcia Zejnela Beja z XV w. Wysoki na 15 metrów budynek kształtem przypomina szachowy pionek. Został przeniesiony z drugiej strony rzeki. Teraz strzeże drogi do Nowego Hasankeyf. W oddali widać „park kultury”.

Ahmet wskazuje ciasno upchane budynki: – Meczet z czasów kurdyjskiej dynastii Ajubidów, widzicie? Obok grób Imama Abdullaha postawiony przez turkmeńskich Artukidów, a dalej uniwersytet seldżucki z początku XVII w.

Nieliczni ocalańcy nadchodzącego popo-
topu.

Bo najważniejszych zabytków nie da się przenieść. Najstarsze są jaskinie skalne, drążone przez pierwszych osadników z epoki neolitu. Po nich fort rzymski, zbudowany na polecenie Konstantyna Wielkiego ok. 300 r. n.e., strzegący granicy z Persją. I ogromne filary, pozostałości średniowiecznego mostu na Jedwabnym Szlaku. Oraz wiele innych śladów panowania Bizantyjczyków, Arabów, Mongołów i Osmanów.

Nie do przeniesienia są też naturalne siedliska przyrodnicze. Ekolodzy z międzynarodowej grupy Europa Nostra mówią o 25 zagrożonych wyginięciem gatunkach ptaków.

– Jeśli to się nie nadaje na obiekt UNESCO, to już sam nie wiem, co mogłoby nim być – mówi Ahmet. Hasankeyf spełnia wszystkie wymagania, by zyskać tytuł. Brakuje tylko formalnego wniosku, który musiałby złożyć rząd Turcji.

Nowe życie

Jednak mieszkańców obecnie nie zajmują ptaki ani zabytki, tylko kwestia przetrwania.

Wprawdzie rząd wykupił od wszystkich domy, a większości zagwarantował nowe, po drugiej stronie rzeki. Trzeba jednak dopłacić różnicę w cenie, nierzadko dwukrotną. Znacząca większość przesiedleńców nie ma szans na spłacenie długu za swego życia, więc banki pośredniczące w projekcie każą podpisywać zobowiązania do spłacenia pożyczki przez ich dzieci.

Ci, którzy przeprowadzili się już do Nowego Hasankeyf, mają nowe problemy. Gospodarzom zakazano zabrania zwierząt, brakuje zdutnej do picia wody. Ale najbardziej uciążliwa jest izolacja. Nowe osiedle to wciąż społeczna pustynia. Równe rzędy identycznych kamiennych domów są zasiedlone w niewielkim stopniu. Po ulicach hula wiatr.

Na przyszłym trawniku przed świeżo postawionym ratuszem siedzi trzech mężczyzn. Palą papierosy, popijając czaj. Jak się żyje w nowym miejscu? – Ciężko, ciężko – odpowiadają.

Ale domy mają nowe, czasem większe od starych. – To prawda, bardzo nowocześnie. Ale za to tam było pięknie!

Nowy biznes

Póki nie odcięto prądu i wody, w starym Hasankeyf wciąż jeszcze kwitnie życie. Sklepiarze próbują wycisnąć ostatni grosz ze swych małych biznesów. Nawet prace rozbiórkowe i tzw. archeologiczne prowadzą miejscowi. Z czegoś trzeba żyć.

Ahmet wydaje się zatroskany. Dotąd biznes turystyczny szedł mu świetnie. Ale to ostatni taki sezon.

– Zamiast pójść ze mną na całodniową wyprawę, turyści spędzą najwyżej dwie godziny w muzeum – mówi zrezygnowany.

Siedzimy przy stoliku jednej z bardziej zatłoczonych kawiarni. Taras zawieszony nad klifem, 25 m pod nami płynie Tygrys. Znad kawy widać leniwie sunące mostem wycieczki. Ktoś się zatrzymuje, pozując do zdjęć na tle filarów antycznego mostu. Łagodna melodia skrzypiec z głośników miesza się z odgłosami koparek. Ciężki sprzęt pracuje dzień i noc nad umocnieniem brzegu, 35 m nad nami. Zabezpiecza podstawę średniowiecznego zamku, jedynej budowli, która znajdzie się ponad taflą wielkiego jeziora zalewowego.

Nagle Ahmet ożywia się. Widać, że ma żylkę do biznesu: – Będzie można tu nurkować w poszukiwaniu skarbów! Zrobimy wypożyczalnię sprzętu dla nurków, podwodne toury, może nawet kursy. Chodziłem po Hasankeyf z turystami, to teraz mogę z nimi pływać. Czemu nie?

Protest na skwerze

Na tydzień przed zapowiedzianym terminem zamknięcia Hasankeyf na skwerze w Stambule trwa akcja protestacyjna. Kilka osób maluje transparenty, kilka tłumaczy przechodniom, pokazuje zdjęcia. →

→ Na scenie grają muzycy. Pojawia się słynny aktor Orhan Aydın, znany z roli młodego Erdoğan w filmie „Reis” (po turecku: „Szefer”) z 2017 r., a także z zaangażowania w obronę starożytnego Hasankeyf.

– To haniebne zachowanie rządu, wstyd na wieki. W Hasankeyf rząd pokazuje swoje prawdziwe oblicze. Stosuje presję na ludzi, niszczy nasze dziedzictwo. Jeszcze twierdzi, że robi to w imię islamu! Musimy się temu przeciwstawić. Nasz głos musi być słyszalny – mówi Orhan, jednocześnie pozując przechodniom do zdjęć.

Po drugiej stronie

W Stambule łatwo tak mówić. Ale w Hasankeyf nikt jawnie nie protestuje. Nie ma głupich! Jeszcze im życie miłe.

Rıdvan Ayhan pokazuje w telefonie zdjęcie z więzienia tureckiego. Zakrwawione i posiniaczone nagie ciało skępowanego człowieka z torbą na głowie.

– Takie rzeczy się u nas dzieją – twierdzi. Sam trafił za kraty na 7 lat, na fali aresztowań po puczu wojskowym w 1980 r. – Miesiąc wcześniej jeden student chciał tu zrobić manifestację. Tylko przyjechał do Hasankeyf, a policja go przepędziła.

Mimo to Rıdvan nie traci nadziei: – To miejsce kiedyś będzie wolne! – mówi z zapałem.

Założył stowarzyszenie w obronie dziedzictwa historycznego i natury. Kalendarz ma nabity. Mieszka za miastem, ale w Hasankeyf jest codziennie, oprowadza gości zagranicznych, w tym dziennikarzy, którzy pojawiają się tu często: – Jako dzieciak mieszkalem w jaskini. Było nas jakieś 300 rodzin. Do moich obowiązków należało przynoszenie wody na mułach dwa razy dziennie. Mama wstawiała wcześniej, szła nad rzekę robić pranie, wracała, jedliśmy śniadanie i potem szybko do szkoły.

– Szkoła też była w jaskini? – pytam.

– Nie, w latach 70. zbudowali nam most, bo wcześniej przechodziło się Tygrys w bród. A przy moście szkołę i 200 domów. Ludziom kazali opuścić jaskinie i zejść do tych domów. Dla większości nie starczyło miejsca. Opuścili miasto na dobre. Ci, co zostali, stworzyli nowy Hasankeyf. Dziś nazywają go już Starym. Nowy, rządowy, jest po drugiej stronie rzeki. © HANKA NOWICKA

Sługa złej sprawy

MARTA SZPALA Z ZAGREBIA I BELGRADU

Radość z Nobla dla Olgi Tokarczuk przystoniła w Polsce emocje, które na świecie wzbudziło wyróżnienie Petera Handkego. Nagroda dla austriackiego pisarza utrudni proces pojednania na Bałkanach.

OFICJALNIE PIERWSZY ZAREAGOWAŁ amerykański PEN Club. W oświadczeniu, krytykującym decyzję Komitetu Noblowskiego, czytamy, że nie powinno się nagradzać pisarza, który „wykorzystał swą popularność, by podważać prawdę historyczną i publicznie wspierać osoby, które dopuściły się zbrodni wojennych – prezydenta Serbii Slobodana Miloševića czy przywódcę bośniackich Serbów Radovana Karadžića”.

W mediach bałkańskich i zachodnich toczy się debata, czy w przypadku Handkego można oddzielić twórczość literacką od aktywności publicznej i poglądów. Padają pytania: dlaczego Szwecja, która stała się ojczyzną dla ponad 100 tys. uchodźców z byłej Jugosławii, nagrodziła artystę, który kwestionuje udokumentowaną przeciw zbrodni ludobójstwa? Albo: czy może ta zbrodnia, popełniona na Bałkanach, jest na tyle nieistotna z punktu widzenia Zachodu, że przy takiej nagrodzie można nie brać pod uwagę skutków, jakie tam wywoła?

Negacjonista

Wojna w Bośni nie zaczęła się w Srebrenicy, która jest najbardziej znanym, a zarazem najbardziej dramatycznym momentem tego konfliktu. Zaczęła się w Prijedorze, w Zachodniej Bośni, w 1992 r. Wielu z tamtejszych mużmańskich mieszkańców trafiło do obozów koncentracyjnych, zorganizowanych przez Serbów m.in. w miejscowościach Omarska i Krajina. Ponad 5 tys. z nich zabito w okolicznych lasach (wcześniej byli torturowani); ich ciała do dziś nie znaleziono. Pół miliona mużmańskich mieszkańców wygnano z domów, by ten mieszany etnicznie obszar stał się regionem czysto serbskim.

Mimo tych zbrodni wojna trwała kolejne trzy lata, a świat miał wątpliwości,

co właściwie dzieje się w Bośni i Hercegowinie.

Adi Ćerimagić – analityk w European Stability Initiative, pochodzący z Bośni – przypomina mi, że gdy wówczas Bośniacy starali się informować opinię publiczną na Zachodzie o skali zbrodni, popełnianych głównie przez Serbów, Handke kwestionował publicznie doniesienia medialne. Mnożył wątpliwości, a dziennikarzom zarzucał brak obiektywizmu i uprzedzenia wobec Serbów. Twierdził, że Bośniacy sami masakrują własną ludność w Sarajewie, by zrzucić winę na wojska serbskie Karadžića. Po wydarzeniach w Srebrenicy – gdzie armia bośniackich Serbów w ciągu kilku dni strzałami w tył głowy zabiła 8 tys. mężczyzn i młodych chłopców – Handke stwierdził, że być może Serbowie mieli prawo dokonać zemsty za zbrodnie popełnione wcześniej na ludności serbskiej.

Pisarz przyjaźnił się z serbskimi watażkami. W 1999 r. był świadkiem na ślubie Novislava Dajicia, skazanego później przez niemiecki sąd za zbrodnie popełniane w okolicach Fočy. Handke odwiedził go w więzieniu i uczynił bohaterem jednego ze swoich dramatów, przedstawiając jako niewinną ofiarę historii, bezpodstawnie wtrąconą do więzienia.

Warto przypomnieć, że dokumentację zbrodni w Bośni i Hercegowinie zawdzięczamy także Tadeuszowi Mazowieckiemu: mianowany w 1992 r. specjalnym sprawozdawcą Komisji Praw Człowieka ONZ, po miesiącach bezskutecznego przekonywania, że międzynarodowa społeczność powinna „powstrzymać zło”, w ramach protestu zrezygnował ze stanowiska. W swoich raportach Mazowiecki podkreślał tragiczną sytuację społeczności mużmańskiej, zagrożonej eksterminacją.



LOUISA GOULIAMAKI

Wypędzeni przez serbskie wojska mieszkańcy wsi Junuj w Kosowie po przekroczeniu granicy z Albanią, czerwiec 1998 r.

Za to stanowisko wielu jest wciąż Mazowieckiemu wdzięcznych. Peter Handke wybrał inną drogę – i kwestionował takie doniesienia.

Wsparcie dla Miloševicia

Publiczna aktywność pisarza zbliżyła go do ówczesnego prezydenta Jugosławii Slobodana Miloševicia, który po dwóch przegranych wojnach, w Chorwacji i Bośni, potrzebował legitymizacji na arenie wewnętrznej.

W 1995 r., tuż po podpisaniu porozumienia w Dayton (kończącego wojnę w BiH), Handke wyruszył w podróż po tym zniszczonym kraju. Wrażenia z tej wyprawy przedstawił w zbiorze esejów „Zimowa podróż wzdłuż rzek Dunaju, Morawy, Sawy i Driny. Sprawiedliwość dla Serbii”. Pobyt w miejscach, gdzie dokonano największych zbrodni na ludności bośniackiej, skłonił go jedynie do refleksji, że to Serbowie byli ofiarami tej wojny. Porównał ich los do losów Żydów w czasie Holokaustu – choć akurat z tych słów, pod naciskiem opinii publicznej, się wycofał i publicznie przeprosił.

Boris Varga, politolog i dziennikarz z Nowego Sadu, tłumaczy mi, że reżim Miloševicia szukał wtedy na Zachodzie dokładnie takich osób. Potrzebował sojuszników, którzy będą propagowali dyskurs o Serbach jako ofiarach wojny, których przywódcy musieli bronić narodu przed agresją Zachodu.

Ze swoją romantyczną wizją Serbów jako bojowników przeciwko zgniłemu Zachodowi Peter Handke wpisywał się

w tę narrację. Jego „Zimowa podróż...” szybko została przetłumaczona na serbski, a fragmenty książki publikowały najpoczytniejsze serbskie dzienniki. Pisarz stał się bardzo popularny w Serbii – jako jedna z niewielu osób na Zachodzie, która miała rozumieć Serbów i być im przychylna. Nie ze względu na książki, które pisał, lecz narrację, iż Serbowie przegrali wojny przez spisek światowych mediów, które były do nich uprzedzone.

W podzięce Milošević uhonorował Handkego państwowym odznaczeniem. Później, w 2012 r., pisarz został honorowym członkiem Serbskiej Akademii Nauk. Właśnie w tym środowisku powstawały idee, które uzasadniały politykę czystek etnicznych w latach 90. XX stulecia.

„Nie wiem, jakie są fakty”

Gdy w 1999 r. rozpoczęły się bombardowania Serbii przez NATO – w związku z działaniami Belgradu wobec kosowskich Albańczyków – w ramach protestu Handke wystąpił z Kościoła katolickiego. Watykanowi zarzucał prowadzenie antyserbskiej polityki. Domagał się też od niemieckiego ministra spraw zagranicznych zwrotu wszystkich swoich książek.

Wprawdzie decyzja o interwencji NATO w Serbii była krytykowana przez rozmaite środowiska, ale tylko Handke uznawał, że brutalna polityka Belgradu wobec kosowskich Albańczyków, w tym mordowanie przeciwników politycznych, jest usprawiedliwiona.

Właśnie ze względu na przychylną Serbom narrację prezydent Milošević wezwał go na świadka przed Międzynarodowym Trybunałem ds. byłej Jugosławii, gdzie był sądzony w związku ze zbrodniami, które popełniono w latach 90.

Choć akurat tę propozycję Handke odrzucił, to w 2006 r. zdecydował się wygłosić mowę na pogrzebie Miloševicia w Požarevacu. Przy tej okazji stwierdził, że „nie wie, jakie są fakty” – choć zbrodnie popełniane przez bośniackich Serbów i serbskie wojsko w Kosowie zostały dobrze udokumentowane przez Trybunał w Hadze.

Również ta decyzja świadczy, że Handke nie zmienił poglądów – i do końca popierał polityka, który był jednym z głównych odpowiedzialnych za tamten dramat Bałkanów.

Nagroda kontra nagroda

Decyzja Komitetu Noblowskiego wzbudza dziś burzliwą debatę także w krajach niemieckojęzycznych. Podczas gdy minister spraw zagranicznych Niemiec Heiko Maas stwierdził, że choć Handke „nie jest postacią niekontrowersyjną, na pewno jest mistrzem języka niemieckiego”, prasa niemiecka jest bardziej krytyczna.

Za komentarz do literackiego Nobla dla Handkego uznaje się też decyzję, którą w minionym tygodniu podjęło jury Niemieckiej Nagrody Książkowej (Deutscher Buchpreis to chyba najbardziej prestiżowa nagroda literacka w Niemczech). Otrzymał ją Saša Stanišić za książkę „Pochodzenie”.

Pisarz ten, pochodzący z serbsko-bośniackiej rodziny i urodzony w Višegradzie, bardzo krytycznie odniósł się do piarstwa Handkego. Po decyzji jury stwierdził, iż „miał to szczęście, że zdołał uciec przed tym, czego Handke nie opisuje w swoich książkach”. Dodał, że „jest to bardzo dziwne, jeśli przedstawia się rzeczywistość w taki sposób, że składa się tylko z kłamstw”.

Inna książka tego autora „Jak żołnierz gramofon reperował” (przetłumaczona na polski) opisuje zbrodnie popełnione przez Serbów w jego rodzinnym Višegradzie.

Smutek Bośniaków

W Bośni nagroda dla Handkego wywołuje dziś smutek i frustrację, a także gębokie rozczarowanie stanowiskiem Komitetu Noblowskiego.

Pochodząca z Sarajewa Šelja mówi mi, że „jest zdziwiona, że ktoś w ogóle →

→ mógł uznać iż można oddzielić negowanie ludobójstwa w Bośni od twórczości literackiej”. Podobnego zdania jest Adi Ćerimagić, który uważa też, że Handke wykorzystał swą pozycję i twórczość, by propagować swoje poglądy polityczne.

Nie brak tu również opinii, że występowanie w obronie Serbów było ze strony pisarza cyniczną zagrywką. Według tej interpretacji skandal, jaki wywołały poglądy Handkego na wojnę w Bośni, miał tylko zwiększyć jego popularność i umocnić jego wizerunek jako *enfant terrible* europejskiej sceny literackiej, występującego przeciw poprawności politycznej. Wojna, która pochłonęła ponad 100 tys. ofiar, miałyby być trampoliną do większej kariery.

Bardzo ostre reakcje dochodzą też z Kosowa. Tamtejsze MSZ wydało oświadczenie dystansujące się od decyzji Komitetu Noblowskiego. Nagroda dla takiej osoby – w opinii kosowskich władz – podważa wysiłki demokratycznych społeczeństw na rzecz pokoju na świecie i jest bardzo bolesna dla ofiar serbskich działań na tym terenie.

„Nie był naszym sojusznikiem”

Natomiast w Serbii decyzja Komitetu Noblowskiego spotkała się wręcz z entuzjastyczną reakcją władz. Prezydent Vučić telefonicznie pogratulował pisarzowi i zaprosił go, by złożył oficjalną wizytę. Serbski przywódca podkreślił, że Nagroda potwierdza intelektualną odwagę i moralne zalety Handkego.

Jednak liberalni serbscy komentatorzy podkreślają, że Handke – wbrew swoim twierdzeniom – nigdy nie był sojusznikiem serbskiego narodu. Nie wspierał go, gdy w 1997 i 2000 r. w Belgradzie protestowano przeciw reżimowi Miloševića. Był, owszem, sojusznikiem – ale nie narodu, lecz ówczesnego prezydenta Serbii i jego polityki, która opierała się na czystkach etnicznych.

Sonja Biserko, przewodnicząca Komitetu Helsińskiego w Serbii, mówi mi, że teksty Handkego są wygodne dla tych Serbów, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, jaką rolę ich kraj odegrał w rozpadzie Jugosławii. Owszem, przyczyny rozpadu były złożone i nie tylko strona serbska popełniała zbrodnie wojenne. – Jednak to Belgrad jest odpowiedzialny za to, że proces ten przebiegał tak brutalnie i pociągnął za sobą aż tyle ofiar – podkreśla Biserko.

Trudniejsze pojednanie

O ile Komitet Noblowski broni swej decyzji, o tyle Handke nie ułatwia mu zadania. Pisarz sam stwierdził, że nie da się rozdzielić twórczości literackiej i publicystyki. Uznał, że Nobel jest potwierdzeniem, iż miał rację, a jego polityczne zaangażowanie w obronie zbrodniarzy wojennych – Karadźicia czy Ratka Mladicia, przywódców bośniackich Serbów – było słuszne.

Widać już, że decyzja Komitetu Noblowskiego będzie miała wpływ na proces pojednania na Bałkanach. Nie tylko dlatego, że z jednej strony Zachód domaga się rekoncylacji i rozliczenia zbrodni, a z drugiej honoruje człowieka, który te zbrodnie podważa. Proces pojednania zaczyna się od ustalenia faktów, a one są na Bałkanach ciągle kwestionowane. Teraz to zjawisko zostało jeszcze wzmocnione. Tym bardziej że w rozmowie z mediami z Belgradu sam Handke podkreślił, iż to nagroda nie tylko dla niego, lecz także dla Serbów.

Według Adi Ćerimagicia na Bałkanach uznano, że Nobel potwierdza, iż to, co Handke mówił i pisał o Serbach, jest prawdą. Tym samym jest to sygnał z Zachodu, że są dwie prawdy o wojnie w Bośni i ustalenia Trybunału ds. byłej Jugosławii nie mają znaczenia.

Podobnego zdania jest Boris Varga: podkreśla, że na Bałkanach przywódcy

wszystkich walczących wtedy stron relatywizują zbrodnie. Żadna nie chce rozliczenia własnej przeszłości, wzięcia odpowiedzialności za to, co się stało, a nacjonalistyczna retoryka w regionie w ostatnich latach została wręcz wzmocniona.

Według Kurta Bassuenera z Democratization Policy Council decyzja ta dodatkowo wspiera tych, którzy na Bałkanach chcą na nowo napisać historię wojen lat 90., aby przedstawić Serbów jako bezpodstawnie obwinianych o zbrodnie.

Dezinformacja i ideologia

Amerykański PEN Club zwraca uwagę, że w czasach narastającego nacjonalizmu, autokratycznego przywództwa i dezinformacji zasługujemy na lepszy wybór. Handke stosował strategię, którymi dziś posługują się media szerzące dezinformację: mnożył wątpliwości, kwestionował fakty, podważał wiarygodność dziennikarzy i samą możliwość ustalenia prawdy. Jego przyjaciele i bohaterowie z lat 90., jak Dajić, są dziś wykorzystywani przez białych suprematystów do uzasadniania zamachów przeciw islamskim społecznościom na Zachodzie.

Handke przedstawia się często jako ofiara nagonki, gdyż miał odwagę bronić Serbów i mówić prawdę o Bałkanach. Jednak był regularnie nagradzany – i to mimo protestów, jakie za każdym razem budziły te nagrody. W 2014 r. otrzymał Międzynarodową Nagrodę im. Ibsena, a w 2009 r. Nagrodę Franza Kafki. Tymczasem w Bośni ludzi wciąż szukają ciał zamordowanych bliskich, a ofiary często wciąż czekają na osądzenie tych, którzy te zbrodnie popełnili.

Literacki Nobel dla Handkego będzie mieć jeszcze jeden skutek: sprawi, że jego pisma będą jeszcze chętniej tłumaczone i znane na świecie. Nie tylko te świadczące o jego talencie literackim, ale także i te, które służą etno-nacjonalistycznej ideologii.

© MARTA SZPALA

TP

„Tygodnik Powszechny” znów ze wzrostem sprzedaży

Według danych Związku Kontroli Dystrybucji Prasy, podanych przez „Press”, w sierpniu 2019 sprzedaż „Tygodnika Powszechnego”

wzrosła o **5,76** procent!

Wszystkim Państwu dziękujemy za zaufanie, nowe Czytelniczki i nowych Czytelników gorąco witamy!



JEFF MITCHELL / GETTY IMAGES

Zamieszki po wyroku hiszpańskiego Sądu Najwyższego, Barcelona, 17 października 2019 r.

Proces dwunastu

KALINA BŁĄŻEJOWSKA

Mijają dwa lata od referendum niepodległościowego i październik w Katalonii znowu jest gorący.

W OSTATNICH DNIACH NA ULICE WYSZŁY setki tysięcy Katalończyków. Okupują tory i autostrady, maszerują i strajkują. Nad Barceloną unoszą się dymy z płonących barykad i samochodów. Nocami toczą się uliczne bitwy, w których policja używa pałek, broni gładkolufowej i rozpędzonych furgonek, a zamaskowani młodzi – kamieni, koktajli Mołotowa i puszek z kwasem. A także rakiet z petardami, z których celują w policyjne helikoptery. Są setki uszkodzonych, przynajmniej jedna osoba straciła oko od gumowej kuli.

Sto lat samotności

Zaczęło się w poniedziałek 14 października, kiedy w Madrycie ogłoszono wy-

rok w najważniejszym procesie w historii demokratycznej Hiszpanii. Siedmiu sędziów Sądu Najwyższego, po przesłuchaniu 422 świadków, jednogłośnie orzekło w sprawie dwunastu katalońskich polityków i działaczy niepodległościowych. A w pewnym sensie – w sprawie 2 mln 286 tys. Katalończyków, którzy dwa lata temu głosowali w referendum.

Najwyższą karę otrzymał były wicepremier katalońskiego rządu Oriol Junqueras: 13 lat więzienia za podżeganie do buntu (sedición) i malwersację środków publicznych. Za to samo na 12 lat więzienia skazani zostali trzej byli ministrowie katalońskiego rządu: Raül Romeva, Jordi Turull i Dolors Bassa. Za podżeganie do buntu, ale bez malwersacji, ukarano też byłą marszałek katalońskiego parlamentu Carme Forcadell (11 i pół roku więzienia), byłych ministrów Josepa Rulla i Joaquima Forna (po 10 i pół roku) oraz liderów katalońskich organizacji niepodległościowych Jordiego Sáncheza i Jordiego Cuixarta (po 9 lat). Zsumowanie wszystkich kar daje efektowną liczbę 99 i pół roku.

O wiele łagodniej hiszpański Sąd Najwyższy potraktował oskarżonych, którzy odpowiadali z wolnej stopy. Byli ministrowie Santi Vila, Carles Mundó i Meritxell Borràs zostali skazani za niepodporządkowanie się prawu (*desobediencia*): każdy z nich na 20 miesięcy zakazu sprawowania funkcji publicznych i 10

miesięcy grzywny o dziennej kwocie 200 euro.

Sąd nie przychylił się do argumentacji Prokuratury Krajowej, która w działaniach dziewięciu oskarżonych dopatrywała się buntu z użyciem siły (*rebelión*) i żądała dla nich od 17 do 25 lat więzienia. Nie zgodził się też z oskarżycielem ludowym (*acusación popular*, instytucja charakterystyczna dla prawa hiszpańskiego), czyli skrajnie prawicową partią Vox, która uznała sądzonych za zorganizowaną grupę przestępczą i domagała się dla nich kar od 24 do 74 lat więzienia.

Haczyk i świstek

Całość wyroku zajmuje 493 strony maszynopisu. Sąd Najwyższy ocenił, że choć w październiku 2017 r. w Katalonii doszło do „bezdyskusyjnych aktów przemocy”, nie była to przemoc wystarczająca do skazania za bunt z użyciem siły. Oskarżeni nie chcieli siłą obalić ustroju państwa, a jedynie zmusić Madryt do negocjacji; wszak zaraz po ogłoszeniu deklaracji niepodległości władze Katalonii podporządkowały się decyzji rządu centralnego o zawieszeniu autonomii regionu. „Wystarczyła publikacja kilku stron w Dzienniku Ustaw, aby cały spiszek został definitywnie przecięty” – przypomniano w wyroku. Stwierdzono też, że katalońscy politycy oszukali pełnych nadziei obywateli, a ci dali się złapać na „haczyk w postaci głosowania”.



⇒ Skąd więc wyrok za „podżeganie do buntu”? W opinii sądu manifestacja z 20 września 2017 r. i, kilka dni później, zachowanie głosujących w lokalach referendalnych, nie były zwykłymi akcjami obywatelskiego protestu, a „burzliwym powstaniem, do którego oskarżeni (...) zachęcali, aby metodą faktów dokonanych i siłą fizyczną zamienić decyzje sądowe w swistek papieru”. Co do zarzutu malwersacji, udowodniono, że czworo oskarżonych przekierowało ponad 250 tys. euro ze środków publicznych na organizację nielegalnego referendum.

Sąd Najwyższy wypowiedział się też na temat obywatelskiego nieposłuszeństwa, „prawa do decydowania” i prawa do samostanowienia – hasel, na które często powoływali się oskarżeni oraz ich obrońcy. Obywatelskie nieposłuszeństwo uznał za „niezbывalne dziedzictwo dojrzałej kultury politycznej”, ale wyznaczył jego granice: „nikt nie może przyznać sobie monopolu na interpretację tego, co jest legalne”, i utrudniać realizacji postanowień sądowych tylko dlatego, że uważa je za niesprawiedliwe. „Bo jaką to daje ochronę tym, którzy mogliby skorzystać z owych postanowień, lub tym, którzy je podzielają i uważają za sprawiedliwe?” – pytali retorycznie sędziowie. „Prawo do decydowania” według hiszpańskiego trybunału „nie istnieje”: nie ma go ani w prawie hiszpańskim, ani międzynarodowym, ani „żadnej europejskiej konstytucji”. Z kolei prawo do samostanowienia „należy czytać w kontekście”, a już na pewno nie dotyczy ono Katalonii, której niepodległości żąda tylko część obywateli.

Republika z siedzibą w Waterloo

Wyrok nie musi oznaczać, że katalońscy liderzy spędzą długie lata za kratami. Już teraz mogą starać się o złagodzenie warunków odbywania kary, a niedługo – o zwolnienia warunkowe. Mają też szansę – jeśli nie dziś, to w przyszłości – zostać uwłaskawieni przez króla. Wreszcie: mogą odwołać się do Trybunału Konstytucyjnego, a później do Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu.

Na razie jednak siedzą w celach. Tymczasem najważniejszy aktor katalońskiego dramatu (lub farsy, w zależności od punktu widzenia), były premier Carles Puigdemont, ma do dyspozycji willę na luksusowym osiedlu w belgijskim Waterloo, gdzie gości dziennikarzy, wydaje

Kalendarium kryzysu

- **6-7 IX 2017** Kataloński parlament uchwala prawo o referendum niepodległościowym i transformacji ustrojowej; ustawy zostaną zawieszane przez hiszpański Trybunał Konstytucyjny.
- **20 IX 2017** Hiszpańska żandarmeria przeprowadza w Barcelonie serię zatrzymań i rewizji. Gdy trwa przeszukiwanie w ministerstwie ekonomii, pod budynkiem gromadzi się wielotysięczny tłum, blokując wyjście funkcjonariuszom. Zgromadzeniu przewodniczą Jordi Cuixart i Jordi Sànchez, liderzy najważniejszych organizacji niepodległościowych. Bezskutecznie wzywają do pokojowego zakończenia protestu. Manifestujący dewastują trzy samochody żandarmerii i zostają rozprzeczni przez katalońską policję.
- **1 X 2017** Katalończycy głosują w nielegalnym referendum. Według danych rządu Katalonii frekwencja wyniosła 43 proc., 90 proc. oddało głos na „tak”, 8 proc. na „nie”.
- **10 X 2017** Premier Katalonii Carles Puigdemont ogłasza DUI, czyli Jednostronną Deklarację Niepodległości. Zawiesza ją kilka sekund później, w oczekiwaniu na dialog z rządem centralnym.
- **16 X 2017** Jordi Cuixart i Jordi Sànchez zostają aresztowani.
- **27 X 2017** Parlament Katalonii proklamuje niepodległość. Wkrótce potem hiszpański rząd zawiesi autonomię regionu, rozwiąże jego parlament i ogłosi wybory (odbędą się 21 grudnia 2017 r.; wygrają ugrupowania niepodległościowe).
- **30 X 2017** Puigdemont z czwórką współpracowników ucieka do Belgii.
- **2 XI 2017** Do aresztu trafia b. wicepremier Katalonii Oriol Junqueras i ośmiu ministrów rządu Puigdemonta. Później dołączy do nich b. marszałek katalońskiego parlamentu Carme Forcadell.
- **2 VI 2018** Uformowany zostaje nowy rząd Katalonii, a region odzyskuje autonomię.
- **25 X 2018** Rozpoczyna się proces przed Sądem Najwyższym.

przyjęcia i przewodniczy zebraniom samorządowej Rady Republiki. I choć wydano za nim Europejski Nakaz Aresztowania – na parę dni trafił nawet do niemieckiego aresztu – nie udało się go sprowadzić do Hiszpanii. Belgijskie i niemieckie sądy robiły trudności, więc, w obawie przed międzynarodową kompromitacją, sędzia śledczy Pablo Llarena cofnął nakaz. Wznowił go kilka godzin po ogłoszeniu wyroku w „procesie dwunastu”. W odpowiedzi Puigdemont sam stawiał się na belgijskim komisariacie (na razie został puszczony wolno). Prawdopodobnie ściągana będzie też szóstka innych katalońskich polityków przebywających na „uchodźstwie” – w Belgii, Szkocji i Szwajcarii.

Żółte szaliki

Władze Katalonii od początku mówiły o „więźniach politycznych” (hiszpańskie media: o „uwięzionych politykach”) i snuły historyczne analogie ze sprawą Lluísa Companysa – katalońskiego premiera, który w 1934 r. ogłosił powstanie Państwa Katalońskiego, za co został skazany na 30 lat więzienia, a po wojnie domowej na karę śmierci. Dziwnym trafem wyrok w „procesie dwunastu” ogłoszono w przeddzień rocznicy rozstrzelania Companysa, co oczywiście wykorzystał Puigdemont. 15 października na Twitterze umieścił wpis po angielsku: „Tego dnia 79 lat temu wykonano egzekucję na moim poprzedniku. Faszystowski reżim Franco użył prawa i trybunałów, aby to uczynić. [Companys] został wybrany przez naród, Franco był kryminalistą, który wygrał wojnę domową. Nigdy nie zapomnimy”.

Wcześniej aktualny minister spraw zagranicznych Katalonii (owszem, jest taka teka) wydał oświadczenie, w którym kary więzienia dla dziewięciu liderów nazywa „błędem o historycznym znaczeniu, który nie rozwiązuje problemu, a jedynie go pogłębia”. I zaapelował: „Społeczność międzynarodowa musi pełnić aktywną rolę w rozwiązaniu konfliktu między Katalonią a Hiszpanią. Nikt nie powinien pozostać obojętnym na tego rodzaju naruszanie praw podstawowych”. A skazany Oriol Junqueras zamieścił na Twitterze nagranie, na którym mówi: „To nie jest sprawiedliwość, to zemsta”.

Już dwa lata temu, po pierwszych aresztowaniach, na katalońskich balkonach i latarniach zawisły żółte wstążki i transparenty z hasłem „Uwolnić więźniów politycznych”. Modne stały się żółte szaliki

i apaszki (największą kolekcję ma Puigdemont), regularnie odbywały się czuwania i manifestacje poparcia dla oskarżonych. Pewne było, że wyrok wzbudzi wielkie emocje, więc jeszcze przed jego ogłoszeniem rząd centralny wysłał do Katalonii dodatkowe dwa tysiące funkcjonariuszy policji i żandarmerii. Niby sporo, a jednak za mało.

Agenci, prowokatorzy, sabotażyści

Protesty zaostrzały się z dnia na dzień. W poniedziałek 14 października anonimowa grupa pod nazwą Demokratyczne Tsunami wezwała do okupacji barcelońskiego lotniska, na wzór aktywistów z Hongkongu. Przez aplikację na smartfony rozsyłała fałszywe bilety lotnicze, dzięki którym manifestanci weszli za bramki. Zablokowali też wszystkie drogi dojazdowe („Można się stąd wydostać tylko samolotem” – odpowiadali policjanci na pytania zdezorientowanych turystów). Blokada trwała do późnego wieczora. Potem zaczęły się starcia z siłami prewencji: na lotniskowym parkingu i przed komisariatem hiszpańskiej policji w centrum Barcelony.

Każdy kolejny wieczór kończył się zamieszkami – także w mniejszych miastach. Za prowodyrą uchodzą CDR, czyli Komitety Obrony Republiki – radykalna organizacja, od 2018 r. znajdująca się na celowniku hiszpańskich służb. We wrześniu dziewięciu jej członków aresztowano pod zarzutem terroryzmu, buntu z użyciem siły i posiadania materiałów wybu-

chowych. Operacja, w której ich rozpracowano, nosiła kryptonim „Judas”.

Według przecieków ze śledztwa, z członkami CDR potajemnie kontaktował się obecny premier Katalonii Quim Torra. Po pierwszych zamieszkach Torra napisał na Twitterze, że „przemoc nas nie reprezentuje”, ale unikał jasnego potępienia zająć. Dopiero w nocy z 16 na 17 października wystąpił z dwuminutowym oświadczeniem, w którym oświadczył, że „dla wandalizmu nie ma żadnego usprawiedliwienia”, a „ruch niepodległościowy buduje, nie niszczy. Nie jest przeciw nikomu, jest na korzyść wszystkich”. Ale wspominał też o „grupach agentów i prowokatorów”, psujących wizerunek pokojowego ruchu.

Naprawdę pokojowe były Marsze Wolności, które wyruszyły w środę 16 października z pięciu miast Katalonii. Do Barcelony dotarły w piątek – w dzień strajku generalnego, przez polityków prawicy nazywanego „sabotażem”.

Siła spokoju

Co na to Madryt? Po decyzji Sądu Najwyższego p.o. premiera Pedro Sánchez oznajmił, że „w pełni szanuje i stosuje się do wyroku”, który „musi być wykonany w całości”. Tym samym przeczał spekulacje o szybkim ułaskawieniu skazanych. 16 października, w reakcji na rozruchy, oznajmił, że „umiarkowanie jest siłą”, a „odpowiedź rządu będzie dostosowana do zachowania i decyzji rządu Katalonii”. Zaznaczył, że „nie wyklucza żadnego scenariusza”. Te zaś sufluje opozycja. Konserwatyści z Partii Ludowej domagają się

wprowadzenia w Katalonii stanu wyjątkowego, a liberałowie z partii Ciudadanos – ponownego zastosowania artykułu 155. konstytucji, czyli zawieszenia autonomii. Tylko lewica z Podemos krytykuje wyrok Sądu Najwyższego i apeluje o polityczne rozwiązanie problemu.

Dzień po wystąpieniu Sáncheza premier Quim Torra zaskoczył nawet własnych współpracowników, zapowiadając w katalońskim parlamencie nowe referendum. „Jeśli za wystawienie urn służących do samostanowienia skazują nas na sto lat więzienia, odpowiedź jest jasna: trzeba będzie znowu wystawić urny służące do samostanowienia”. Licytuje wysoko, bo od głosów partii katalońskich może zależeć przyszły rząd Sáncheza.

Ostatnia odsłona katalońskiego konfliktu przypada na okres wyborczy: 10 listopada Hiszpanie czwarty raz w ciągu czterech lat będą wybierać posłów i senatorów. Socjaliści z PSOE walczą nie tylko o utrzymanie władzy, ale przede wszystkim o poszerzenie elektoratu, tak by móc wreszcie sformować stabilny rząd. Odpowiedź Sáncheza na sytuację w Barcelonie musi więc być dobrze wykalkulowana. Zbyt miękka i zbyt twarda może zrazić wyborców. Na razie w sondażach najbardziej zyskuje odwieczny rywal socjalistów – Partia Ludowa. A także nowi na scenie politycznej populiści-radykałowie z Vox.

Nie mogąc decydować o sobie, Katalonia decyduje o przyszłości Hiszpanii.

© KALINA BŁĄŻEJOWSKA

Tekst ukończono 18 października.

JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA” UKAŻE SIĘ TRZECI DODATEK Z CYKLU „WIELKIE PYTANIA”

KULTURA



ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT



REWOLUCJA NEURONAUKOWA



WARTOŚCI DZIŚ



JĘZYK I KOMUNIKACJA

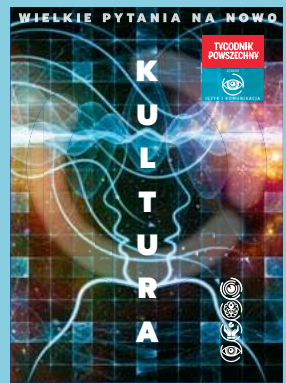
- Czy neandertalczyk sztył ubrania i jak je przyozdabiał?
- Jak ucztowali władcy wymarłego starożytnego ludu Nabatejczyków?
- W jaki sposób budowa geologiczna ziem polskich wpłynęła na architekturę naszych katedr?
- Jak zmienia się nasz umysł, gdy nauczymy się korzystać z liczydła?
- Czy to dobrze, gdy rdzenni mieszkańcy Puszczy Amazońskiej piją coca-colę?
- W jakiej kolejności do rodziny ludzkiej dołączyły psy, koty, kozy, lamy i świnki morskie?

Wszystkie dodatki „TP” z cyklu „Wielkie Pytania” i wiele innych materiałów powstałych w ramach projektu „Wielkie Pytania dla Polski na nowo” wspieranego przez Templeton Religion Trust można znaleźć w serwisie powszech.net/wielkiepytania

Wszystko za darmo, bez ograniczeń, za jednym kliknięciem. **Wejdz, czytaj!**







OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



JANUSZ KOZINA / MUZEUM UJ

PANIE REKTORZE, PROSZĘ PRZODEM

Przodujące warstwy ludności Polski winny być unieszkodliwione – mówił 8 września 1939 r. szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Wkrótce zamysł ten zrealizowano w okupowanym Krakowie.

PIOTR HAPANOWICZ

6 LISTOPADA 1939 R. MIAŁ BYĆ PIERWSZYM dniem nowego roku akademickiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. W chłodne przedpołudnie do budynku Collegium Novum zdążyło więc prawie dwustu uczonych. Zastanawiali się, co powie im niemiecki oficer, niejaki doktor Müller. To on kilka dni wcześniej zaprosił ich na swój wykład, mający inaugurować ten semestr.

Nic nie zapowiadało podstępów. Początkowo okupacja w Krakowie miała dość

łagodny charakter. Wiadomości z innych zajętych przez Niemców terenów nie przychodziły wcale lub z opóźnieniem. Zresztą praca pod obcą władzą nie była czymś nowym dla galicyjskich uczonych. Jeszcze we wrześniu pracę wznowiła Polska Akademia Umiejętności. W połowie października Senat UJ postanowił o rozpoczęciu roku akademickiego 6 listopada. Decyzję motywowano niemieckim wezwaniem do wznowienia przez wszystkie instytucje „normalnej pracy”.

Niemiecki komisarz miasta Ernst Zörner nie wyraził sprzeciwu. Jednak Bernhard Rust – minister nauki, wychowania i oświaty III Rzeszy – do tego pomysłu nawiązywał inaczej: w piśmie do Hansa Franka (szefa Generalnego Gubernatorstwa, GG – jak odtąd miała nazywać się ta część okupowanej przez Niemców Polski, której nie anektowano do Rzeszy), polecił przeskodzić w uruchomieniu UJ. Realizatorem akcji został SS-Sturmabführer Bruno Müller – z wykształcenia praw-



Ignacy Chrzanowski,
Władysław Konopczyński,
Adam Krzyżanowski

Po lewej: Mieczysław Wątorski
„Aresztowanie profesorów UJ”,
obraz z 1956 r., ze zbiorów Muzeum
Uniwersytetu Jagiellońskiego

nik, dowódca Oddziału Operacyjnego Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa SS w Krakowie. Akcja musiała mieć przyzwolenie Franka i szefa SS Heinricha Himmlera.

Intelligenzaktion

Określenie „Sonderaktion Krakau” (Akcja Specjalna Kraków) – jak dziś nazywa się to wydarzenie – pojawiło się w polskiej literaturze historycznej dopiero w latach 60. XX w. Możliwe, że powstało w kręgach rodzinnych aresztowanych. W każdym razie w niemieckich dokumentach taki kryptonim nie występuje.

Data 6 listopada 1939 r. miała okazać się symboliczna – choć aresztowania, deportacje i egzekucje przedstawicieli polskiej inteligencji i środowisk twórczych trwały już od września, zarówno pod okupacją niemiecką, jak też sowiecką. Niemniej tego dnia Niemcy wydali wyrok nie tylko na UJ, ale na całe polskie szkolnictwo wyższe i średnie.

Według prof. Henryka Pierzchały, uwięzienie uczonych UJ było ciosem przygotowanym z premedytacją. Reinhard Heydrich, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), już 8 września 1939 r. stwierdził: „Przodujące warstwy ludności w Polsce winny być w miarę możliwości unieszkodliwione. (...) Zdecydowano, że przodująca warstwa, która w żadnym wypadku nie może pozostać w Polsce, będzie przewieziona do niemieckich obozów koncentracyjnych”. Z kolei 17 października 1939 r. Adolf Hitler podkreślił, że „należy zapobiec temu, aby polska inteligencja stała się warstwą kierowniczą” na terenach okupowanych, więc w pierwszej kolejności represje były skierowane przeciw elitom intelektualnym II RP.

Akcje fizycznego wyniszczania inteligencji, mające charakter ludobójstwa, Niemcy prowadzili w wielu etapach

i nadali im rozmaite kryptonimy, m.in. „Intelligenzaktion” lub „Aktion AB” („Außerordentliche Befriedungsaktion”, Nadzwyczajna Akcja Pacyfikacyjna). Szacuje się, że ofiarami tych operacji – prowadzonych od września 1939 r. do lipca 1940 r. zarówno w GG, jak też na terenach anektowanych do Rzeszy – padło 100 tys. obywateli II RP.

W niemieckich planach ważne miejsce zajmowało unicestwienie elity umysłowej Krakowa jako ośrodka polskiej nauki i kultury.

Herr Rektor, bitte voran!

Niemcy zastosowali fortel. Rektor Tadeusz Lehr-Spławiński zaprosił kadrę profesorską na wykład Müllera, który miał przedstawić stosunek III Rzeszy i narodowego socjalizmu do zagadnień nauki i szkolnictwa wyższego. Spotkanie miało się odbyć 6 listopada o dwunastej w Collegium Novum, w sali wykładowej nr LXVI im. Mikołaja Kopernika (dziś sala nosi numer 56 i imię Józefa Szujskiego). Rektor sądził zapewne, że wykład Müllera to sygnał, iż władze okupacyjne zgadzają się na otwarcie UJ, więc zaapelował o liczny udział pracowników. Apel poskutkował: w sali zgromadzili się prawie wszyscy profesorowie. Niektórzy, spóźnieni i zatrzymani przez niemiecki kordon otaczający UJ, domagali się wręcz, by ich przepuszczono.

Akcja przebiegła szybko. Prof. Jan Marian Gwiazdomorski wspominał, że Müller wszedł na salę, a za nim esesmani z bronią, co zrobiło na zebranych duże wrażenie i wywołało obawy. Zamiast prelekcji usłyszeli krótkie oświadczenie: „Moi panowie, zwołałem was, aby wam powiedzieć, że Uniwersytet Krakowski był zawsze ogniskiem antyniemieckich nastrojów, w tym duchu nieżyczliwym wychowywał młodzież. Teraz panowie próbowali otworzyć uniwersytet, nie pytając się nas; panowie próbowali odbywać

egzamininy, nie pytając się nas. Dlatego zostaniecie aresztowani i posłani do obozu”. Müller dodał, że protesty są niedopuszczalne, a kto stawi opór, będzie zastrzelony (według relacji prof. Władysława Konopczyńskiego).

Kilku profesorów, m.in. były rektor Stanisław Estreicher, podniosło ręce na znak, że proszą o głos. Müller odmówił. Wskazał drzwi. „Herr Rektor, bitte voran” (Panie rektorze, proszę przodem) – rzekł z ironiczną kurtuazją.

Rozległy się krzyki: „Raus! Alle raus!” (Wszyscy wychodzą). Jeden z Niemców kopnął Estreichera, a gdy ten odwrócił głowę z gniewem, został spoliczkowany. Inny uderzył kolbą w plecy byłego rektora Fryderyka Zolla, którego chwilę wcześniej przedstawiono Müllerowi jako członka Akademii Prawa Niemieckiego. Akcja prowadzona była brutalnie. Bijąc i znieważając profesorów, Niemcy załadowali ich na ciężarówki zaparkowane dyskretnie z tyłu Collegium.

Gdzieś nas wiozą

Aresztowano 183 osoby, w tym 142 z UJ i 21 z Akademii Górniczej, zebrane w innej sali Collegium Novum. Obok rektora Lehra-Spławińskiego byli wśród nich wybitni naukowcy, jak anatom Kazimierz Kostanecki, filolog klasyczny Leon Sternbach, zoolog Michał Siedlecki, prawnicy Fryderyk Zoll i Stanisław Estreicher, znawcy literatury Ignacy Chrzanowski, Kazimierz Nitsch i Stanisław Pigoń, astronom Tadeusz Banachiewicz, historyk Władysław Konopczyński, historyk prawa Stanisław Kutrzeba, ekonomista Adam Krzyżanowski, antropolog Kazimierz Stołyhwo, filozof ks. prof. Konstanty Michalski, medyk sądowy Leon Wachholz. Konopczyński wyliczył, że wśród aresztowanych było 18 rektorów oraz 50 dziekanów i prodziekanów, aktualnych lub byłych.

→ Uczonych przewieziono do więzienia na ul. Montelupich, a następnego dnia przeniesiono do dawnych koszar 20. Pułku Piechoty na ul. Mazowieckiej. Tu straż sprawowali Austriacy i rygor zmałał. Profesorowie mieli nadzieję, że zostali jedynie zakładnikami przed – zakazanym przez Niemców – Świętem Niepodległości 11 listopada i zostaną potem zwolnieni.

Stało się inaczej: przewieziono ich do Wrocławia. Niektórzy liczyli, że niemieccy koledzy z tutejszego uniwersytetu dowiedzą się o ich losie i wstawią za nimi. Ale nie podjęli się oni żadnej interwencji. W międzyczasie zwolniono kilkunastu aresztowanych, m.in. Zolla.

Pozostali 27 listopada znów znaleźli się w transporcie kolejowym. Podróżowali po dziesięciu w przedziałach, mieli zakaz wyglądania przez okna. Na niemieckie żądanie w każdej grupie wyznaczono dwóch ludzi przewidzianych do rozstrzelania na wypadek niesubordynacji kolegów. Prof. Gwiazdomorski wspominał: „policjanci traktowali nas strasznie. Przygnębianie nasze było ogromne, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że nie wychodzimy na wolność, tylko gdzieś nas wiozą, ale nie mieliśmy pojęcia, jaki jest kierunek tej jazdy”.

Z niemym współczuciem

Przez Legnicę pociąg dotarł do Berlina, a następnie do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Gwiazdomorski wspominał ten moment: „Pędzono nas w morderczym tempie, między nami byli ludzie starzy, chorzy, którzy upadali ze znużenia, bito ich i tłuczono kolbami”.

Po przejściu kilku kilometrów uczeni stanęli przed bramą obozu z napisem „Arbeit macht frei” (widniał on nie tylko w Auschwitzu). Otrzymali obozowe ubrania z czerwonymi trójkątami, oznaczającymi tzw. więźniów politycznych. Ogolono im głowy i zakwaterowano w barakach. Profesorowie żydowskiego pochodzenia i księża zostali oddzieleni.

Naukowców zwolniono od ciężkiej pracy w obozowych komandach, ale zmuszano np. do wielogodzinnego stania na codziennych apelach, przy złej pogodzie. Stan zdrowia profesorów, w większości sędziwych, się pogarszał. Szerzyły się choroby dróg oddechowych, infekcje, krwawe biegunki, tyfus.

Prof. Zdzisław Jachimecki wspominał: „Pierwszy, bo zaraz pierwszej nocy

po przyjeździe do Sachsenhausen, zachorował czcigodny rektor Stanisław Estreicher”. W innym miejscu pisze: „Z niemym współczuciem patrzyliśmy na znikającą z każdym dniem postać profesora Estreichera”. Był on jedną z pierwszych ofiar. Potem zmarli: Stefan Bednarski, Ignacy Chrzanowski, Tadeusz Garbowski, Antoni Hoborski, Kazimierz Kostanecki, Antoni Meyer, Feliks Rogoziński, Adam Różański, Michał Siedlecki, Jerzy Smoleński, Leon Sternbach, Władysław Takliński. W Mauthausen-Gusen zamordowany został Wiktor Ormicki (w 1941 r.), a w Buchenwaldzie Joachim Metallmann (w 1942 r.).

Frank wyciąga wnioski

Wielu aresztowanych było uczonymi cenionymi także na świecie, doktorami honoris causa zagranicznych uczelni, członkami towarzystw naukowych. Rodziny uruchomiły więc wszelkie kontakty – w efekcie rozległy się protesty zagranicznych środowisk naukowych. Informacje o polskich uczonych ukazały się w „Le Figaro”, „La Stampie”, „Timesie” czy „Morning Herald Tribune”. O uwolnienie uczonych zabiegać zaczęły dyplomacie Włoch i Węgier, sojuszników Rzeszy. Na uwagę zasługują tu starania Mussoliniego – później, w podziękowaniu od oswobodzonych profesorów, otrzymał on album z reprodukcjami dzieł Wyspiańskiego i dedykacją „Dla Duce”. Interweniował Watykan i państwa neutralne, dyplomacie USA i Kanady. Działał też arcybiskup Adam Stefan Sapieha i książę Janusz Radziwiłł (skoligacony z Hermanem Göringiem, ministrem lotnictwa Rzeszy).

Wskutek międzynarodowego nacisku Niemcy – do pewnego stopnia liczący się jeszcze, przynajmniej czasami, ze światową opinią – zwolnili 8 lutego 1940 r. ponad stu naukowców, którzy przekroczyli 40. rok życia (wśród nich zabrakło 12 profesorów urodzonych przed 1900 r.). Zwolnionych przewieziono do Krakowa. Byli skrajnie wyczerpani. Niektórzy wkrótce zmarli, m.in. Franciszek Bossowski, Arnold Bolland i Leon Wachholz.

W obozach zostało więc kilkudziesięciu. W marcu 1940 r. wszystkich, którzy nie mieli 40 lat, przewieziono do obozu koncentracyjnego Dachau. „Starsi” profesorowie, w tym Władysław Semkowicz, zostali w Sachsenhausen. Z obozów zwolniono ich do końca 1940 r. Prawie rok

później Dachau opuścił ostatni krakowski naukowiec, Kazimierz Piwarski.

Z tej lekcji decydenci III Rzeszy wyciągnęli swego rodzaju praktyczne wnioski. Hans Frank stwierdził: „Nie możemy obarczać obozów koncentracyjnych w Rzeszy naszymi sprawami. Kłopoty, jakie mieliśmy z profesorami krakowskimi, były okropne. Gdybyśmy tu załatwili tę sprawę, miałyby ona inny przebieg”.

Dlatego, realizując kolejne plany eksterminacji inteligencji, postanowiono, że profesorowie uczelni lwowskich nie będą więzieni, lecz od razu rozstrzelani. Egzekucje przeprowadzono w lipcu 1941 r. na podmiejskich Wzgórzach Wuleckich. W kolejnych latach przedstawiciele inteligencji II RP byli więzieni, rozstrzeliwani w publicznych egzekucjach, wysyłani do obozów.

Nie zmarnujcie naszej śmierci

Na uwagę zasługują jeszcze dwa aspekty tych wydarzeń. Analogiczna likwidacja polskiej inteligencji, podjęta przez władze sowieckie na terenach okupowanych po 17 września 1939 r. Akcje niemiecka i sowiecka zapewne były między obiema stronami konsultowane.

Druga kwestia to stosunek przeważającej części niemieckiego środowiska naukowego do uczonych polskich w okresie II wojny światowej. To jedna z najmroczniejszych kart w dziejach niemieckiej nauki. Uczeni niemieccy w znacznej mierze sprzeniewierzyli się etosowi nauki, milcząc wobec cierpień kolegów, z którymi wcześniej łączyła ich często wieloletnia współpraca.

Środowisko naukowe Krakowa mocno ucierpiało. Jednak plany fizycznego wyniszczenia nie powiodły się, a inteligencja krakowska szybko przystąpiła do podziemnego działania, organizując tajne nauczanie – w tym także podziemny uniwersytet. Niemniej gdyby nie międzynarodowa pomoc dyplomatyczna i solidarna postawa intelektualistów z różnych krajów (prócz Niemiec), plan eksterminacji krakowskich uczonych zapewne zostałby zrealizowany.

Ostatnie słowa prof. Estreichera brzmiały: „Nie zapomnijcie naszej śmierci, nie dajcie jej zmarnować”.

© PIOTR HAPANOWICZ

Autor jest historykiem, pracuje w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa.

WOJCIECH

Bonowicz:

Życ jak Gapiszon



KIEDYŚ JOASIA RUSINEK POWIEDZIAŁA MI, że wyglądam, jakby narysował mnie Bohdan Butenko. To największy komplement, jaki usłyszałem w życiu. Świat Gapiszona to mój pierwszy świat, innego nie potrzebowalem i nie potrzebuję. Wszystkie światy, które mi później proponowano, porównywałem z tym pierwszym i porównania te zawsze prowadziły do wniosku, że to zawracanie głowy.

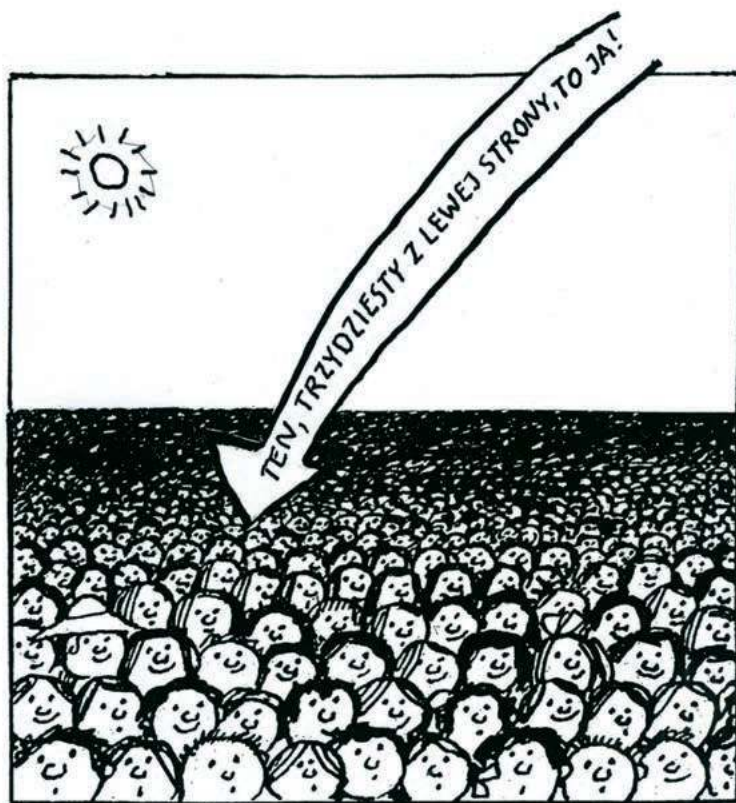
Z Gapiszona wzięło się na przykład moje zamiłowanie do ubrań w paski (choć później Gapiszon nosił się gładko i w paski miał tylko czapkę). Paski, jak wiadomo, poszerzają. Człowiek powinien być szeroki i szeroko się uśmiechać. Szeroki człowiek nie ma wrogów. Nawet ci, którzy go gonią i straszą, w gruncie rzeczy nie mogą mu zrobić nic złego. A głupotę najlepiej leczyć przerysowaniem, karykaturą. Co prawda Dostojewski narzekał, że człowiek jest zbyt szeroki i warto by go zwęzić, ale było to na długo przed Gapiszonym. Gdyby Butenko dostał do zrobienia „Zbrodnię i karę”, obyłyby się bez mordowania i wszystkich tych męczących przesłuchań.

W dzieciństwie nie było ważniejszego odeń rysownika – i dlatego później też nie. Był ważny, bo nie był wszechobecny. Było go dużo, ale nie na tyle, żeby się znudził. Czekano na dobranockę o Guciu i Cezarze, i na kolejne książeczki z tej serii, które potem czytało się – bez przesady – kilkaset razy. Z radością odkrywało się, że zrobił scenografię do jakiegoś spektaklu albo rysunki do książek dla dorosłych. „Wesoła gromadka”, którą zilustrował, i do której wybrał umoralniające XIX-wieczne wierszyki w rodzaju „O Juleczku, co miał zwyczaj ssać palec”, była arcydziełem czarnego humoru.

Książeczka była o tyle intrygująca, że w świecie Butenki przemocy i seksu było mało, tu zaś artysta pozwolił sobie puścić oko do czytelnika. Trudno zapomnieć obrazek, na którym wspomniany Julek płacze wniebogłosy, bo krawiec obciął mu wypchane do buzi palce, a mama, zamiast go pocieszyć, karmi przystojnego oprawcę przyniesionymi

z cukierni ciasteczkami: „Bo kto mamy nie posłucha, temu dosyć bułka sucha”. Ironia Butenki była ozdowieńcza, ale chyba nieskuteczna, bo wciąż większość z nas zdaje się wierzyć w wychowawczą moc surowej kary.

W świecie Gapiszona nawet muchy były piękne. Jeśli wpadłeś do wody, ratowała cię krowa Matylda, podając ci ogon. Życzliwość była czymś oczywistym, a przestrzeganie podstawowych reguł współżycia przychodziło bez wysiłku. Gapiszon na nikogo się nie gniewał, niczemu się nie dziwił i – jak dzieci – naśladował to, co robią dorośli, mimowolnie pokazując, jak śmieszne niekiedy bywają ich nakazy i zakazy. Bywał ekstrawagancki: kiedy sufit przeciekał i padało mu na głowę, rozbijał w pokoju namiot. Zdarzało się, że kpł z władzy wyższej niż rodzicielska. Kilka lat temu, w rozmowie dla „Tygodnika”, Bohdan Butenko wspominał, że jeden z rysunków zatrzymała mu cenzura: „przedstawiał kolejkę pod sklepem, w której stał Gapiszon, potem to on sypał ziarna, a w ogonku, równie długim, ustawiły się ptaki”.



Bohdan Butenko, „Autoportret – specjalnie dla TP”, 27 lipca 2016 r.

Staralem się żyć jak Gapiszon. Długo nosiłem trampki, chociaż wcale nie były wygodne i deformowały stopy. Lubiłem też i nadal lubię krótkie spodenki. Co innego jednak było istotne. Dziecko, aby dorosnąć, potrzebuje, żeby ktoś podzielał jego nadzieję i poczucie wolności. Potrzebny mu ktoś, kto potrafiłby pokazać, co znaczy wybuchnąć śmiechem, ale umie też w delikatny sposób wyrazić strach i smutek. I taki był Butenko. Szeroki. ©

PROBLEM DLA NAUKI

W brytyjskim środowisku akademickim
panuje obecnie niepewność i frustracja.
Ale brexit może zaszkodzić całej światowej nauce.

JAKUB MEJER



ZBLIŻAJĄC SIĘ DO WYJŚCIA Z UNII EURO-pejskiej mówię jasno: opuszczamy UE, ale nie opuszczamy naszych europejskich przyjaciół i partnerów badawczych” – mówił 12 września na konferencji dla brytyjskich uniwersytetów Chris Skidmore, minister ds. uniwersytetów, nauki, badań i innowacji. Zaledwie tydzień wcześniej z tego stanowiska odszedł Jo Johnson, młodszy brat premiera Borisa, który stwierdził, że jest „rozdartym między rodzinną lojalnością a dobrem państwa”. Skidmore obiecał, że wysokość czesnego i dostęp do benefitów dla studentów z UE, którzy rozpoczęli edukację na Wyspach w roku akademickim 2020/21, będą „podobne” do tych oferowanych Brytyjczykom przez cały czas trwania ich kursu. Powiedział też, że chce kontynuować udział w programie Erasmus+ (oferującego m.in. wymiany studentów) i podpisać umowę „chroniącą udział w Horizon 2020” (to największy unijny program badawczo-rozwojowy). „Musimy zrobić wszystko, aby każdy z naszych fantastycznych badaczy i naukowców mógł pracować w energicznym, zróżnicowanym środowisku wspartym instytucjonalną kulturą zaufania, pomocy, jedności” – dodał.

Miesiąc wcześniej, przemawiając w ośrodku badań jądrowych w Culham niedaleko Oksfordu, środowisko akademickie (które prawie wszyscy uważają za zdominowane przez zwolenników pozostania we Wspólnocie) próbował uspokoić sam premier Boris Johnson. „Brytania jest dumna ze swoich wynalazków, od roweru po żarówkę. U nas powstała pierwsza krajowa baza DNA, odkryliśmy grafen. Aby zagwarantować, że nadal będziemy prowadzili w rozwoju wiedzy, musimy nie tylko wspierać talenty, które już u nas są, ale zapewnić, aby nasz system imigracyjny przyciągał najznamienitsze umysły z całego świata” – mówił szef brytyjskiego rządu. Plan Johnsona zakłada m.in. zwiększenie limitów wiz przyznawanych dla „wyjątkowych talentów”, umożliwianie ośrodkom badawczym wspieranie potencjalnych kandydatów w procesie wizowym i ułatwianie im pierwszych kroków na rynku pracy.

Premier Boris Johnson i minister edukacji Gavin Williamson podczas lekcji historii z uczniami jednej z londyńskich podstawówek, wrzesień 2019 r.

29 września Johnson zapowiedział natomiast, że rząd zainwestuje 200 mln funtów w rozwój medycyny, a prywatni inwestorzy dostarczą kolejne 400 mln. „Chcemy, żeby o ratujących życie, leczących raka terapiach przyszłości można było powiedzieć »stworzone i wyprodukowane w Wielkiej Brytanii«” – mówił na konferencji w Manchesterze.

Ludzie i pieniądze

Pomysły Johnsona nie uspokoiły jednak środowiska. Dziennik „Daily Mirror” szybko mu wytknął, że swoje obietnice składał w instytucie, który dostaje 60 mln euro rocznie z UE.

„Od dawna nawoływaliśmy do zmian drogiego i skomplikowanego systemu przyznawania wiz, który jest barierą utrudniającą przyciąganie najlepszych międzynarodowych talentów. Z zadowoleniem przyjmujemy zapowiedzi rządu i czekamy na dyskusję na ten temat” – komentował Sir Venki Ramakrishnan, przewodniczący słynnego Towarzystwa Królewskiego, najbardziej znanej na świecie akademii nauk. Zaznaczał jednak, że to nie rozwiąże problemów, jakie w nauce może sprawić brexit.

„Połowa zagranicznych talentów na brytyjskich uczelniach pochodzi z Unii, która jest też naszym największym współpracownikiem w badaniach. Utrzymanie bliskich relacji z badaczami w Europie i dostęp do unijnych funduszy są kluczowe. Brexit bez umowy jest najgorszą możliwością dla nauki” – podkreślał Ramakrishnan. Jako główne zagrożenia, jakie może wywołać brexit, Bronwyn Friedlander z biura prasowego Towarzystwa Królewskiego wymienia zagrożenie dla zdolności Wielkiej Brytanii do rekrutacji najlepszych talentów z zagranicy; utratę unijnego finansowania dla badań firm i uniwersytetów; utratę dostępu dla pacjentów publicznych placówek medycznych do eksperymentalnych terapii i badań z powodu braków w regulacjach prawnych.

Towarzystwo Królewskie ostrzega, że efekty niepokoju związanych z brexitem są już wyraźnie widoczne. Jak wynika z ich analizy sytuacji, liczba naukowców przyjeżdżających na Wyspy w ramach unijnego stypendium im. Marii Skłodowskiej-Curie spadła o 35 proc. – z 515 w 2015 r. do 336 w 2018 r. – a fundusze pozyskane z programu Horizon 2020 są o ponad 400 mln euro niższe:

w 2015 r. do Wielkiej Brytanii płynęło tą drogą 1,49 mld euro (16 proc. budżetu całego programu), w 2018 r. 1,06 mld euro (11 proc.).

„Ludzie nie chcą ryzykować karier, nie wiedząc, czy Zjednoczone Królestwo będzie w stanie utrzymać swoją pozycję w światowej nauce. Potencjalny paraliż po bezumownym brexicie i obecny chaos krzywdzą brytyjską naukę i rację stanu” – komentował analizę Ramakrishnan.

W stronę katastrofy

Nie tylko Towarzystwo Królewskie sygnalizuje możliwy zgubny wpływ brexitu na brytyjską naukę i innowację. W lutym genetyk Paul Nurse, laureat Nagrody Nobla za badania nad regulacją cyklu podziału komórkowego, stwierdził, że Wielka Brytania „lunatykuje prosto w kierunku katastrofy”. Równie krytyczną opinię przedstawił pół roku później Andre Geim, laureat Nagrody Nobla za odkrycie grafenu. Jego zdaniem brexit bez umowy „zniszczy brytyjską naukę”. „Najlepsi naukowcy nigdy nie mają problemu z pozwoleniem na pracę. Wygrywają te kraje, które oferują najlepsze możliwości badawcze i finansowanie, a nie te, które oferują najłatwiejsze wizy” – komentował pomysł Johnsona na rozwiązanie problemów brytyjskiej nauki po brexicie na łamach magazynu „New Scientist”.

– W środowisku naukowym to temat zarówno rozmów towarzyskich, kuluarowych, jak i bardziej formalnych – mówi „Tygodnikowi” dr Tomasz Włodarski, *research fellow* na University College London i *scientific content manager* w Fundacji Polonium działającej na rzecz polskich naukowców pracujących poza granicami kraju. – Dominuje poczucie frustracji i niepewności. Nastroje naukowców również zależą od tego, na jakim etapie kariery się znajdują i jakie mają plany: czy są na kilkuletnim kontrakcie i nie planowali tu zostawać, czy już się zakorzenili w Wielkiej Brytanii albo rozważają taką opcję. Prawdopodobnie najbardziej znane zespoły badawcze sobie poradzą, mniejsze grupy mogą mieć trudność ze znalezieniem doktorantów czy postdoców na odpowiednim poziomie. Podejrzewam też, że Oxbridge [uniwersytety Oksford i Cambridge – red.] czy inne uczelnie z Russell Group wyjdą raczej z mniejszym uszczerbkiem, natomiast najbardziej ucierpią uniwersytety o mniejszej renomie – mówi Włodarski.

⇒ Jego zdaniem, pierwsze efekty już teraz są widoczne: – Część międzynarodowych projektów naukowych wstrzymano lub przeniesiono do innych krajów. Podobny los spotkał siedziby niektórych instytucji naukowych, jak np. Europejskiej Agencji Leków, która zmieniła siedzibę z Londynu na Amsterdam rok po ogłoszeniu wyniku referendum. Można się spodziewać, że szczególnie mniejsze projekty, które wymagają współpracy ośrodków z różnych krajów, będą się starały omijać Wielką Brytanię. Z drugiej strony nie należy zapominać, że to potęga naukowa o znakomitej reputacji, mocno wkorzeniona w światową sieć badawczą. Ten stan nie zmieni się z dnia na dzień – zauważa naukowiec.

Inicjatywy oddolne

Mówi Włoszka zatrudniona jako postdoc na jednym z uniwersytetów na południu Anglii: – Mało wiadomo. Widać poczucie niezadowolonia, ale trudno przewidzieć długofalowe efekty. Może być trudniej gościć badaczy, np. na praktyki studenckie albo wizyty studyjne dla doktorantów, bo będą potrzebować wiz. A to nie jest fajne, bo akademia to też swobodne podróżowanie pomiędzy laboratoriami, aby uczyć się więcej.

Już w 2016 r. badanie przeprowadzone wśród hiszpańskich naukowców pracujących na Wyspach wykazało, że 30 proc. z nich zmieniło plany zawodowe w związku z brexitem, a 43 proc. czeka z planami na przyszłość aż do rozwiązania tej kwestii.

– Wiele osób jest nadal sfrustrowanych, zmęczonych ciągłym rozmawianiem o temacie, którego końca nie widać, a który jest źródłem stresu. Emocje wywołuje sytuacja rodzin naukowców. Nawet jeśli pracownik akademicki będzie miał wizę albo stabilny status imigracyjny, sytuacja członków rodziny może stać pod znakiem zapytania – zwraca uwagę dr Katarzyna Makowska, koordynatorka konferencji „Science: Polish Perspectives” w Fundacji Polonium.

– Towarzystwo Królewskie argumentuje na rzecz nauki, mamy regularny kontakt z rządem, opozycją, urzędnikami i innymi ważnymi graczami w temacie brexitu – zapewnia Bronwyn Friedlander.

Naukowców starają się też wspierać uczelnie i instytuty, z którymi są związani, np. Uniwersytet w Exeter apelował do swoich pracowników, aby złożyli wnioski w systemie osiedleńczym dla obywateli UE.

– University College London rozsyła cotygodniowy newsletter dotyczący ostat-

nich wydarzeń okołobrexitolowych do wszystkich pracowników – podaje przykład Tomasz Włodarski.

– Wiele ośrodków naukowych wysyła pracownikom maile mające na celu uspokojenie nastrojów i symboliczne pokazanie, że europejscy naukowcy są nadal mile widziani. Niestety, często w tych komunikatach brakuje konkretów, są to tylko gesty – zauważa Katarzyna Makowska.

– Jako Fundacja Polonium staramy się zacieśniać współpracę z innymi organizacjami reprezentującymi europejskie środowisko akademickie. Jesteśmy w stałym kontakcie z siostrzanymi organizacjami reprezentującymi hiszpańską i portugalską diasporę badawczą, które dzielą nasze obawy oraz opinie na temat pobrexitowej przyszłości. Przeprowadziliśmy warsztaty z naukowcami wielu narodowości pracującymi w Wielkiej Brytanii, na podstawie których przeanalizowaliśmy możliwe brexitowe scenariusze, a krótka notatka z ich wyników została opublikowana w „Nature”. Planujemy dyskusję panelową obracającą się wokół tematu wyzwań dla nauki spowodowanych brexitem na naszej nadchodzącej konferencji „Science: Polish Perspectives”, która odbędzie się 8-9 listopada w Cambridge – dodaje Makowska.

Zapas odczynników

Jednocześnie brytyjskie instytucje przygotowują się też do ewentualnych problemów i utrudnień związanych z opuszczeniem Unii Europejskiej. W opublikowanym we wrześniu przez rząd Johnsona dokumencie „Operation Yellowhammer”, który miał przedstawiać najgorsze skutki brexitu bez umowy, niewiele jest o nauce – wspomina on tylko o możliwych problemach w dostępie do leków.

– Laboratoria i instytuty badawcze już starają się zapobiegać ewentualnym następstwom, np. poprzez robienie zapasów kluczowych odczynników i innych potrzebnych materiałów sprowadzanych spoza Wielkiej Brytanii. Niestety nie wszystkie rzeczy można długo magazynować – wyjaśnia Włodarski.

To, czy zapasy odczynników rzeczywiście będą potrzebne, okaże się być może już 31 października – Boris Johnson obiecał, że do listopada wyprowadzi Wielką Brytanię z UE, z umową lub bez niej, chociaż parlament przyjął we wrześniu ustawę, która ma za zadanie blokować „twardy” brexit. © JAKUB MEJER

Imperium nauki

JAK WYNIKA Z BADANIA

przeprowadzonego dla brytyjskiego rządu, w 2016 r. Wielka Brytania, posiadająca 1 proc. światowej populacji, była źródłem 15 proc. najczęściej cytowanych prac naukowych w tamtym roku. Z badania w 2006 r. wynikało natomiast, że w tym kraju powstało 9 proc. wszystkich prac naukowych, a mają one 12 proc. cytowań. W obu przypadkach lepsze wyniki uzyskały jedynie Stany Zjednoczone. Zjednoczone Królestwo może się pochwalić 107 Nagrodami Nobla (wyłączając kategorię pokojową i literaturę),

co również daje drugą pozycję po USA. Wśród Brytyjczyków jest wielu słynnych naukowców i wynalazców, od Izaaka Newtona, który sformułował trzy zasady dynamiki i prawo powszechnego ciążenia, przez Karola Darwina i Alfreda Wallace’a – twórców teorii ewolucji – po Tima Bernersa-Lee, który wymyślił usługę WWW. W opuszczającym UE kraju znajdują się też redakcje wielu słynnych czasopism naukowych, m.in. „Nature” i „The Lancet” (najbardziej prestiżowego czasopisma medycznego), oraz osiem ze stu naj-

lepszych uniwersytetów według rankingu szanghajskiego (w tym dwa w pierwszej dziesiątce: trzeci Cambridge i siódmy Oksford).

W 2017 r. Wielka Brytania przeznaczyła 12,2 mld funtów, czyli 0,59 proc. swego PKB na naukę, inżynierię i technologię oraz 34,8 mld funtów (1,69 proc. PKB) na badania i rozwój. Ten drugi wskaźnik miał wzrosnąć do 2027 r. do poziomu 2,4 proc., ale premier Johnson nie zadeklarował, czy ma zamiar honorować poprzednie zapowiedzi. Średnia unijna w 2017 r. wyniosła 2,07 proc. PKB (Polska przeznaczała na to 4,8 mld euro, czyli 1,03 proc. PKB). © JM

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**KSIĄŻKI
W TYGODNIKU**
magazyn literacki

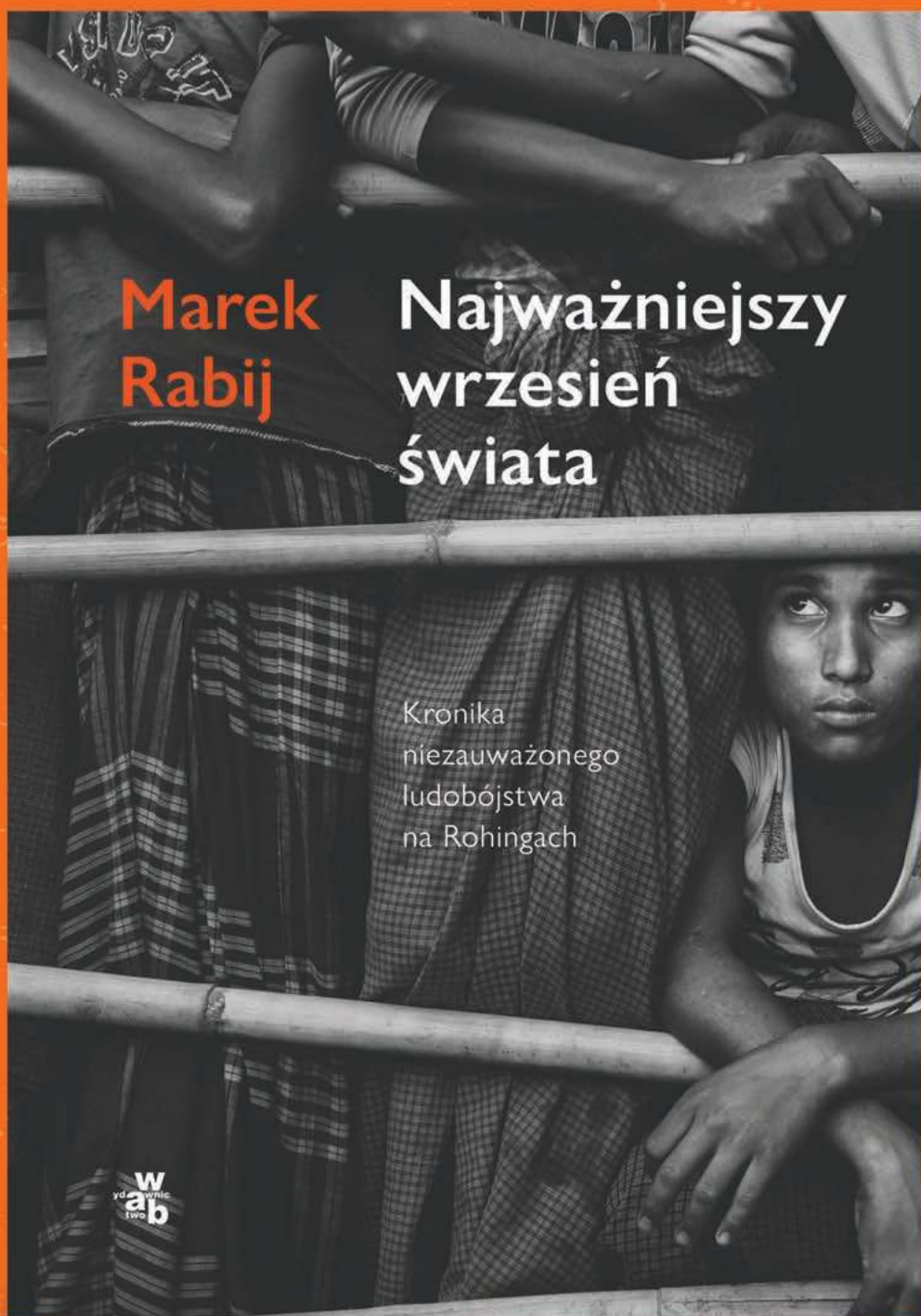
43/2019



SZ tu ka KRÓTKIEJ OPowieści

Wstrząsający reportaż o przedstawicielach muzułmańskiej
mniejszości w Mjanmie, uznanej przez ONZ
za najbardziej prześladowaną grupę etniczną świata.

Już w księgarniach!



PARTNER:

TYGODNIK
POWSZECHNY

w numerze

■ SZTUKA KRÓTKIEJ OPowieści

64. Monika Ochędowska **Bohater jest zmęczony**

68. Rozmowa z Maciejem Miłkowskim

71. Grzegorz Bogdał **Zebrane i poszczególne**

■ RECENZJE

75. Oliwia Fryc o zbiorze opowiadań Billa Gastona

76. Michał Sowiński o powieści Juliana Barnes'a

78. Grzegorz Jankowicz o tomiku „Naworadiowa”

79. Michał Sowiński o powieści „Brud”

80. Katarzyna Trzeciak o „Znikaniu” Izabeli Morskiej

81. DODATEK: BIBLIOTEKA NARODOWA

■ RUBRYKI

88. Książki w pigułce

89. Stanisław Bajtlik **Fale grawitacyjne**91. Joanna Olech **Ludzie, wilki i kot**94. Inga Iwasiów **Puenta i twist**95. Piotr Śliwiński **Ona odchodzi**

94. Bartosz Minkiewicz

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sowiński

Redakcja: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz,

Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski,

Monika Ochędowska, Michał Sowiński

Projekt graficzny: Marek Trojanowski

Skład: Andrzej Leśniak

OKŁADKA: Mateusz Kaniewski // PIXABAY

ZDJĘCIA AUTORÓW:

TYMOTEUZ LEKLER / AUTOGRAF, GRAŻYNA MAKARA X5,

MICHAŁ NIEDZIELSKI, ARCHIWUM PRYWATNE X2

WSPÓŁWYDAWCA



„Książki w Tygodniku” wydajemy we współpracy z Fundacją TP, dzięki darowiznom od Czytelników przekazanym na jej rzecz za pomocą modułu FaniPay na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

Sztuka krótkiej opowieści

CZYM JEST OPOWIADANIE? Nie mamy precyzyjnych parametrów literaturoznawczych, pozwalających jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Musimy więc zdać się na intuicję. Z pewną ostrożnością można powiedzieć, że to krótka forma prozatorska (choć i z tym bywa różnie), w której od ogarnięcia całości ważniejsze okazuje się wyczerpujące opisanie niewielkiego fragmentu świata. Zadanie wcale nie łatwiejsze od stworzenia kilkusetstronicowej powieści. Opowiadanie musi również uwodzić od pierwszego akapitu – tu nie ma czasu na budowanie długich relacji.

OWSZEM, CZYTA SIĘ JE SZYBKO, a kilkanaście minut zawsze uda się gdzieś wykraść – jednak nie ekonomia czasu jest najważniejsza. Opowiadamy wszyscy: codziennie, w domu, w pracy, w internecie – to najbardziej naturalny sposób komunikowania naszych doświadczeń. „Życie to nie powieść” – mówiły czasem bohaterki XIX-wiecznych powieści i miały rację. Życie to opowiadanie, a raczej zbiór opowiadań, zestawionych ze sobą przypadkowo i chaotycznie, połączone jedynie (albo aż) postacią autora.

© P MICHAŁ SOWIŃSKI

ZYG MUNT JANUSZEWSKI





Bohater jest zmęczony

MONIKA OCHĘDOWSKA

Opowiadanie powstrzymuje rozrzutność i zawęża pole widzenia.
Sprawia, że rzeczywistość wreszcie pozwala się uchwycić.

Na razie jeszcze za nitkę, za frędzle,
ale powolutku, powolutku ciągniemy i okazuje się,
że spruliśmy spory kawałek świata.



Sklep z tkaninami w Yangon, Mjanma, luty 2019 r.

JEWEL SAMAD / AFP / EAST NEWS

jamin, i od tamtego czasu doprawdy niewiele się zmieniło. A informacja spełnia swoje zadanie tylko w chwili, gdy jest nowa. Chwila jest całym jej życiem, musi się więc bez reszty jej oddać, musi wszystko jej wyjawić. Inaczej opowiadanie: ono unika rozrzutności.

Polska powieść jest w kryzysie. Bardziej niż kiedykolwiek próbuje informować, objaśniać i osądzać świat. Rwie się do kopiowania rzeczywistości, do bycia socjologiczną rozprawką albo agitką. Częściej niż pojedynczego człowieka portretuje grupy i plemiona, figury zbiorowe bądź symboliczne. Bohaterów powieści mamy zresztą zwykle dwóch, są reprezentantami podzielonej w poprzek Polski. To beneficjent przemian ustrojowych (ktoś z kapitałem finansowym i kulturowym, nowobogacki liberał) albo ich ofiara, pchnięta w ramiona nacjonalizmu, homofobii, ludowej religijności. Obaj równo unurzani w konsumpcji, uzależnieni albo zależni od świata nowych mediów i zapośredniczonych przez media społecznościowe relacji. Zmuszeni do starcia, do walki. Pisarze chwytają gorący, publicystyczny temat (stosunki pracy i prekariat, mieszkalność, emigracja, służba zdrowia, skrajny nacjonalizm, klerykalizm, aborcja) i budują wokół niego krytyczną narrację. Książki wydawane w ten sposób – jako fabularny komentarz do rzeczywistości – same będąc skądinąd produktem skompromitowanego rynku (jak choćby w „Republice świecidełek” Pawła Sajewicza czy „#Upale” Michała Olszewskiego), ubrane są w manieryczny pastisz, hiperbolę i groteskę. Brakuje czasu i miejsca na pełnokrwistego bohatera wiarygodnie umocowanego w świecie przedstawionym. Brakuje frapujących historii.

Autorzy (ostatnio m.in. Marcin Kołodziejczyk, Dorota Masłowska, Agnieszka Szpila, Grzegorz Uzdanski czy Kuba Wojtaszczyk) posługują się jeszcze jednym trikiem. Dzielą swoje narracje na głosy, sięgają po monolog wewnętrzny i mowę pozornie zależną, za pomocą której śmiało można dać upust domniemanym społecznym frustracjom. Tym samym zamiast próby zrozumienia bohatera dostajemy zaproszenie do jego wyszydzenia, dehumanizacji. Mowa pozornie zależna to relacja, którą prowadzi się w oparciu o treść cudzej wypowiedzi, co – jak słusznie zauważają badający temat lingwiści – symbolicznie zwalnia autora z odpowiedzialności za słowa. Tymczasem kwestia:

„kto tu mówi?” jest bardzo istotnym zagadnieniem interpretacyjnym, szczególnie teraz, gdy literatura ciąży ku poetyce osobistego wyznania.

Czego nie chcemy sobie powiedzieć

Polska proza bardzo szybko próbowała uchwycić moment, w którym – jak pisze Agata Sikora w wydanej właśnie książce „Wolność, równość, przemoc” – „marksistowska wizja bezklasowego społeczeństwa opartego na emancypacji pracy została zastąpiona »bezklasowością« neoliberalnej konsumpcji, w ramach której jednostki odkrywają i performatują siebie, a społeczeństwo jest tylko symboliczną presją wywieraną na autentyczną jaźń. W takich okolicznościach krystalizuje się »polityka tożsamości«, w której klasę, rasę, płeć, orientację seksualną wymienia się na jednym oddechu, lecz tej pierwszej poświęca się zadziwiająco mało miejsca”. Jestem pewna, że miejsca na opis momentu przejścia do neoliberalnej konsumpcji i związanego z nim wykluczenia ekonomicznego było w naszych powieściach w ciągu ostatnich trzydziestu lat dosyć, problem polega jednak na tym, że nie zostało to odpowiednio wykorzystane. Dostaliśmy czarno-białą, tendencyjnie wyrysowaną panoramę społeczną. Ale przede wszystkim – obaliliśmy egzamin z empatii.

Przywołany w książce Sikory francuski socjolog Didier Eribon w autobiograficznym „Powrocie do Reims” przyznaje, że łatwiej było mu przez całe życie pisać o wstydzie seksualnym (Eribon jest gejem) niż o wstydzie społecznym (pochodzi z rodziny robotniczej, którą pogardzał). Socjologowie francuscy zdążyli już skądinąd wiele napisać o tym, jak społeczeństwa zachodniej Europy doświadczają nierówności ekonomicznych – ludzie śmiało dyskutują o seksie czy zaburzeniach psychicznych, a krępuje ich pochodzenie oraz ryzyko deklaskacji. Stabizowaliśmy ten temat – podsumowuje Sikora i podobnie jak Eribon postanawia opowiedzieć historię swojego życia, uwzględniając własny kapitał i usytuowanie. Na podobne wyznania zdecydowała się w opublikowanym niedawno na łamach „Dwutygodnika” esej „Powrót do Polski” pisarka i tłumaczka Renata Lis. Dlaczego? Ponieważ konieczność uczciwego, odpowiedzialnego samookreślenia jest – uważa Lis – potrzebą naszych czasów. Czasów, w których zbyt łatwo

Każdego dnia pochłaniamy setki wiadomości, a jednak odczuwamy brak frapujących historii. Dlaczego? Ponieważ każde z napływających ze świata powiadomień, każda z dochodzących do nas wieści o jakimś zdarzeniu opatrzona jest od razu wyjaśnieniem. Innymi słowy: rzadko które wydarzenie sprzyja opowiadaniu. Wszystko stało się domeną informacji, diagnozował niegdyś Walter Ben-

→ demonizuje się innych, także najbliższych, bezbronnych.

Zaczęliśmy wyraźniej dostrzegać własne oraz cudze uwarunkowania kulturowe i klasowe, które determinują codzienne decyzje, także te przy urnach („Mam marksistowskie poglądy (...), popieram bezwarunkowo prawo do aborcji na życzenie. Dlaczego zatem głosuję na PiS? Bo jestem przede wszystkim pracownicą” – pisała chwilę przed wyborami działaczka i reporterka Magdalena Okrasa). „Każdy ma swój los i każdy dźwiga jakieś ciężary, nawet jeśli nie zawsze są to ciężary ekonomiczne – naprawdę trudno przeproszać za to, jak się potoczyło nasze życie (...), jeśli nie ma się wielkiego wpływu na niekorzystne warunki zewnętrzne”, pisze Lis, jednocześnie wyznając, że od ćwierć wieku żyje w Polsce w związku z inną kobietą. Ważniejszym w „polityce tożsamości” elementem jest dla niej jednak, podobnie jak dla Eribona, fakt, że nie odziedziczyła po rodzicach żadnych przywilejów ani kapitałów, lokując się ostatecznie „w okolicach klasy lekkopółśredniej”.

Bo czy tak naprawdę akces do ruchu LGBT+, przełamujący wykluczenie symboliczne, daje nam jakąś wolność? – dopytuje w swojej książce Sikora (oczywiście mieszkająca na co dzień w Londynie autorka trochę zapomina, że akurat wykluczenie symboliczne ma obecnie zupełnie inną wagę w Wielkiej Brytanii czy Francji niż w Polsce). Zadając to pytanie, krytyczka opisuje jednak historię znanej lesbijskiej komiczki Hanny Gadsby. „Presja na przeżywanie swojej tożsamości seksualnej przez »metaforę imprezy« jest bardzo silna” – mówiła Gadsby w jednym ze swoich stand-upów, robiąc jednocześnie „prawdziwy” *coming out*: „Identyfikuję się... jako osoba zmęczona”. Nie ona pierwsza. Epidemia tego uczucia w Europie i Stanach Zjednoczonych – jak zauważyła socjolożka kultury Małgorzata Jacyno – może brać się stąd, że powodowani ekonomiczną motywacją codziennie podejmujemy decyzje, które są dla nas niemoralne. Tak oto prawdziwym bohaterem naszych czasów, świata, w którym ludzie zmuszeni są do nieustannego, chorobliwego śmiechu skrywającego smutek, stał się Joker.

Zombie atakują normalsów

Obecny właśnie na ekranach naszych kin film Todda Phillipsa, bardzo bliski

■ We współczesnych powieściach brakuje czasu i miejsca na pełnokrwistego bohatera wiarygodnie umocowanego w świecie przedstawionym. Brakuje frapujących historii.

w wymowie do nagrodzonego Złotą Palmą w Cannes „Parasite” (reż. Bong Joon-ho), opowiada o demontażu instytucji publicznych, który powoduje, że system demokracji liberalnej w Gotham traci legitymizację i szacunek dużej części zwykłych obywateli. Tli się bunt, wybuchają zamieszki. Na ich czele staje Arthur Fleck, człowiek głęboko zraniony, zmęczony, nieszczęśliwy i niepoczytalny – antybohater. Morderca, który na co dzień próbuje nas rozśmieszać, komik i klaun.

Literatura powinna zrywać maski, powinna jątrzyć. W polskiej powieści nie doczekaliśmy się jeszcze tak dokuczliwego, obrażającego nasze dobre samopoczucie bohatera. Próbowala go powołać do życia Patrycja Pustkowiak w „Maszkaronie”, ale jej wykreowana w wewnętrznym monologu Marianna nie jest takim zapalnikiem – wywołuje raczej uśmiech pogardy, odrazę. Jeszcze mniej empatii dla „mas rewolucyjnych” okazał Jacek Dehnel, który w ostatniej powieści „Ale z naszymi umarłymi” tłum pracy ku apokalipsie zamienił w bezrozumnych zombie. Bohaterowie tej utrzymanej w eleganckiej, balzakowskiej formule powieści to tzw. normalsi: centryści, garstka liberałów, która próbuje uratować świat przed wstającymi z grobów przodkami, zwłokami marszałków i kardynałów – słowem, przed fantazmatami Polski, narodową martyrologią. Żywych i sprawiedliwych nie łączy pozycja materialna ani społeczna (każdy zamieszkuje inne piętro kamienicy przy krakowskim Rynku Podgórskim), ale troska o własny interes i przyjemność płynąca z bycia w świecie. Tymczasem nasilające się skrajne poglądy i postawy prowokują do wojennej eskalacji, do walki. Do tej uparcie centrystycznej postawy reprezentowanej przez

swoich bohaterów Dehnel także zdaje się podchodzić nieco krytycznie, nie pozwalając im ostatecznie na ocalenie. „Ale z naszymi umarłymi” to przede wszystkim fabularny opis zjawiska, które Agata Bielik-Robson (skądinąd adwokatka normalsów) nazywa „pustym znaczącym”. O czym mowa? „Chodzi o taką magnetyczną metaforę – wyjaśnia filozofka – która „przyciągnie do siebie wszelkiego rodzaju resentymenty, frustracje, gniewy, które przez całe lata pozostawały gdzieś pod progiem świadomości”. A więc zombie Dehnela to „wymierające skrzydło beznadziejnych romantyków, powstańców, antykomunistów, »wyklętych« i innych fanatyków gotowych umierać męczeńską śmiercią za Polskę”. To oni, jak wirus, winni są rozniesienia niedemokratycznych zjawisk po całej Europie. Można ich w obronie własnej wysadzać w powietrze i rozjeżdżać skradzioną karetką albo wozem transmisyjnym TVP, jak w grze „GTA”.

Kiedy nienawiść ustępuje

W 1966 r. na łamach „Życia Literackiego” prozaik Adam Augustyn w odpowiedzi krytykom, którzy wyrażali swoje pretensje wobec młodej literatury, napisał, że jego pokolenie jest zmęczone i pragnie w swojej twórczości dać temu wyraz. Stawiam na zwyczajność, na antybohaterów, którzy chcą się ustabilizować w cichym zmęczeniu i wzruszeniu ramion – tłumaczył papież „małego realizmu”. Debiutujące na początku lat 60. pokolenie Augustyna, zbyt młode, by pamiętać wojnę, inspirowało się literaturą swoich rodziców, przecedzając ją w swoich utworach przez ekonomiczną beznadzieję i camusowską obojętność. W tej literaturze, ubolewali krytycy, nie widać żadnych perspektyw.

„Małość i niewspółczesność polskiej prozy – pisała rok po Augustynie w eseju „Względne prawdy własnego doświadczenia” Janina Katz – polega na tym, że jej twórcy z pełnym upodobaniem pozostają przy procederach zmierzających do uchwycenia spraw będących w tej chwili bądź pozorami, bądź takich, które były już wielokrotnie w literaturze powtarzane. (...) [Tymczasem] bohater to sprawa moralności albo wyobraźni moralnej. Mówimy: bohater współczesny, tak jak mówimy: ludzie w dzisiejszych czasach. Oznacza to, że bohater musi podźwignąć ten ułamek ciężaru świata, jaki nałożono na każdego

■ Bohaterowie naszych opowiadań próbują dzień po dniu przeciwstawić się powolnemu procesowi wymazywania – własnej, ale także zbiorowej pamięci.

z żyjących”. Czyżby po pięćdziesięciu latach nasza literatura znalazła się dokładnie w tym samym miejscu? Czy rezygnując z powielania ogranych tematów i politycznej agitacji będzie chciała naprawdę odwrócić wzrok od deformującego świat czarnego lusterka i wyjrzieć przez okno?

Na apel Janiny Katz odpowiadają autorzy opowiadań: Maciek Bielawski, Andrzej Dybczak, Paweł Sołtys, Rafał Wojasiński, Aleksandra Zielińska. Zaświecenie przez nich charakterystycznej dla naszej prozy rozrzutności i szerokiego pola widzenia, ograniczenie do spojrzenia jednego człowieka, do jednostkowego doświadczenia (o którym mówi w rozmowie z Michałem Sowińskim autor dwóch tomów opowiadań Maciej Miłkowski) sprawia, że rzeczywistość wreszcie pozwala się uchwycić. Na razie jeszcze za nitkę, za frędzle – parafrazując Sołtysa. Ale powolutku, powolutku ciągniemy i nagle okazuje się, że spruliśmy spory kawałek świata. Ot, „poetyckie określenie na niepoetyckie okoliczności” (Sołtys). A pod rozprutą podszewką siedzą ludzie brzydzy, przeciętni, spracowani, starzy, zagubieni w czasie, zmęczeni codziennością (Bielawski, Dybczak, Sołtys, Wojasiński). Mają duże, czerwone dłonie. Łysieją, rezygnują z wciągania brzucha. Tracą pracę i rodzinę, biorą rozwód, emigrują. Piją piwo z dyskontu i ciepłą wódkę, jedzą grube jak kciuk szprotki i smażone na głębokim tłuszczu pierogi od teściowej. Pozwalają sobie na wylizanie talerza. Słone, gorzkie i niezdrowe, a jednocześnie pyszne, chrupiące i treściwe – takie to są teksty. Rewers zestetyzowanej rzeczywistości.

Bohaterowie naszych opowiadań próbują dzień po dniu przeciwstawić

się powolnemu procesowi wymazywania – własnej, ale także zbiorowej pamięci. Na przykład tej o sąsiadach, którzy kiedyś, z miasta Szaloma Asza i miasta Isaaca Bashevisa Singera, zniknęli. Próbuje zapominać o stratach, o śmierci swoich dzieci (Wojasiński, Zielińska) albo zdradzają nieustanny, podskórny, narastający lęk o ich bezpieczeństwo i przyszłość (Bielawski). Zresztą prawie wszystko, co się w tych kameralnych opowieściach wydarza, jest symptomem jakiegoś kryzysu, zdiagnozowanej właśnie choroby (Sołtys, Zielińska), wewnętrznych przeżyć („Kto tak myśli? Chyba wariat”), przeszłości, nieprzepracowanej traumy, skrywanej tajemnicy. Te opowieści są jak kretowiska, niepozorne kopczyki, pod którymi kryje się podziemny labirynt korytarzy. Z tej powszechnej „nieradości” wysypływane są pełne ciepłego światła (choć niepozabawione długiego cienia) oraz językowej zmysłowości mikrohistorie, „mikrotyki” – obrazki złożone z niemodnych rytuałów i słów. Hopperowskie ujęcia krajobrazów i miast. Ich hiperrealizm okazuje się doskonałym nośnikiem zarówno sytuacji metafizycznych, jak i ekonomicznych, bo też krainą tej prozy nie jest wcale „arkadia małej stabilizacji”, a raczej dojmująca niestabilność świata.

Didier Eribon przywołuje w swojej książce esej Jamesa Baldwina, w którym szczególnie uderzający wydał mu się jeden passus. „Sądzę, że jedną z przyczyn, dla których ludzie z takim uporem tkwią w nienawiści, jest strach przed bólem, jaki się zjawia, kiedy nienawiść ustępuje”, pisał Baldwin po śmierci ojca. Ten ból, a raczej – pisze Eribon – „nieodparty przymus zastanowienia się nad samym sobą, nieusuwalne pragnienie cofnięcia się w czasie”, pojawia się właśnie po to, by można było zrozumieć powody, dla których tak trudno wejść w jakikolwiek kontakt z tym, kogo się dotąd w gruncie rzeczy nie znało. Ten temat powraca jak echo, nie tylko w opowiadaniu „Echo” Pawła Sołtysa. Ten przymus, to pragnienie – bo jeszcze „nie mamy żadnego języka prócz gestów, bo szyba, bo odległość” – organizuje świat przedstawiony większości wydawanych właśnie na naszym rynku opowiadań. Nareszcie.

© P MONIKA OCHĘDOWSKA

CZYTAJcie
KSIĄŻKI
ISKIER
www.iskry.com.pl



WKRÓTCE UKAŻĄ SIĘ KSIĄŻKI:

„Paryż 1938”
Piotr Szarota

„Wittgenstein: wiadomo, że...”
Ladislav Čumba

„Polska Ludowa. Postscriptum”
Andrzej Werblan

„Starszy Pan B. Opowieść o Jeremim Przyborze”
Dariusz Michalski



JAKUB OCIEPA / MATERIAŁY PRASOWE

Szklaneczka bulionu

MACIEJ MIŁKOWSKI, PISARZ:

Opowiadanie to rzecz skrojona na ludzką miarę – myśli się nad nim miesiąc, pisze tydzień, czyta dwadzieścia minut. Jest przystępniejsze, ale też uczciwsze, bo pokazuje tylko fragment.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czy faktycznie obserwujemy wielki powrót opowiadań? Pytam Cię jako praktyka i teoretyka.

MACIEJ MIŁKOWSKI: Udało mi się przetrwać czas, gdy wszyscy dookoła mówili, że opowiadań nie należy pisać ze względów rynkowych, artystycznych czy jeszcze innych. Myślę, że uda mi się przetrwać także teraz, gdy słyszę z różnych stron, że opowiadania wracają. Moje przekonanie do słuszności pisanja opowiadań pozostaje niewzruszone od lat.

A jednak napisałeś powieść – wkrótce ukaże się „System Sulta”.

Tak, chociaż zbudowałem ją z wielu małych całości, niektóre z nich są samowystarczalne i można je czytać niezależnie.

Skąd taki pomysł? Nie lubisz rozbudowanej fabuły?

Lubię domknięcia, szczególnie takie, które da się przeprowadzić w realnej perspektywie czasowej. Źle mi się pisze, gdy wiem, że coś skończę za dwa lata. A z wizją dwóch tygodni pracy lżej na sercu. Wszystko, co piszę, muszę mieć podzielone na małe części. Jak się wzywa fachowca, to na wstępie się go pyta, ile to będzie kosztować oraz kiedy będzie gotowe. W przypadku pisanja odpowiedzieć na pierwsze pytanie bardzo trudno. Z drugim trochę łatwiej, nawet jeżeli to będą dwa tygodnie razy pięćdziesiąt rozdziałów. Tak łatwiej żyć. Na pytanie: „co tam porabiasz?” można odpowiedzieć: „właśnie coś skończyłem”, nawet jeżeli to jest tylko siódmy rozdział z pięćdziesięciu planowanych.

Czyli chodzi o to, że łatwiej?

Nie do końca. Pisanie opowiadania to robota zegarmistrzowska. Z powieścią jest jak ze wznoszeniem wielkiego budynku – to zajęcie bardziej czasochłonne i męczące, ale niewymagające aż takiej precyzji. A z opowiadaniem jest jak z wierszem – musi być co najmniej bardzo dobre, jeśli nie wybitne, bo inaczej nie ma sensu. Przeciętna powieść bywa potrzebna: ma walory rozrywkowe czy poznawcze, można ją czytać z przyjemnością. Średnie opowiadanie nie jest do niczego potrzebne.

Czym jeszcze jest dla Ciebie opowiadanie?

Na takie pytania zawsze odpowiada się w kontrze do powieści, która zakłada objęcie pewnej całości. Nawet jeżeli nie chodzi o świat jako taki, ale jakąś skromniejszą skalę: epokę, środowisko, miejsce czy osobę. A opowiadanie to z definicji tylko fragment większej całości. Ten fragment może mieć oczywiście różne rozmiary, ale zawsze pozostaje w relacji do czegoś większego. Jak mówił Hemingway, w opowiadaniu kluczowe jest to, czego w nim nie ma, czego trzeba się domyślić. W optymistycznym założeniu to zadanie dla czytelnika, ale w praktyce bywa różnie. Niemniej jako autor zawsze zakładam obecność tej reszty, nawet jeżeli nikt inny się o jej odtwarzanie nie pokusi.

Istnieje coś takiego jak istota opowiadania?

To zależy od autora. Zajmuję się opowiadaniem także od strony teoretycznej, bo regularnie pisuję o ich konstrukcjach do „Czasu Literatury”. Przychodzi mi to z łatwością – nie mam też problemu z tematem, bo kolejka rzeczy do opisanego jest zawsze długa. Zazwyczaj opisuję rzeczy wybitne, choć ze słabszych tekstów też da się wyciągnąć ciekawe rzeczy. A to dlatego, że opowiadania chętnie ujawniają swój mechanizm, często wręcz go eksponują, zupełnie inaczej niż w przypadku powieści. Gdybym to o nich prowadził analogiczny kącik, pewnie szybko bym go zamknął. Bo pytanie o konstrukcję – nawet w przypadku powieści wybitnych – często nie ma sensu. Jak to jest zrobione? Nijak, od lewej do prawej, warstwa po warstwie, rozdział po rozdziale. Natomiast opowiadanie bez wyrazistego pomysłu konstrukcyjnego jest trudne do pomyślenia.

O powieści jednak łatwiej coś sensownego powiedzieć. Gdy masz zbiór kilkunastu opowiadań, to zazwyczaj na siłę szuka się wspólnego mianownika, który nie uwzględnia finezji pojedynczych tekstów.

To problem nie tyle z opowiadaniem, co z tomem opowiadań. Zgadzam się, zbiory to rzecz sztuczna i zrobiona na siłę. Dlatego bardzo lubię, gdy moje opowiadanie pojawia się pojedynczo – na przykład w jakimś piśmie. Wtedy jest też uczciwiej, bo pojedynczy tekst musi się bronić sam, nie może liczyć na wsparcie najróżniejszych kontekstów.

To też sytuacja mniej zobowiązująca – i dla autora, i dla czytelnika.

Opowiadanie to w ogóle rzecz skrojona bardziej na ludzką miarę – myśli się nad nim miesiąc, pisze tydzień, czyta dwadzieścia minut. Wszystko jest bardziej przystępne, ale też w pewnym sensie uczciwsze, bo jako autor zobowiązuje się w opowiadaniu dostarczyć tylko fragment. W życiu rzadko dostajemy całość, najczęściej mamy dostęp do danej sytuacji czy postaci tylko z pewnej perspektywy – własnych oczu albo czyjejś relacji. Dlatego w opowiadaniu dokonuje się tylu cięć i redukcji, choćby w samej perspektywie prowadzenia narracji. To proces zawężania, a nie rozszerzania. Często widać to w samym pisaniu, gdy pierwotny materiał bezlitośnie się ścina i okrawa. Po dwóch tygodniach gotowania zostaje szklanczka bulionu.

Podoba mi się ta metafora.

To oczywiście bardzo nieekonomiczny proces. Żeby bulion był dobry, trzeba narzucać do gara pełno składników i długo gotować. A na koniec uzyskujemy jedynie odrobinę aromatycznej esencji. Czasami ktoś mnie pyta, czemu z tego albo innego opowiadania nie zrobię powieści. A dlatego, że najprawdopodobniej nie wyszłoby z tego nic dobrego. To, co zagrało w krótkiej formie, rozciągnięte na kilkadziesiąt stron okazuje się banalne i nudne. Zdarzyła mi się za to sytuacja odwrotna – z korzyścią dla wszystkich gotową powieść przerobiłem na opowiadanie.

Przechodźmy do mojego ulubionego pytania – jak powstają Twoje teksty?

Żeby powstała bramka, potrzebne są dwa słupki i poprzeczka. Jeżeli zabraknie któregoś z tych elementów, całość po prostu się przewróci. Czasami wpadam na pomysł, z którym długo nie wiem, co zrobić. Aż tu nagle, czasem po latach, pojawia się drugi, zupełnie inny, niemający na pozór nic wspólnego z pierwszym. Jeden i drugi jest solidny, dobrze wbity w ziemię, ale brakuje im jeszcze poprzeczki, czyli odpowiednio dobranej techniki konstrukcyjnej – najważniejszego, ale i najtrudniejszego elementu. Jeśli miałbym zdefiniować technikę pisania opowiadań, to polegałaby ona właśnie na łączeniu dwóch zupełnie różnych rzeczy – w nieoczywisty, ale jednocześnie od pierwszych akapitów przekonujący sposób.

Długo pokutowało przekonanie, że tomem opowiadań nie da się dobrze zadebiutować. A jak ktoś już musi je pisać, to najwcześniej po kilku grubych powieściach.

Dla mnie od zawsze było jasne, że chcę zadebiutować tomem opowiadań. Druga moja książka zresztą też była zbiorem krótkich form. Ale przecież w historii literatury wielu wybitnych pisarzy zaczynało od opowiadań. Okazało się to problematyczne, zapewne pod wpływem wymagań marketingowych, zupełnie niedawno. Również jako czytelnik swoją przygodę z wieloma klasykami zaczynałem od ich krótszych tekstów. W niektórych wypadkach żałuję, że na tym nie po przestałem.

O kim mówisz?

Cortázar, Hemingway... Bardzo lubię opowiadania obu, ale już ich powieści są znacznie słabsze. Jeszcze inni, jak choćby Czechow, Poe czy Borges, w ogóle nie pisali dłuższych rzeczy, co nie jest chyba stratą dla ludzkości. Chopin też nie pisał symfonii i nikt mu tego nie ma za złe.

Ciekawe, że odsetek czytelników spada, a grubość wydawanych książek rośnie.

Jest w tym pewna logika, bo jeśli kupujesz na ryneczku kalafior na sztuki, to też wybierasz największy. Jeśli książka ma być prezentem, to trochę głupio komuś wręczyć takie cienkie nie wiadomo co. Inne pytanie brzmi: czy ktoś te grube książki w ogóle czyta? W ostatnich latach było kilka głośnych, szczerze nagradzanych powieści o słusznych rozmiarach – wszyscy je chwalili, ale jakoś nie mogłem znaleźć nikogo, kto by to w całości przeczytał.

To nie jest kraj dla krótkiej prozy?

Polska to kraj dla poezji. To tajemniczy, trudny do wyjaśnienia fenomen. Czasem tak się dzieje – znamy wielu wybitnych holenderskich malarzy, ale ani jednego kompozytora. Dlaczego? Polskich poetów o klasie światowej, a nawet wszechświatowej, można wymienić z łatwością dwudziestu albo więcej. A z prozaikami? Ciężko znaleźć jednego niekwestionowanego mistrza. Bo ci najlepsi – Gombrowicz, Schulz, Witkacy – to tacy nie do końca prozaicy, raczej poszukiwacze innych, nietypowych rozwiązań literackich.

→ Mieliliśmy paru niezłych autorów opowiadań...

Na pewno Filipowicza, pewnie trzeba by też wymienić Iwaszkiewicza, choć akurat jego opowiadania to raczej wielkie kobyły niż kameralne miniaturki. Co zrobić – niech każdy pisze to, w czym czuje się dobrze – potrzebne są zarówno preludia, jak i opery. Choć może należałoby powiedzieć inaczej – jedno i drugie jest dokładnie tak samo niepotrzebne.

Pisałeś kiedyś, że w sercu dalej jesteś postmodernistą – to dziś rzadkie wyznanie.

Trudno nie być postmodernistą, jeśli parę rzeczy już się w życiu przeczytało. Dla mnie postmodernizm to przede wszystkim świadomość, że inni przed nami robili już podobne rzeczy, do których trzeba się jakoś odnieść. Ten bagaż bywa oczywiście kłopotliwy, dlatego marzę czasem, żeby być Nikiforem: roić sobie, że jestem pierwszym człowiekiem, który sięgnął po pióro. Wtedy mógłbym w cudownie swobodny sposób opiewać świat, ale niestety... Nie umiem zapomnieć, że istnieje cała modernistyczna kultura, stąd moje ciągoty ku różnym eksperymentom.

Z odchodzeniem od postmodernizmu wiąże się inny problem – zmniejszające się znaczenie fikcji, nie tylko literackiej. Teraz w cenie jest proza, która obiecuje prawdziwy wgląd w rzeczywistość.

Niechętnie patrzę na tę tendencję. Jako autor i czytelnik jestem przywiązany do fikcji. Literatura – kiedyś określało się ją słowem „piękna” – daje wgląd w rodzaj prawdy, która pozostaje niedostępna dla innych form. Nie chcę tu mówić o głębi czy innych metafizycznych pojęciach, ale jeśli bierzemy pojedynczy reportaż czy biografię, to często okazuje się, że opisują one mało reprezentatywny fragment świata, z którego niewiele wynika dla naszego życia. A fikcja zawsze szuka szerszego kontekstu. Bohaterowie opowiadań, powieści, a także wierszy – nawet jeżeli są blisko spokrewnieni z autorem – mają w sobie rys uniwersalny. Szukanie prawdy partykularnej, związanej z konkretną osobą, miejscem czy zdarzeniem, na dłuższą metę jest zwyczajnie mało interesujące.

Presja *non fiction* wpływa na samą literaturę?

■ Jeśli mam do powiedzenia coś ważnego, piszę opowiadanie. Jeżeli coś mniej istotnego, robię z tego felieton. A jeżeli jest to tylko błaha obserwacja, to powstaje z niej krótki wpis, dla dziesięciu znajomych.

Spłyca przyzwyczajenia czytelnicze. I nie chodzi mi nawet o te ciągłe pytania o klucz autobiograficzny, ale o szerszy problem – proza nigdy nie dostarczy tego, co reportaż, a pomieszanie tych oczekiwań może prowadzić do rozczarowania i frustracji. Także wśród samych pisarzy. Coraz większą wagę przykładają się do riserczu – żeby te wszystkie marki papierosów i samochodów odpowiadały realiom epoki. A to przecież jest w gruncie rzeczy bez znaczenia, więcej: odciąga uwagę od wartości artystycznych. A już poza wszystkim – smuci mnie, gdy widzę niezłego reportażystę, który marnuje swoje siły, bo biorąc pod uwagę jego zdolności językowe i wyobraźnię, mógłby spokojnie napisać niezłą powieść. Z kolei nigdy nie zdarzyło mi się pomyśleć: „świetny prozaik, szkoda, że nie pisze reportaży”.

Bohater Twojej najnowszej powieści – profesor filozofii – zostaje poproszony o powołanie specjalnej rządowej komisji, która ma rozstrzygnąć spór o istnienie Boga. Zakładasz silną wiarę we wpływ humanistów na kształt świata.

Nie mam wyjścia, jestem uformowany przez tę kulturę, która wywodzi się gdzieś od Gutenberga, a teraz powoli przemija. Spory filozoficzne sprzed wieków są dla mnie istotniejsze niż gazetowe doniesienia. I nie widzę powodu, żeby to ukrywać. Irytuje mnie, gdy mówi się, że to nie jest prawdziwy świat, że życie toczy się gdzie indziej: w gazetach, telewizji, internecie. Nauka i kultura nie są oderwane od rzeczywistości – są jej żywotną częścią.

Ale ich przedstawiciele często dobrowolnie zamykają się w niszach.

Być może sytuacja życiowa ich do tego zmusza, a być może po prostu wygodniej

jest zasklepić się w swoim stypendium czy grancie. Ale to nie jest dobra sytuacja – artysta, a do tego grona zaliczam też pisarzy, nie powinien być tylko artystą. Jeśli ma jeszcze inne zajęcie, to tylko z korzyścią dla jego sztuki. A czy z tym trzeba od razu koniecznie gdzieś wychodzić... Mam duży dystans do wszelkich akcji promocji czytelnictwa. Chyba trzeba po prostu robić swoje najlepiej, jak się potrafi.

A wiara w moc sprawczą sztuki?

Z tym zawsze był problem. Chyba lubimy wierzyć, że kiedyś była ona większa, ale czy to prawda... Czy inscenizacja „Dziadów” miała faktycznie tak duży wpływ na wydarzenia z 1968 r., jak nas uczą w podręcznikach? Może to się tylko zbiegło w czasie? Aczkolwiek samą wiarę w moc sprawczą sztuki z pewnością należy w sobie pielęgnować.

A co sądzisz o takim wariacie opowiadania, jakim jest proza facebookowa?

Takie formy raczej zastępują klasyczne felietony czy listy do redakcji. U mnie hierarchia jest prosta – jeśli mam do powiedzenia coś ważnego, to piszę opowiadanie. Jeżeli coś mniej istotnego, robię z tego felieton. A jeżeli jest to błaha, bieżąca obserwacja, to powstaje z niej wpis, który polubi dziesięciu znajomych. W internecie marnuje się sporo ciekawych rzeczy. Z drugiej strony są autorzy, których książki mnie odrzucają swoją niestrawnością, ale za to ich twórczość internetowa sprawia mi sporo radości.

To na koniec jeszcze o puencie, bez której nie ma opowiadania.

Puenta to sprawa ryzykowna, bo źle zrobiona, potrafi położyć każdy tekst. Znamy setki wierszy, z których wystarczyłoby wyciąć dwie ostatnie linijki, żeby uzyskać wspaniałą poezję. Dlatego jestem zwolennikiem podwójnej puenty – puentę właściwą rozładowuję wcześniej jakąś antypuentą czy metapuentą.

© © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MACIEJ MIŁKOWSKI (ur. 1980) jest prozaikiem, tłumaczem i krytykiem literackim. Autor dwóch tomów opowiadań: „Wist” (2014) i „Drugie spotkanie” (2017). Wkrótce nakładem wydawnictwa Nisza ukaże się jego powieść „System Sulta”. Stale współpracuje z „Czasem Literatury”, gdzie prowadzi dział poświęcony opowiadaniom.



ANDREW LICHTENSTEIN / CORBIS / GETTY IMAGES

Zebrane i poszczególne

GRZEGORZ BOGDAŁ

Możliwość poznania za jednym razem, bez pośpiechu i w pełnym skupieniu całej historii czyni z opowiadania rzecz wyjątkową – wyrywa odbiorcę z jego świata na czas lektury.

Kilka minut albo dwie godziny, to już bez znaczenia. Nie o ekonomię tu przecież chodzi, a docenianie opowiadań z powodów praktycznych – że nie zabierają zbyt wiele czasu – budzi we mnie niechęć. Kto szuka w tej dziedzinie oszczędności, niech da sobie spokój z czytaniem, siądzie z zegarkiem w ręku i liczy ocalone sekundy. Zwłaszcza że właśnie opowiadanie znakomicie, dla

mnie bardziej niż powieść, sprawdza się w lekturze wielokrotnej, a ta potrafi zabrać kawał życia.

Kiedy przyjąłem propozycję sporządzenia subiektywnej listy najlepszych zbiorów opowiadań, zdałem sobie sprawę, że mam problem z przywołaniem tytułów tomów. Być może dlatego, że najczęściej ulubione teksty tego gatunku, w zależności od autora, dzielę na opowiadania zebrane i opowiadania poszczególne.

Pierwsze nie stanowią większego problemu, przeważają w nich teksty cenione, a część szczególnie się wyróżnia. Istnieje jednak ryzyko, że któreś z nich przy kolejnej lekturze zmieni swój status i stanie się opowiadaniem poszczególnym, a wtedy najpewniej stracę dostęp do reszty na nie wiadomo jaki okres. Bo najważniejszą cechą opowiadań poszczególnych jest to, że narzucają się same, gdy sięgam po książkę danego autora, spychając inne – ➔

→ kiedyś już przeczytane albo jeszcze nieznane – bezlitośnie na bok.

Choć i ten podział zmacę – zacznę od opowiadań zebranych, dopóki trzymają się razem. Będę pisał o opowiadaniach uczepiających się myśli, irytujących, czytanych maniackalnie po wielokroć albo raz na kilka miesięcy bądź lat.

Flannery O'Connor „Ocalisz życie, może swoje własne. Opowiadania zebrane” (przeł. M. Skibniewska, M. Kłobukowski) – to opowieści z amerykańskiego Południa o ludziach okaleczonych, dosłownie i w przenośni, często doświadczających krzywd od innych, równie nieszczęśliwych postaci. Proza O'Connor jest prosta, surowa, a bezwzględność rzeczywistości odbija się w tym języku – jest fundamentem czarnego humoru oraz ironii obecnych w każdej niemal historii. Rasizm zaś jest integralną częścią tego świata, przez co staje się niemal przezroczysty i jest traktowany na równi z prawami natury. Część opowiadań O'Connor ukazała się już wcześniej w wyborze „Trudno o dobrego człowieka” (przeł. M. Skibniewska), ale czytane w całości, jedno po drugim i bez dłuższych przerw, pozwalają śledzić nawracające w tej wybitnej twórczości motywy, postaci i rozwiązania fabularne. Ulga i wybawienie, które spotykają tu człowieka, prawie zawsze wydają się spóźnione. Trudno stwierdzić, czy więcej w nich jest łaski, czy drwiny.

Obsesyjnie powtarzające się motywy to również domena **Gustawa Herlinga-Grudzińskiego**, pisarza, który zdecydowanie nie kończy się na „Innym świecie” i zbiorze „Skrzydła ołtarza” – tytułach najczęściej przywoływanych, gdy mowa o jego prozie. Dwa ogromne tomy „**Opowiadań wszystkich**” wypełniają upiorne zbrodnie, opętania, perwersje, tragiczne miłości, samobójstwa; sobowtóry zmuszają do stawiania pytań o tożsamość, zmarli nie chcą opuszczać świata żywych, żywi umierać, przede wszystkim jednak narratorzy i bohaterowie doświadczają wszelkiego rodzaju zaburzeń świadomości, co nie tylko izoluje ich od świata, ale też każe pytać o to, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Większość tego dzieje się pod włoskim niebem – długotrwała spiekota staje się dla postaci fizyczną i psychiczną udręką. Sam język tych historii, z nielicznymi wyjątkami, również wydaje się wypalony, niemal skąpy, ale zawsze precyzyjny. Pozorna

■ Kto szuka w literaturze oszczędności, niech da sobie spokój z czytaniem, siądzie z zegarkiem w rękę i liczy ocalone sekundy.

staroświeckość współgra tu z formalną pomysłowością. Przeczytałem wszystko, niektóre opowiadania kilka razy, i teraz częściej o nich myślę, niż do nich wracam.

Podobnie, choć z innego powodu, jest w przypadku opowiadań **Samuela Becketta**. Najczęściej sięgam po tom „**Utwory wybrane w przekładzie Antoniego Libery. Eseje, proza, wiersze**”. Tu poszczególne opowiadanie wystarcza mi za wszystkie, a wszystkie są jak poszczególne. Po lekturze „Pierwszej miłości” czy „Wypędzonego” nie czytam od razu następnego – potrzebuję przerwy od monologów układanych przez świadomość nie tyle zaburzoną, co się rozpadającą. I spowalniającą, a może tylko odmierzającą ten rozpad wyliczankami, natręctwami, słowami. Ta genialna proza potrzebuje czasu i miejsca, by osiąść w głowie i by po kawałku ją opuszczać, aż do kolejnego nawrotu.

Dość o cudzych obsesjach – czas przyznać się do własnych, czyli opowiadań poszczególnych. Szczęśliwie się składa, że jedna dotyczy autora, któremu nie były one obce. „**Na zawsze w górze**” **Davidą Fosterą Wallace’a** (ze zbioru „**Krótkie wywiady z paskudnymi ludźmi**”, przeł. J. Kozak) jest chyba najpiękniejszym opowiadaniem, jakie znam. Spokojna, wręcz spowolniona narracja w drugiej osobie, skierowana do trzynastolatka spędzającego dzień na odkrytym basenie, to językowy majstersztyk, popis literackiego hiperrealizmu. Ile razy sięgam po zbiór Wallace’a, z postanowieniem ponownej lektury któregoś z opowiadań, tyle razy czytam „Na zawsze w górze” i nic innego.

Za to **Mark Anthony Jarman** w pospiesznym, brawurowym językowo „**Poparzeńcu na teksaskiej werandzie**” („Literatura na Świecie” 03-04/2017, przeł. J. Kozak, K. Majer) daje się wygadać oszpeconemu przez ogień mężczyźnie. Kpina z własnego nieszczęścia i wglądu łączy się tu z niezaspokojoną potrzebą czułości i bliskości. Tekst nasyczony

jest kryptocytatami – widocznie tak jak płomień ta proza potrzebuje materiału, by hulać. Czytałem „Poparzeńca” już tyle razy, że z egzemplarza „LnŚ” wylatują mi kartki. Jestem jednak usprawiedliwiony – po polsku nie ukazał się żaden zbiór Jarmana.

Czasami także myślę, że na zawsze straciłem resztę utworów **Guy de Maupassanta**, odkąd pierwszy raz przeczytałem „**Baryłeczkę**” (ze zbioru „**Klejnoty**”, przeł. R. Czekajńska-Heymanowa). To poruszająca historia nazywanej Baryłeczką, upokorzonej i wzgardzonej przez towarzyszy podróży tzw. kobiety lekkich obyczajów, ale też studium hipokryzji społeczeństwa z zadowoleniem pielęgnującego fasadową moralność.

„Ludzka to rzecz współczucie dla nieszczęśliwych”, pisał Boccaccio w zdaniu otwierającym „**Dekameron**” (przeł. E. Boyé). Tę emocję, tak jak Baryłeczka, wzbudza także więziony przez partyzantów stary Niemiec w krótkim „**Pragnieniu**” **Tadeusza Różewicza** (ze zbioru „**Proza**”). Równie ludzkie jest tu także okrucieństwo – kiedy więzień uchyla się przed wodą kapiącą na jego głowę z sufitu ziemianki, zostaje zmuszony do powrotu do wcześniejszej pozycji. Nie jest to co prawda najgorsza rzecz, jaka go spotyka, ale właśnie ten obraz widzę, gdy myślę o „Pragnieniu”. Różewicz pokazuje tu, a może pyta, na ile litości i bezwzględności, dobra i zła, można sobie pozwolić wobec wroga.

Przypisywane Ernestowi Hemingwayowi najkrótsze opowiadanie świata („Na sprzedaż: buciki dziecięce, nigdy nienoszone”) prawdopodobnie wcale nie jest jego autorstwa, a już z pewnością nie jest najkrótsze. **Natasza Goerke** w miniatrze „**Opowiadania**” (ze zbioru „**Fractale**”) w pięciu słowach przytacza treść trzech swoich opowiadań – „**Rozpad**”, „**Pamięć**”, „**Powrót**”, kolejno: „Rozpadłem się”; „Przypomniałem sobie”; „Wróciłem”. Te tytuły i zdania traktuję również jak trzy fundamenty dla opowieści, procesu opowiadania oraz czytania. Żadne z nich nigdy się nie kończy – nieważne, ile zostało tekstu na papierze, ile zdań w głowie. „Komu to nic nie mówi, ten i tak nie pojmie – dodaje Goerke. – Choćby nie wiem jak wertował. Te wszystkie kartki pomiędzy. Nie pojmie, co to znaczy. Rozpadać się, przypominać sobie, wracać. I tak dalej”.

©© GRZEGORZ BOGDAŁ

POWIEŚĆ O JAKÓBIE SZELI

Baśń jest próbą stworzenia na nowo mitologii Galicji. Nie jest powieścią historyczną, i choć napisana z szacunkiem dla ówczesnych realiów, to zawieszona pozostaje między historią a mitem.

Śledzimy losy młodego Kóby Szeli, wzrusza nas miłość, jaką obdarzyła go Żydówka Chana, czujemy razy pańskiego bata, przeżywamy zauroczenie zmysłową Malwą, wędrujemy przez krainę baśni, żeby zamieszkać we dworze i poczuć zapach krwi rabacji 1846 roku.

Radek Rak napisał powieść o dobru i złu, które czają się w każdym z nas, o nierównych szansach, o Galicji i o Polsce. Powieść pełną rozbuchanego erotyzmu, ironii i humoru, nakarmioną mrokiem ludzkich serc.

ZAPRASZAMY NA TARGI KSIĄŻKI W KRAKOWIE:

Radek Rak i Wit Szostak podpisują książki na stoisku C53
Księgarnie Świat Książki. 26 października (sobota), godz. 15.00-16.00



powergraph

Fantastyka

Katedra
www.katedra.net.pl

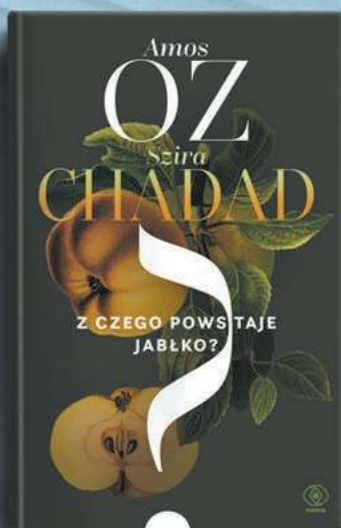
Bestiariusz

fantasta
tępo i szybko o wszystkim

PAINTERST
POLSKA PL



Klucz do zrozumienia
współczesnych
konfliktów



Sześć rozmów o pisaniu
i miłości, poczuciu winy
i innych rozkoszach



Czasem milczenie nie jest złotem.
Czasem trzeba krzyczeć.
Zwłaszcza kiedy zagrożone są
najważniejsze dla człowieka
wartości

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



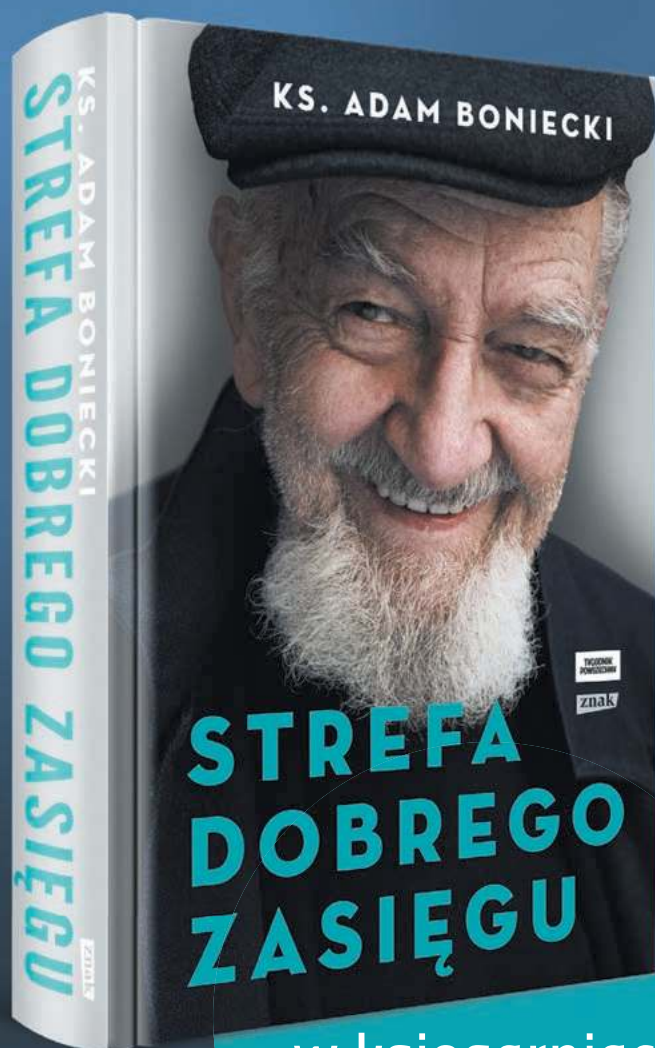
www.rebis.com.pl



FB/REBIS

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ks. Boniecki komentuje rzeczywistość ukrytą za telewizyjnym newsem, biskupim kazaniem, wyborczym billboardem...



w księgarniach
od 13 listopada

Jaka przyszłość czeka Kościół w Polsce? Czy da się dziś być prawdziwym katolikiem? Dlaczego dla ks. Adama ważne są drzewa? Jaki jest ksiądz za kierownicą? Jak wciąż żyć pełnią życia po 85. urodzinach?

Ta książka to wybór zawsze aktualnych tekstów, publikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego” w latach 2018–2019. Ks. Boniecki podejmuje w nich tematy szczególnie ważne właśnie teraz: Kościół i wiara po skandalach i napięciach ostatnich miesięcy, kondycja praworządności w Polsce, nieuchronne zmiany klimatu. Ale pisze także o przygodach, podróżach i małych radościach codzienności.

Słowa pełne mądrości, zrozumienia i spokoju są właśnie tym, czego nam teraz potrzeba.

**Nie obrażaj się. Nigdy się
nie obrażaj (chyba że
taktycznie).**

ks. Adam Boniecki

TYGODNIK
POWSZECHNY



W oczekiwaniu na katastrofę



OLIWIA FRYC

**Gaston pokazuje zwykłych ludzi w sytuacjach skrajnych.
Nigdy jednak nie potrafi do końca
zachować powagi – być może dlatego jego historie
są tak poruszające.**

Ciotka Sally wie, że nudne, umiarkowanie nieszczęśliwe życie, mając jednocześnie przecucie, że to prawdziwe jest gdzieś indziej. Wujek Phil umiera tak, jak żył – banalną, głupią śmiercią. Anne Marie musi skonfrontować się z duchami przeszłości, które, niczym wyrzut sumienia, pewnego dnia powracają ze zdwojoną siłą. Postacie stworzone przez Billa Gastona w znakomitym zbiorze opowiadań „Bogowie pokazują kląty” są wyjątkowe i niepowtarzalne, a przy tym na tyle wyraziste, że każda z nich spokojnie mogłaby unieść pełnowymiarową powieść – historię o sfrustrowanym everymanie, który pewnego dnia ma już dosyć.

Gaston niezwykle czułym okiem spogląda na swoich bohaterów – zwykłych, szarych ludzi, których mijamy w osiedlowym spożywczym, porannym autobusie czy na niedzielnym spacerze. Pozostawieni sami sobie, zmuszeni z samotności uczynić podstawową regułę egzystencji, zanudzeni na śmierć przeciętnością własnych małżeństw – wszyscy brną bezwiednie utartymi szlakami. Przełom następuje dopiero wówczas, gdy zostają postawieni w sytuacji skrajnej.

Okruchy życia, którymi do tej pory się żywili, przestają wystarczać. Konieczny staje się też rachunek sumienia – bolesna autorefleksja nad tym, kim się stali i co utracili. Dla każdego z nich prędzej czy później nadchodzi ten jeden, sądny dzień, kiedy to, co swojskie i wygodne, staje się nie do zniesienia. Presja jest na tyle duża, że trzeba przekroczyć barierę lęku i pchnąć swoje życie w inny, nieznanym kierunku. We wszystkich dziewiętnastu mikroopowieściach jesteśmy milczącymi obserwatorami

tego krótkiego momentu, gdy ich los waży się na szali.

Gaston nie poprzestaje bowiem na portretowaniu współczesnych mieszczan, których życiowy dramat polega na nudzie i zwyczajności. Jego opowiadania to galeria ludzkich pożądań, pasji i instynktów, długo wypieranych, które jednak ostatecznie dochodzą do głosu. „Wściekłość może narastać w czymś słabym, zwyczajnym, ignorowanym przez wszystkich” – przypomina jeden z narratorów. Styl i powody bywają najróżniejsze, ale ostatecznie wszyscy bohaterowie Gastona decydują się na radykalną zmianę (lub zostają do niej zmuszeni). Szukają zemsty, ale też godzą się z przeszłością, zrywają więzi albo tworzą nowe, zdradzają lub sami są zdradzani.

Odrzucenie dotychczasowego stanu rzeczy to każdorazowo gest gwałtowny i niekontrolowany, niczym erupcja długo tłumionej, autodestrukcyjnej energii. Sabotaż własnego życia sprawia, że nic już nie może być jak wcześniej. Czy ta dywersja to pierwszy krok ku wyzwoleniu, czy raczej równia pochyła? Tego pytania o władnięci żywiołem destrukcji bohaterowie już sobie nie zadają, dlatego Gaston również nie udziela na nie odpowiedzi. Na rewizje

przyjdzie jeszcze czas – teraz trzeba przygotować grunt pod to, co dopiero nadejdzie.

Gaston nigdy jednak nie potrafi do końca zachować powagi – być może dlatego jego historie są tak poruszające. Wszystkie momenty transgresji wydają się tak bliskie i ludzkie, bo podszyte są groteską, niedorzecznością i absurdalnym humorem, które rozbijają narastający niebezpieczny patos. Wystarczy spojrzeć na plejadę straceńców Gastona, aby zobaczyć, że gdy puszcza nerwy, tragedia osuwa się w farsę. Tak jest choćby w przypadku dotkniętego kryzysem męskości prowincjonalnego nauczyciela, który postanawia oddać hołd swojemu zmarłemu psu, zjadając kawałek jego serca. Albo gdy młody poeta zbyt serio traktujący ideę życia na miarę literatury postanawia terroryzować nieuczciwego sprzedawcę serią gróźb pisanych wierszem.

Opowieść o każdym z nich dałoby się zamknąć w obrębie barwnej anegdoty, lecz Gaston nigdy na tym nie poprzestaje. Za każdym razem dobudowuje drobiazgowo i domknięte uniwersa, które dodają niepokojącą głębię ich mieszkańcom. A jednocześnie to proza oszczędna, w której autor przechodzi od razu do rzeczy. Jakby doskonale wiedział, co motywuje jego bohaterów; jakby znał nas na wylot. ©

■ Postacie stworzone przez Billa Gastona są wyjątkowe i niepowtarzalne, a przy tym na tyle wyraziste, że każda z nich spokojnie mogłaby unieść pełnowymiarową powieść.



• Bill Gaston
**BOGOWIE
POKAZUJĄ KLĄTY**
przeł. Krzysztof Majer,
Kaja Gucio
Marginesy
Warszawa 2019

Przegadajmy to

MICHAŁ SOWIŃSKI



Barnesa w literaturze interesuje nieskończona potencjalność, w ramach której opozycja prawdy i fałszu zostaje nie tyle unieważniona, co raczej zbyt niedbałym wzruszeniem ramion.

Dla Juliana Barnesa, jednego z najważniejszych współczesnych brytyjskich autorów, opowiadanie historii nigdy nie jest czynnością neutralną, rozrywką służącą zabiciu czasu. Fikcja to dla niego żywioł pierwotny, podstawowy pierwiastek budujący rzeczywistość. Wypełnia szczerze naszą pamięć – zarówno tę indywidualną, jak i zbiorową – jest również jedynym medium, które umożliwia nam wgląd w to, co minione. Dlatego fikcja podmywa wszystkie filary pozornie stabilnych języków i instytucji, takich jak historia, filozofia czy prawda. A za naiwną wiarę w ich stabilność i obiektywność przychodzi często słono zapłacić.

Każda historia, która u Barnesa jest nam opowiadana, *de facto* tworzy się dopiero na naszych oczach – rodzi się w bólach jako zlepek sprzecznych relacji, do tego wielokrotnie zapośredniczonych i filtrowanych. Doskonale pokazuje to choćby brawurowa książka

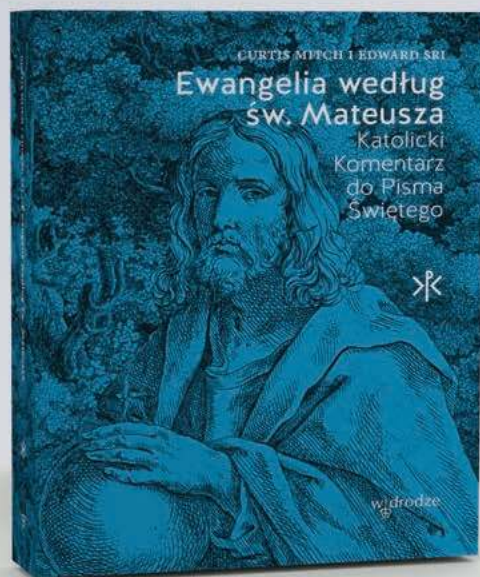
biograficzna „Papuga Flauberta” z 1984 r., w której życie i twórczość autora „Pani Bovary” jest jedynie pretekstem dla mgławicowej konstrukcji opowieści o postaciach i wydarzeniach, które mogły, ale wcale nie musiały zaistnieć. Tym samym już na początku swojej literackiej drogi Barnes wyraźnie zaznacza, że w literaturze interesuje go przede wszystkim nieskończona potencjalność, w ramach której opozycja prawdy i fałszu zostaje nie tyle unieważniona, co raczej zbyt niedbałym wzruszeniem ramion.

Nie inaczej dzieje się w przypadku dzieł bardziej jednoznacznie kwalifikowanych przez krytyków jako powieści (choć jak w przypadku wszystkich wybitnych pisarzy, podziały gatunkowe u Barnesa są umowne). Widać to szczególnie dobrze w nagrodzonym Bookerem „Pocuciu kresu”, książeczce skromnej objętościowo, ale chyba konstrukcyjnie najbardziej wyrafinowanej w jego dorobku. Tragiczną historię

Adriana Finna poznajemy przezpruszoną przez podwójny filtr – dziennik, który zostawił po swojej samobójczej (?) śmierci, a także pamięć podstarzałego już Tony’ego Webstera, który szybko okazuje się świadkiem mało wiarygodnym.

Warto zarysować ten szerszy kontekst twórczości Barnesa, aby dobrze umiejscowić w nim wczesną powieść „Pomówmy szczerze” (1991). To pozornie prosta, senna wręcz historia romansowego trójkąta rozgrywającego się na londyńskich przedmieściach. Stuart i Gillian wiodą względnie szczęśliwe życie – on jest niezłe zarabiającym menadżerem bankowym, ona zajmuje się renowacją starych obrazów. W ich związku brakuje jednak iskry. Tu wkracza na scenę Olivier – przyjaciel Stuarta jeszcze z czasów szkolnych. Wygadany bon vivant bez grosza przy duszy, za bardzo zajęty kolejnymi erotycznymi podbojami i kontemplacją własnego ego, by

REKLAMA



KATOLICKI KOMENTARZ DO PISMA ŚWIĘTEGO
TOM I

Ewangelia według św. Mateusza

Przystępna, praktyczna, rzetelna seria
17 tomów komentarzy do każdego zdania
Nowego Testamentu.

w|drodze

wdrodze.pl
sprzedaz@wdrodze.pl
tel. 61 850 47 52

zająć się poważniejszą pracą. Słowem, karykaturalne wręcz przeciwieństwo statecznego i nudnego Stuarta. Nie mija dużo czasu, gdy uczucia Gillian zaczynają przenosić się na Oliviera, co ostatecznie prowadzi do rozwodu i powtórnego zamążpójścia.

U Barnes'a nie jednak nie jest proste – nawet romanse znudzonych mieszczan. Cała narracja jest bowiem prowadzona aż z trzech perspektyw: każdy z bohaterów tej tragifarsy opowiada nam swoją wersję wydarzeń. Od samego początku pojawiają się drobne rozbieżności, które łatwo mogą umknąć naszej uwadze. Jednak z każdym kolejnym rozdziałem niespójności dotyczą rzeczy coraz istotniejszych – wszak mamy tu do czynienia z emocjonalno-psychologicznym thrillerem, w którym bohaterowie gęsto tłumaczą się ze swoich życiowych wyborów, jednocześnie przerzucając się odpowiedzialnością za małżeńsko-przyjacielskie zdrady.

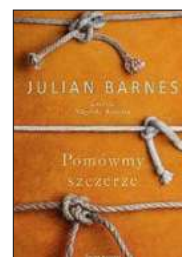
I tu dochodzimy do sedna problemu – Barnes proponuje bowiem bardzo oryginalną konwencję opowieści, nie od razu zrozumiałą dla czytelnika. Bohaterowie bowiem relacjonują kolejne

■ „Pomówmy szczerze” początkowo wygląda jak perwersyjna sesja terapeutyczna dla poliamorystów, szybko jednak okazuje się, że w roli psychoanalityka zostaliśmy obsadzeni my sami.

epizody ze swoich związków, zwracając się do tajemniczej, zakulisowej instancji. Początkowo wygląda to jak perwersyjna sesja terapeutyczna dla poliamorystów, szybko jednak okazuje się, że w roli psychoanalityka zostaliśmy obsadzeni my sami. Bo to właśnie czytelnik – konfrontowany z zasadniczo różnymi wersjami tej samej historii – musi zdecydować, komu zechce zaufać. Sprawę komplikują dodatkowo z rzadka pojawiające się głosy innych ludzi, zewnętrznych świadków, których trójka głównych

bohaterów bardzo niechętnie dopuszcza do dyskusji.

Dlatego w tym kontekście polskie tłumaczenie tytułu powieści, nawet w ironicznym sensie, okazuje się niefortunne – nie o szczerść bowiem tu chodzi. Prawda znajduje się poza horyzontem zainteresowania wszystkich zaangażowanych. I nie chodzi nawet o to, że każdy z bohaterów świadomie mataczy, aby pokazać się z najlepszej strony. W oryginale tytuł brzmi „Talking it over” – i to właśnie przegadanie innych jest tu właściwą stawką konfliktu. Skoro bowiem rzeczywistość składa się z tysięcy konkurujących ze sobą opowieści, zwycięzcą okazuje się ten, kto opowiadać potrafi najskuteczniej. ©

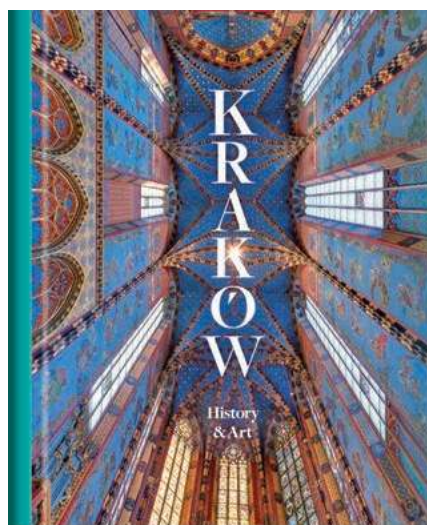
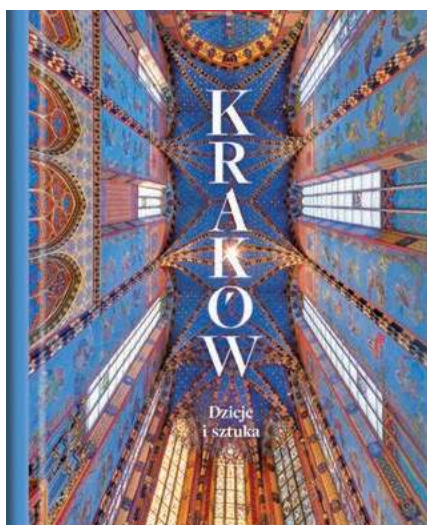


• Julian Barnes
POMÓWMY SZCZERZE
przeł. Katarzyna
Kasterka
Świat Książki
Warszawa 2019

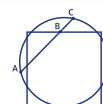
REKLAMA

Kraków. Dzieje i sztuka

– nowy polski i angielski przewodnik poświęcony historii i kulturze miasta



Zapraszamy na stoisko MCK podczas Targów Książki w Krakowie (B69)
lub do naszej księgarni internetowej www.mck.krakow.pl/ksiegarnia



MIĘDZYNARODOWE
CENTRUM
KULTURY

Nie mów nic

GRZEGORZ JANKOWICZ



Komunikacja w najnowszym tomie Bartczaka urasta do metafory mechanizmów determinujących życie, aktywnie przekształcających jego strukturę.

Trzy ostatnie książki Kacpra Bartczaka układają się w całość. W tomach „Wiersze organiczne” (2015) oraz „Pokarm suweren” (2017) tekst poetycki funkcjonował jako żywy organizm, jedno z wielu istnień zasiedlających rzeczywistość. Poeta potraktował język i wiersz nie jako narzędzia, za pomocą których przedstawiamy sobie świat lub wyrażamy nasze emocje, pragnienia czy myśli, lecz jako byty przynależące do świata, będące jego integralną częścią. Poezji zanurzonej w rzeczywistości przypisał inny status, przemieścił ją i upodmiotowił, a także wystawił na działanie tych samych mechanizmów, tych samych maszyn społecznych, politycznych, ekonomicznych i technologicznych, które determinują naszą egzystencję we wszystkich jej wymiarach: biologicznym, psychologicznym, ideologicznym etc. Wiersz stał się bohaterem naszych czasów, everybytem, w którym mogliśmy się przegłębiać i rozpoznać, dzięki któremu mogliśmy dowiedzieć się czegoś o warunkach istnienia i działania, odczuwania i myślenia, mówienia i rozumienia. To, co w książkach Bartczaka przydarzało się poezji, przydarzało się lub mogło się przydarzyć również nam. Wiersz nie przynosił opisu naszej sytuacji, lecz jej inscenizację, w ramach której wcielał się w różne role: atomu, komórki, przedmiotu, uchodźcy, pracownika korporacji, ludzkiej i nieludzkiej masy, którą urabiają wspomniane mechanizmy...

Nowa książka jest kulminacją tego sposobu pisania. Zarysowuje także kres pewnej formy życia. Już sam tytuł daje nam wyobrażenie o warunkach, w których dziś funkcjonujemy. Neologizm „naworadiowa” wskazuje nie tylko na proces stapiania się słów w trudne do zrozumienia zbitki, co

determinuje naszą komunikację, ale także na zanik granic oddzielających od siebie poszczególne byty. „Nawa” to tradycyjnie część kościoła, w której gromadzą się wierni podczas mszy. U Bartczaka jest ona całą rzeczywistością, w którą zostaliśmy pochwyteni i w której odbieramy oraz produkujemy komunikaty. Gdybyśmy rozsunęli składowe części tytułu, otrzymalibyśmy syntagmę wyrażoną w wołacz, który posiada specyficzną funkcję. Pozwala mianowicie zwrócić się do kogoś bezpośrednio, np. w poetyckiej apostrofie, która jest oddzielona od reszty tekstu, podobnie jak osoba, do której się zwracamy, nie bierze udziału w opisywanych wydarzeniach. Innymi słowy wołacz służy do wyróżniania, a nawet izolacji. Bartczak łączy ze sobą jego części składowe, dając nam do zrozumienia, że komunikacja, w której na co dzień uczestniczymy, której jesteśmy częścią, którą każdym swoim słowem i każdym gestem wzmacniamy, zamyka nas w obrębie jakiegoś totalnego pasma

informacyjnego, a zarazem trzyma w rozłączeniu. Jeśli wszyscy używają form wołaczowych, jeśli każdy ogranicza się do apostrofy, to znaczy, że porozumienie nie jest możliwe. Wszystko jest komunikacją, która w tym tomie urasta do metafory mechanizmów determinujących życie, czyli aktywnie przekształcających jego strukturę. Życie jest pokawałkowane, relacje są pozrywane, ale procesy kawałkowania i zrywania odbywają się w ramach szerszego zjawiska mieszania (się) wszystkiego ze wszystkim. Stąd powracające w kolejnych wierszach obrazy fragmentacji, rozpadu, rozkawałkowania, ale też miksowania, stapiania, sprzegania.

Jeśli wszyscy uczestniczą w tych codziennych rytuałach, które całkowicie zrównały się z życiem, to znaczy, że swój udział ma w nich również poeta i jego wiersz. On (poeta, wiersz) także pracuje na rzecz owych społecznych – nie tylko komunikacyjnych – maszyn. Jak się z tej pułapki wydostać? Jak ocalić wiersz? Czy to w ogóle możliwe? W pewnym momencie Bartczak pisze o sytuacji, w której choć raz naprawdę nie mówimy nic. Być może właśnie to jest nasz największy deficyt: nie niemożność wyrażenia swych myśli, pragnień i oczekiwań, przedstawienia własnej prawdy, lecz niemożność niewyrażania ich, brak możliwości milczenia. ©®

Neologizm „naworadiowa” wskazuje nie tylko na proces stapiania się słów w trudne do zrozumienia zbitki, co determinuje naszą komunikację, ale także na zanik granic oddzielających od siebie poszczególne byty.



• Kacper Bartczak,
NAWORADIOWA,
Biuro Literackie,
Stronie Śląskie 2019

Znikąd ratunku

MICHAŁ SOWIŃSKI



Prozę Vanna można z łatwością rozpoznać po oszczędnym, brutalnym i bezkompromisowym języku, którym bez większego wysiłku wwierca się w najmroczniejsze zakamarki ludzkiej psychiki.

Podczas ubiegłorocznego spotkania z Davidem Vannem na Festiwalu Conrada w czasie przeznaczonym na pytania jedna z uczestniczek wydarzenia serdecznie podziękowała autorowi za wszystkie jego książki. Dzięki nim bowiem odzyskała wiarę w możliwość istnienia literatury po Dostojewskim. Podobieństwo obydwu autorów jest rzeczywiście frapujące. Prozę Vanna można z łatwością rozpoznać od pierwszego akapitu – przede wszystkim za sprawą oszczędnego, brutalnego i bezkompromisowego języka, którym bez większego wysiłku wwierca się w najmroczniejsze zakamarki ludzkiej psychiki.

Polski czytelnik miał do tej pory okazję poznać jedynie jego debiutancki zbiór opowiadań „Legenda o samobójstwie” – książkę, w której różne warianty tej samej historii pełnią funkcję literackiej autoterapii po traumie związanej z samobójczą śmiercią ojca. Już samo to suche streszczenie daje przedsmak lepkiej od czerni wyobraźni Vanna. Nie inaczej jest w wydany właśnie „Brudzie”.

Poprzednio sceną dramatu były surowe pustkowia Alaski, tym razem wrzuceni jesteśmy w rozgrzaną i duszną od pyłu kalifornijską prowincję. Początkowo jest sennie i gnuśnie – ot, zwyczajny zjazd rodziny, w której nikt za sobą nie przepada. Odżywają dawne urazy i konflikty, których motorem napędowym są oczywiście pieniądze. Galen – sfrustrowany dwudziestoparolatek wciąż mieszkający z gderliwą matką, bez grosza i pomysłu na swoje życie, ma tego dosyć. Nie tylko swojej rodziny, ale wszystkich.

Choć rozczarowany własną gnuśnością, wciąż żywi przekonanie o swojej wyjątkowości, które pozwala mu patrzeć z pogardą na resztę świata. Ale to nie wszystko – Galen, jak wszyscy bohaterowie Vanna, balansuje na cienkiej granicy, za którą czai się otchłań szaleństwa. Wystarczy lekkie pchnięcie, żeby stoczyć się do miejsca, z którego nie ma powrotu.

Historie Vanna są bezlitosne – zarówno dla bohaterów, jak i czytelników. Krok po kroku, scena po scenie podążamy za Galenem na ścieżce jego psychozy. A gdy z przerażeniem odkry-

wamy, dokąd właśnie zabrnęliśmy, na ucieczkę jest już zdecydowanie za późno. Przemoc, która zawsze się pojawia (raczej prędzej niż później), ukazana jest w całej swojej przerażającej rozciągłości. Oślepia niczym słońce w zenicie – nic nie rzuca zbawiennościami.

Co rusz pojawiają się sugestie dla lektury w duchu psychoanalitycznym czy z użyciem innego symbolicznego klucza, jednak w obliczu nagiej przemocy dokonywanej na bezbronnych ciele wypadają one błado i nieprzekonująco. W uniwersum Vanna znikąd nie widać ratunku, nie ma też szans na miłosierdzie i odpuszczenie grzechów. W tym świecie skrajnie wypłaszczonej metafizyki jedyną nieskończonością pozostaje okrucieństwo. © P



• David Vann
BRUD
przeł. Dobromiła
Jankowska
Pauza
Warszawa 2019

REKLAMA

Anna Musiałówna *Próba przeczekania wiatru.* *Fotografie ze Spitsbergenu*

wystawa i książka

Fundacja Archeologia Fotografii
ul. Chłodna 20, Warszawa
www.faf.org.pl

Dofinansowanie:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Wiwisekcja społeczna



KATARZYNA TRZECIAK

**„Znikanie”, połączenie eseju, autobiografii i dziennika,
to próba uchwycenia istoty choroby – stanu,
w którym krzyżują się języki biologii, polityki i ekonomii.**

Iterackie zapisy doświadczenia choroby bywają reakcją na niewydolność definicji medycznych i naukowych procedur, abstrahujących od jednostkowych odczuć. Dlatego język literacki bywa w tym przypadku traktowany jako bardziej pojemny. Z kolei sama tekstualizacja choroby nierzadko osiąga wymiar terapeutyczny, nie zawsze możliwy w konfrontacji ze sztywnymi ramami nauki.

Książka Izabeli Morskiej (wcześniej publikującej pod nazwiskiem Filipiak) na wielu poziomach problematyzuje możliwość oddzielenia wiedzy medycznej i fikcji, pokazuje bowiem, że doświadczenie choroby jest w istocie splotem wielu, często niezgadzających się języków, zdarzeń i porządków.

„Znikanie” to połączenie eseju, autobiografii i dziennika, w którego centrum znajduje się choroba bohaterki – pisarki i akademicki. Od początkowych objawów, przez pierwsze próby uzyskania profesjonalnej diagnozy i konfrontację z niewydolną służbą zdrowia, aż po autodiagnozę, bohaterka przechodzi kolejne stadia na drodze pełnego zrozumienia stanu, w którym znalazło się jej ciało.

W 2012 r., gdy pojawiły się pierwsze symptomy – niepokojące drętwienie rąk – autorka była pacjentką zdeterminowaną, pełną zaufania do instytucji medycznych. Jednak wraz z kolejnymi fazami leczenia narastało w niej przekonanie, że wiara w ten autorytet opiera się przede wszystkim na uprzedmiotowieniu pacjentów, kapitulujących przed systemem, który zarządza ich życiem. Dlatego wyuczona pokora szybko ustąpiła miejsca aktywnym poszukiwaniom, zarówno w polu nauki, jak i we własnej biografii.

Kluczowa okazuje się bowiem niedawna śmierć matki, którą poprzedził pobyt w hospicjum – doświadczenie, które odcisnęło wyraźny ślad na psychice córki. Czy więc tytułowe znikanie, doświadczane przez bohaterkę w trakcie kuracji, ma źródło w niedawnych przeżyciach rodzinnych? A może u jego podstaw leżą kwestie zawodowe – w końcu paraliż dłoni to dla pisarki poważny problem. Do znikania przyczynić się mogła również autodiagnoza – wszak borelioza to choroba o dziwnych, niejednoznacznych objawach, częściowo wymykających się prostym medycznym procedurom.

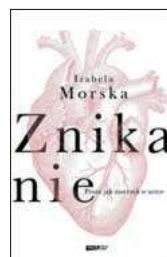
Studiowanie biurokratycznych rozporządzeń, analizowanie własnej biografii, testowanie medycyny alternatywnej, poszukiwanie historycznych metod diagnozowania i terapii, a wreszcie wnikliwa obserwacja społeczno-filozoficznych zmian w zakresie zarządzania normą i patologią – to wszystko symultanicznie buduje narrację „Znikania”. Płynące z ciała impulsy oraz detektywistyczna dotkliwość sprawiają, że śledztwo przybiera nawet skalę globalną. W jego toku borelioza okazuje

się wdzięczną metaforą polskiego społeczeństwa, gdzie literatura, medycyna i socjologiczne obserwacje łączą się ze sobą nieoczekiwanie i brawurowo.

Odruchową reakcją na znikanie pacjentki w odmetach niewydolnego systemu powinien być opór – walka jednostki z opresyjnym systemem. Ale nawet gdyby zwycięstwo jakimś cudem okazało się możliwe, byłoby ledwie połowiczne. Jednorazowy sukces dokonany nadludzkim wysiłkiem tylko uwidoczniłby patologię instytucji, od których zawsze będziemy zależni.

Dlatego opowieść Morskiej idzie w inną stronę. Nieustannie poszerza pole walki i wprowadza kolejne niuansy, by ostatecznie ukazać chorobę jako skrzyżowanie biologii, polityki i ekonomii – dyskursów, które pozostają w mocy także po wyleczeniu pacjenta. Dopiero tak postawiona diagnoza pozwala wyrwać się ze stuporu i bezsilności, odwracając proces znikania. Prywatyzowanie zdrowia jako indywidualnego stanu i powinności prowadzi bowiem do prześlępienia zjawisk o wspólnym, społecznym podłożu. Książka Izabeli Morskiej, hybrydyczna formalnie i tematycznie zachłanna, pokazuje, że aby zaistnieć na nowo w świecie, potrzebna jest gruntowna wiwisekcja i udrożnienie społecznego krwiobiegu, z którego wszyscy czerpiemy życiodajną siłę. ©

■ Morska pokazuje, że doświadczenie choroby jest splotem wielu, często niezgadzających się języków, zdarzeń i porządków.



• Izabela Morska
ZNIKANIE
Znak
Kraków 2019

BIBLIOTEKA NARODOWA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 43/2019

W 2019 roku mija sto lat od powstania Biblioteki Narodowej – najstarszej i najbardziej znanej **serii wydawniczej** w Polsce.

Jej koncepcję stworzyli profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdy nasza państwowość dopiero się kształtowała.

Prace nad Biblioteką Narodową nigdy nie zostały przerwane, nawet podczas II wojny światowej. Kolejni redaktorzy serii przekazywali sobie to dziedzictwo z rąk do rąk i dbali, by cykl zachował swoje zasady, rangę oraz poziom literacki i naukowy. Do końca roku jubileuszowego seria będzie liczyć 608 tomów najcenniejszych utworów literatury polskiej i światowej we wzorowych, fachowych i przystępnych zarazem opracowaniach, które wyszły spod piór najlepszych polskich literaturoznawców.

Stulecie to właściwy moment, aby spojrzeć na cały dorobek serii, zastanowić się nad jej historią, miejscem w kulturze, a także nad fenomenem jej żywotności i popularności.

W tym ostatnim stwierdzeniu nie ma żadnej przesady. Seria żyje, co roku ukazują się kolejne tomy, a **lista autorów BN poszerza się o nazwiska twórców coraz bardziej współczesnych**. O jej popularności i randze niech zaświadczą słowa noblistki, **Olgi Tokarczuk**: „Powiem bardzo osobiście, że jestem dumna, iż mamy w naszej kulturze coś tak wspaniałego i doniosłego jak Biblioteka Narodowa. I gdyby z jakichś powodów wysyłano mnie na bezludną wyspę, poprosiłabym sprytnie o wszystkie jej publikacje. Miałabym dość lektury do końca życia”.

prof. Stanisław Beres
redaktor serii Biblioteka Narodowa

Dariusz Sośnicki
*redaktor naczelny
Wydawnictwa Ossolineum*

100 LAT
SERII
OSSOLINEUM

**BIBLIOTEKA
NARODOWA**

Zawodowy Andaluzyjczyk

MICHAŁ SOWIŃSKI

Lorca był poetą na wskroś nowoczesnym, którego fascynował mrok – pokłosie młodości spędzonej pod czarnym słońcem swojej ojczyzny.

Istnieją poeci, których wiersze pozostają w cieniu biograficznej legendy ich twórcy. Chętniej przecież słuchamy o awanturniczych żywotach, przesyconych teatralnym duchem, jakby od początku przygotowywanych pod scenariusz wielkiego spektaklu. Rzadko kiedy z tych morderczych zapasów o uznanie właśnie poezja ostatecznie wychodzi zwycięsko. Dlatego Federico Garcíá Lorca i jego poezja mieli, mimo wszystko, dużo szczęścia.

Słusznie uznany za klasyka literatury XX wieku, w Polsce tułał się raczej na obrzeżach zbiorowej świadomości i po koneserskich niszach. Na szczęście wydany właśnie tom „Wiersze i wykłady”, ze wstępem i opracowaniem Justyny Ziarkowskiej (wyboru istniejących przekładów i nowych tłumaczeń dokonał Marcin Kurek), ma szansę to zmienić, gdyż jest najobszerniejszym jak dotąd zbiorem poezji hiszpańskiego truba-

dura, dodatkowo wzbogaconym o wykłady. Rozpisana chronologicznie twórczość poety pozwala zobaczyć nie tylko niezwykłą ewolucję (przeplatana gwałtownymi zerwaniami i uskokami) poetyckiej dykcji, ale również żelazną konsekwencję, z jaką pochłaniał i filtrował rzeczywistość.

Jednak problem z Lorcą polega na tym, że niechętnie relacjonował ten proces w formie zapisu. Jego przyjaciel, poeta Guillermo de Torre, określił go wręcz mianem „barda przedguttenbergowskiego”, zawsze chętnego do recytacji, opornego jednak przed drukiem, który, jak się wyraził w jednym z listów, groził śmiercią istocie poezji. Tu pojawia się kolejny kłopot – wiersze Lorki, przełożone przez takich tłumaczy jak Leszek Engelking, Jerzy Ficowski, Mieczysław Jastrun czy Jarosław Marek Rymkiewicz, brzmią po polsku mocno i czysto, ale z pewnością daleko im do głębi hiszpańszczyzny, stonowanej dodatkowo andaluzyjskim akcentem. A bez tego ducha południowej Hiszpanii, który odcisnął trwałe piętno na wyobraźni poety, otrzymujemy ledwie połowę Lorki.

Borges nazwał go wręcz mianem „zawodowego Andaluzyjczyka” – określenie pomyślane jako obelga, z pewnością sprawiłoby adresatowi przyjemność. Lorca bowiem czerpał pełnymi garściami z ojczystej krainy, czego dowodem są jego wczesne utwory. Tym samym postawił się w kontrze do wielu awangardowych twórców ówczesnej epoki, walczących ze stereotypowym wyobrażeniem o Hiszpanii wesołej i, jak to określiła Ziarkowska, „pełnej tamburynów, orkiestr dętych i pieśni flamenco”.

Jego krytycy mylili się jednak fundamentalnie, gdyż Lorca był poetą na wskroś nowoczesnym i dalekim od taniego sen-

tymentalizmu. Folklor nie był dla niego pocieszeniem ani próbą restauracji wiary w stabilność świata w chaotycznych czasach. W cygańskich opowieściach widział raczej mroczne zwierciadło – narzędzie do wiwisekcji własnej duszy. Stąd choćby fascynacja pojęciem *duende*, któremu poświęcił swój słynny wykład. Ów ekstazy stan, w który czasem wpadali artyści flamenco, niewątpliwie kusił go obietnicą wglądu w autentyczną tkankę rzeczywistości, skrywaną pod kwiecistymi szalami z frędzlami.

Tego marzenia nie porzucił nawet, gdy wyjechał do USA pod koniec lat 20. Powstały w tym czasie tom „Poeta w Nowym Jorku” z pewnością czerpie swój język już z zupełnie innego imaginariu niż wcześniejsze teksty. Jednak fascynacja mrokiem – tym, co odrzucone, odmienne i przepełnione śmiercią – to pokłosie młodości spędzonej pod czarnym andaluzyjskim słońcem.

Na koniec jeszcze o biografii, którą u Lorki kształtował rytm jego poezji. Powrót z Ameryki zbiegł się z powstaniem Drugiej Republiki. Jednak krótki karnawał wolności zakończył się równie brutalnie jak życie poety. W sierpniu 1936 r., na początku wojny domowej, został zamordowany (najprawdopodobniej było to zleczone morderstwo) przez faszystowską milicję, a miejsca jego pochówku nie udało się ustalić do dziś. W ten sposób poezja zaplątana w biografię (albo odwrotnie) stała się metaforą własnej epoki.

©P

■ Federico Garcíá Lorca

WIERSE I WYKŁADY

Wybór, wstęp i opracowanie

Justyna Ziarkowska i Marcin Kurek

BN II 264, Wydawnictwo Ossolineum,
Wrocław 2019

Federico García Lorca

Zza biurka widać więcej

KATARZYNA TRZECIAK

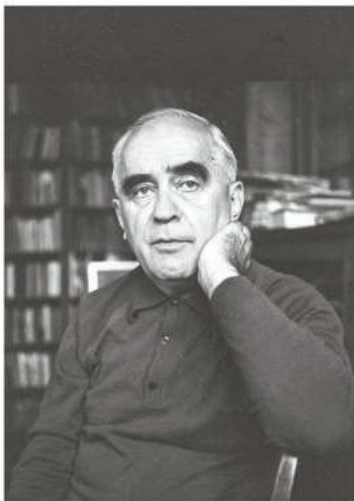
**Stawką tekstów Wyki jest zawsze humanistyka,
która nie chce stracić z pola widzenia ani
skomplikowanej terażniejszości, ani mającej
w oddali przyszłości.**

Ile godzin w ciągu całego życia spędził siedząc za biurkiem Kazimierz Wyka? Nawet pobieżne szacunki przyprawiłyby o zawrót głowy. „Jestem historykiem literatury, bywam krytykiem, mnóstwo robót organizacyjno-naukowych przepłynęło i wciąż przepływa przez moje godziny, a wszystko to coraz silniej stwarza barykadę biurka. Im dłużej żyję w kraju pełnym tematów, tym mniej ten kraj znam”. Pewne wyobrażenie o pracy krakowskiego literaturoznawcy podsuwa tysiącstronicowy „Wybór pism”, przygotowany przez Pawła Mackiewicza. Wyłania się z niego obraz badacza tkwiącego za biurkiem, na którym piętrzą się nowości literackie, tomy studiów socjologicznych i zapisywane na bieżąco notatki. Dlatego to nie tylko portret krytyka, ale również obraz jego metody krytycznej, wykraczającej poza wąsko rozumiane literaturoznawstwo.

Jednym z celów prezentowanego wyboru jest, jak tłumaczy Paweł Mackiewicz, ukazanie pisarstwa Wyki na tle burzliwej historii społeczno-politycznej, ze szczególnym uwzględnieniem jej wpływu na samego badacza. To założenie, skądinąd typowe w biografii intelektualisty, w przypadku Kazimierza Wyki uruchamia kilka ważnych (szczególnie dziś) aspektów samej postawy badawczej. Stawką jest tu bowiem humanistyka, która nie chce stracić z pola widzenia ani skomplikowanej terażniejszości, ani mającej w oddali przyszłości.

Wznosząca się barykada biurka, o której wspomina Wyka w „Kraju pełnym tematów”, szkicu pisanym z pozycji już sześćdziesięcioletniego mężczyzny (a więc badacza z trzydziestoletnim stażem), może sygnalizować narastające poczucie wyobcowania z coraz dynamicz-

niej zmieniającego się świata. Kto bowiem czyni to wyznanie? Historyk literatury, który zastępuje wyczulonego na bieżące zdarzenia krytyka? Ktoś mógłby pomyśleć, że chodzi tu o zamknięcie się w bezpiecznej przestrzeni tekstów, które chroniłyby przed bezpośrednią inwazją zdarzeń. Wszak wobec historyków literatury zarzut eskapizmu pojawia się często. Jednak uważna lektura tekstów zebranych przez Mackiewicza pokazuje dobitnie, że nie jest to przypadek Kazimierza Wyki.



Kazimierz Wyka

Teksty wchodzące w skład tomu uporządkowane są według charakteru i przedmiotu wypowiedzi. Mamy tu więc pisma teoretyczno- i historycznoliterackie, manifesty programowe, wypowiedzi metakrytyczne, eseistykę, a także krytykę prozy i poezji. Wszystkie one pokazują nierozłączność perspektywy krytycznej i historycznej. Historyk – czyli według Wyki badacz i strażnik tradycji

– okazuje się bowiem najskuteczniejszy, gdy pracuje metodą krytycznego gestu. Tylko poprzez selekcję, cięcia, zestawienia i reorganizację tego, co zastane, nie traci z pola widzenia przyszłości. Ta z kolei nabiera kształtów poprzez opracowywanie tego, co minione. Rola historyka nie sprowadza się przecież wyłącznie do odtwarzania – kluczowe w niej jest właśnie krytyczne rekonstruowanie. Analogicznie w przypadku krytyka, który nie będzie w stanie dokonać oceny, jeśli sięgnie do genezy bezpośrednio widocznych i dostępnych zjawisk.

Połączenie roli historyka i krytyka – eksperta posiadającego rozległą wiedzę i suwerennego w swych opiniach sędziego – przyczyniło się do zbudowania legendy Wyki, który stał się symbolem zanikającej w dzisiejszej humanistyce postawy. Jednak opowieść o „ostatnim, wielkim, niedoścignionym”, zwłaszcza przywoływana w bieżących sporach, paradoksalnie odcina nas od rzeczy najistotniejszych.

Z tekstów Wyki wyłania się bowiem bardzo nowoczesna wizja krytyki literackiej, współbrzmiąca z dzisiejszymi tendencjami ujmowania humanistyki w sposób szeroki, przekraczający ramy poszczególnych dyscyplin. W proponowanym wyborze pism historyka i krytyka literatury od „świata pełnego tematów” oddziela biurko, ale nie jest ono barykadą, lecz pomostem łączącym różne obszary naszej skomplikowanej rzeczywistości. ©

■ Kazimierz Wyka

WYBÓR PISM

Wybór, wstęp i opracowanie
Paweł Mackiewicz

BN I 333, Wydawnictwo Ossolineum,
Wrocław 2019

Dramaty w czasach upadku

ELIZA KĄCKA

**Norwid miał znakomite sceniczne pomysły
i był najciekawszym z naszych autorów piszących dla teatru.
Niestety, nieznanym.**

Ani jeden z wielkich dramaturgów polskich nie był teatromanem. Mickiewicz, Słowacki – jeśli coś oglądali, to opery i melodramy. Krasiński teatrem gardził, Fredro się nań obraził, Norwid nie chadzał, bo za co. Wyspiański uznawał tylko własne sztuki, Miciński żadnych, Witkacy ostatecznie własne, Gombrowicz i Mrozek nie chcieli widywać nawet własnych. Każdy z nich tworzył teatr wyobraźni.

Jednak w najgorszym położeniu był właśnie Norwid: za jego czasów teatr przeżywał półwiecze upadku, z którego w żywym repertuarze dzisiejszym ostało się tylko parę fars. Jakby to przeczuwając, szukał własnej formuły dramatu, pisząc najpierw misteria („Zwolon”, „Krakus”), potem, o dziwo, salonowe komedie („Aktor”, „Za kulisami – Tyrteja”, „Pierścień Wielkiej-Damy”), garść mniej poważnych jednoaktówek, wreszcie tragedię historyczną „Kleopatru i Cezar”.

Wszystkie te dzieła to dramaty poetyckie, i to pisane wierszem, który, jak dowiodło sto lat prób ich wystawień, niełatwo przechodzi przez rampę. Ale pisał je nie tylko poeta, lecz i artysta plastyk. Od strony wizualnej są więc one malarskie, zwłaszcza w sferze gestu, ogywania rekwizytów czy grupowania postaci. Norwid miał znakomite sceniczne pomysły: teatr w teatrze, ostre kontrasty społeczne, półkryminalna fabuła, podszyte patosu ironią. Do tego dochodzą intuicje teoretyczne znacznie wyprzedzające swój czas, pokrewne dramaturgii naturalistycznej. Słowem, w drugiej połowie życia był Norwid najciekawszym z naszych autorów piszących dla teatru. Niestety, nieznanym.

Kazimierz Braun, wybitny teatrolog i nie mniej wybitny reżyser, opracował dla BN cztery sztuki Norwida: „Aktora”, „Za kulisami – Tyrteja”, „Pierścień Wielkiej-Damy” oraz „Kleopatru i Cezara”.

Trzy pierwsze mają charakter obyczajowy i są to najwyższe osiągnięcia „białej” (czyli bezkrwawej) tragedii. Zaskakuje w tym kontekście „Kleopatru”, rzecz w stylu operowym. Oczekiwać by można raczej „Hrabiny Palmyry” czy „Nocy tysięcznej drugiej”, a więc tekstów prezentujących Norwidowski humor i zręczność w prowadzeniu intrygi.

Jednakże autor opracowania miał cele wręcz przeciwnie. Norwida – zgodnie z tym, co pisał przed laty w swoich książkach, stylizuje na własne podobieństwo, czyniąc zeń nieprzejednanego moralistę. W komediach ma on zmierzać do „ujawniania mistycznej głębi w zdarzeniach zwykłych i potocznych”, w niedokończonych „Kleopatrze” – ukazać daremność działań „pod niebem pustym, ołowianym, zamkniętym”. Albowiem „Norwida dramaturgów wyróżnia głębokie uduchowanie (...). Twórca zalecał dramaturgom, a więc i sobie, akcentowanie w sztukach strony »świętej, budującej i religijnej«, jak również dotykanie, choć po omacku, tajemnic ludzkiej duszy. (...) Schodząc w głąb ideowej wymowy jego

dramatów, można zawsze odnaleźć myśl religijną, echo wiary pisarza”.

Ten ostatni czynnik eksponuje Braun wręcz natrętnie: „Fundamentem całej jego twórczości była postawa katolika i wiernego syna Kościoła oraz dogłębna znajomość Pisma Świętego”; „Norwid żywo manifestował wierność wobec Kościoła katolickiego, w tym względem papieża”. Ten sam pogląd ilustrują we wstępie opinie innych badaczy nowej generacji, czytających z Norwida – wedle tego wyboru – postać nieledwie świątobliwą.

Braun nie pomija też okazji, by wspomnieć, że autor „Promethidiona” inspirował obecnie dewocyjną poezję Wojciecha Wencła. Bibliografia wstępu na sześćdziesiąt cztery pozycje aż dwanaście poświęca chrześcijańskiemu obliczu Norwida. Nikt katolicyzmu poety nie neguje, co więcej: jego wiara niewątpliwie organizowała jego wizję świata w większym stopniu niż wiele doktryn filozoficznych czy społecznych. Niemniej sprawa jest daleko bardziej złożona, a tu wyraźnie stawia się na jeden ton. Trudno oprzeć się paraleli z doszukiwaniem się w światopoglądzie Norwida materializmu historycznego i znajomości pism jego klasyków. A przydałoby się raczej poszerzyć rys historyczny – choćby o fakt, że fabuła „Aktora” (1861/1862), gdzie zrujnowany arystokrata wstępuje na scenę, wykazuje interesującą zbieżność z pastiszem „Le Roman comique” (1651-1657) Paula Scarrona, czyli popularną powieścią Théophile’a Gautiera „Kapitan Fracasse”, drukowaną od 1861 r. w odcinkach na łamach „La Revue nationale et étrangère”. Ciekawe, nieprawdaz?

©

■ Cyprian Norwid

CZTERY DRAMATY

Wybór, wstęp i opracowanie Kazimierz Braun, BN I 332, Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2019



FRANÇOIS JOSEPH DELINTRAZ / BIBLIOTEKA NARODOWA

Norwid

Stwarzanie Kafki

GRZEGORZ JANKOWICZ

**Każdy, kto sięga po książkę Kafki,
jest potencjalnym współdziałowcem pisarza,
jego lekturową pamięcią i interpretacyjną wyobraźnią.**

W krótkim szkicu „Kafka i jego prekursorzy” Jorge Luis Borges pisze, że autor „Zamku” stwarza swoich poprzedników. Zdanie to zawiera dwie sugestie. Zgodnie z pierwszą dzieło praskiego pisarza nie tylko zainspirowało następców, ale też powołało do istnienia własną tradycję złożoną z rozmaitych tekstów – również takich, których Kafka nie znał. Są one wobec jego twórczości prekursorskie nie dlatego, że na nią bezpośrednio oddziaływały, lecz dlatego, że ta konkretna twórczość, pod wszelkimi względami oryginalna i wyznaczająca punkt zwrotny w światowej literaturze, pozwoliła nam w specyficzny sposób odnieść się do utworów dawnych mistrzów, pozwoliła dostrzec w nich pewne cechy, które inaczej pozostałyby niewidoczne. Zgodnie z drugą sugestią proces ten odbywa się cały czas: Kafka wciąż stwarza swych prekursorów, ciągle poszerza grupę autorów, których możemy określić tym mianem.

Jest tak dlatego, że we wspomnianym procesie kluczową rolę odgrywają czytelnicy. Każdy, kto sięga po książkę Kafki, jest potencjalnym współdziałowcem pisarza, jego lekturową pamięcią i interpretacyjną wyobraźnią. Wszystko zależy bowiem od sposobu czytania – jaki sens przypisujemy jego dziełom, jakie ich aspekty wyłapujemy. Kafka stwarza swych prekursorów, gdyż jest nieustannie stwarzany przez swych czytelników.

Ci ostatni dzielą się na wiele różnych grup, z których dwie wydają mi się najważniejsze. Do pierwszej należą archiwiści, skrupulatnie gromadzący wiedzę na



Franz Kafka

temat Kafkowskiego pisarstwa, przeglądający manuskrypty i uzupełniający bibliograficzne zestawienia. Do drugiej zaś poszukiwacze nowych dróg, którzy za wszelką cenę, choćby wbrew logice, próbują ukazać Kafkę w nowym świetle. Łukasz Musiał, który zajmuje się twórczością praskiego pisarza od wielu lat (poświęcił mu rozprawę naukową „Kafka. W poszukiwaniu utraconej rzeczywistości” oraz wiele artykułów; przełożył też sporą grupę jego tekstów), znajduje się gdzieś pomiędzy nimi. Jest jednym z najlepszych archiwariuszy: dzieło praskiego pisarza i potężna biblioteka złożona z kafkologicznych komentarzy nie mają dla niego żadnych sekretów. Jednak pod maską skrupulatnego monografisty skrywa się poszukiwacz przygód, który pragnie wyprowadzić autora „Procesu” z niewoli

przeszłych interpretacji, proponując nowe odczytania i wskazując przy tym jego kolejnych – awangardowych – prekursorów.

W wyborze do głosu dochodzi pierwszy z nich. Otrzymujemy tu przeszło dwustustronicowy wstęp, którego solenność nie pozostawia żadnych wątpliwości. To wprowadzenie tak wyczerpujące, że mogą je czytać z pożytkiem zarówno amatorzy, jak i profesjonaliści. Dobór prezentowanych dzieł jest bezpieczny, ale nie do końca przewidywalny. Książka jest potężna, jednak liczba tekstów (32) nie przytłacza. Dzięki oszczędnej selekcji w ciekawy sposób wzajemnie się oświetlają.

Jeśli czytając wstęp czasem odczuwamy potrzebę porzucenia Kafkowskiego archiwum i spojrzenia na jego utwory w inny – nowatorski – sposób, to dlatego, że sam Musiał wyrывa się w tę stronę. Pozwolił sobie na to w książce, która stanowi uzupełnienie ossolińskiego wyboru. Chodzi o „Prozy utajone” wydane w PIW-ie. Za pomocą obu publikacji tłumacz i komentator zaprasza nas do udziału w inspirującej grze, w której musimy poruszać się między powierzchnią a głębią, konwencją a eksperymentem. Wszystko po to, by stworzyć Kafkę jeszcze raz, a następnie spojrzeć nie tylko na literaturę, ale również na rzeczywistość przez pryzmat jego niewyczerpywalnego dzieła. ©

■ *Franz Kafka***WYBÓR PROZY***Tłumacze różni**Wybór, wstęp i opracowanie Łukasz Musiał
BN II 263, Wydawnictwo Ossolineum,
Wrocław 2018*



Seryjni i bezkompromisowi

STANISŁAW BEREŚ

**Mimo upływu czasu, przemijania pokoleń i ich gustów,
mimo głębokich zmian cywilizacyjnego obrazu świata
BN-ki trwają i są czytane przez kolejne generacje.**

Seria Biblioteka Narodowa jest najstarszą tego typu serią wydawniczą w Polsce, i jedną z najstarszych na świecie. Mało kto uświadamia sobie, że słynna francuska Bibliothèque de la Pléiade powstała w 1931 r., a zatem dwanaście lat później. Początkowo seria publikowana była przez Krakowską Spółkę Wydawniczą, a później – od 1933 r. aż do dzisiaj – przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Prace nad BN nigdy nie zostały przerwane, nawet w czasie II wojny światowej, gdy Niemcy w skalkulowany sposób mordowali polską inteligencję.

Kolejni redaktorzy serii (jak dotąd było ich dziesięcioro) przez sto lat przekazywali sobie z rąk do rąk to dziedzictwo i dbali, by zachowało ono swoje znaczenie oraz literacki i naukowy poziom. Do końca roku jubileuszowego ukaże się w BN trzysta trzydzieści pięć tytułów serii pierwszej (literatura polska), dwieście sześćdziesiąt cztery tytuły serii drugiej (literatura obca) i dziewięć tytułów serii trzeciej (dla młodzieży), czyli razem sześćset osiem tomów.

Te słowa, pisane dziś, trącąc patosem i „rocznicowym” tonem, trudno jednak uniknąć podniosłości, kiedy mówi się o stuletniej serii wydawniczej, która jest ozdobą polskich bibliotek (naukowych i publicznych) oraz inteligentkich domów. Należy wszakże pamiętać, że w momencie gdy ona powstawała, nic jeszcze nie było przesądzone, można nawet powiedzieć, że wszystko było przeciwko niej. Polska budziła się z letargu, co ostatecznie udało jej się właściwie cudem, bo gdyby historyczne wypadki ułożyły się odrobinę inaczej, równie dobrze mogła być rozpuścić się w trze-

wiach otaczających ją mocarstw, które – choć wykrwawione wojną – wcale nie myślały wypuścić łupu z rąk. Warto więc uświadomić sobie, jakie były zewnętrzne okoliczności tego szczęśliwego poczęcia, które – za Gałczyńskim – można śmiało nazwać „snem wariata śnionym nieprzytomnie”.

„Biblioteka Narodowa” wypracowała sobie wyjątkowo wysoką pozycję i autorytet, utrzymując go, a nawet podnosząc w czasach PRL, który rozwojowi duchowej, a zatem i literackiej niezależności generalnie – jak wiemy – nie sprzyjał. Nie ulega wątpliwości, że BN to najbardziej elitarna polska, a być może również światowa, seria wydawnicza. Możemy ją bez wstydu porównywać z najbardziej cenionymi seriami klasyki w Europie. Wynika to z wyjątkowo wyśrubowanych kryteriów opracowywania tekstów, z poziomu analiz we wstępach (standard naukowej monografii) oraz w komentarzach, pisanych przez najwybitniejszych polskich literaturoznawców, a wreszcie z kryteriów wyboru ich autorów, wchodzących w ten sposób do kolekcji nieśmiertelnych.

Jedną z najbardziej bezkompromisowych zasad, jakie respektuje ta seria, jest drukowanie wyłącznie dzieł autorów zmarłych, uznawanych powszechnie za arcydzieła lub dokumenty literackie o szczególnym znaczeniu historycznym, których pozycja w literaturze została zweryfikowana przez kolejne pokolenie badaczy. Stąd złośliwcy skrót BN rozwijają jako „Biblioteka Nieboszczyków”. To zasada, od której odstąpiono w historii BN tylko raz, a i to zapewne przez pomyłkę. To ważna i mądra reguła, bo sądy współczesnych bywają omylne,

a parcie na panteon silne. Jak pamiętamy, sążniste powieści Kraszewskiego w latach międzywojennych stawiane były przez badaczy na równi z dziełami Słowackiego i Mickiewicza. Po II wojnie światowej zdecydowanie straciły na znaczeniu. Przykłady można mnożyć.

„Korektorka-Wieczna” bez skrupułów weryfikuje dzieła, którym zbyt pospiesznie nadano status arcydzieł. Dlatego redaktorzy tej serii od początku przyjęli wspomnianą zasadę, by publikować utwory wyłącznie pisarzy nieżyjących, bo wyklucza to naciski środowisk politycznych oraz osób bliskich pisarzom. Ogranicza to liczbę przykrych rozmów z twórcami, którym pilno na parnas. Ale życie jest życiem, więc prawie każdemu kolejnemu redaktorowi serii BN zdarzały się takie rozmowy:

– A czy ja, pana zdaniem, jestem wybitnym pisarzem?

– (*wahanie*) Nooo, tak, jest pan wybitnym pisarzem.

– To dlaczego żadna moja książka nie ukazała się jeszcze w „Bibliotece Narodowej”?

Tu uszami wyobraźni słyszę oddech ulgi redaktora:

– Bo jeszcze Pan żyje!

Warto tutaj dodać, że seria BN to nie tylko kolekcja wybitnych autorów, bo zdarzali się w historii literatury również tacy, którzy – jak np. Malczewski czy Baudelaire – byli przypadkami *auctores unius libri*. „Biblioteka Narodowa” to naturalnie kolekcja wielkich dzieł – zwanych zwykle arcydziełami. Nad tym, czym się one charakteryzują i po czym je poznać, uczeni debatują od niepamiętnych czasów. Jedno wszakże jest pewne: ich długowieczność. Mimo upływu czasu, przemijania pokoleń i ich gustów, mimo głębokich zmian cywilizacyjnego obrazu świata trwają i są czytane przez kolejne generacje, fascynują i formują ich wrażliwość, a wreszcie kształtują umysłowość jej najwybitniejszych oraz zupełnie przeciwnych reprezentantów. Tę właśnie misję wypełnia „Biblioteka Narodowa”: gromadzi takie dzieła i je objaśnia, a sama – od stulecia – jest ich skarbnicą. ©

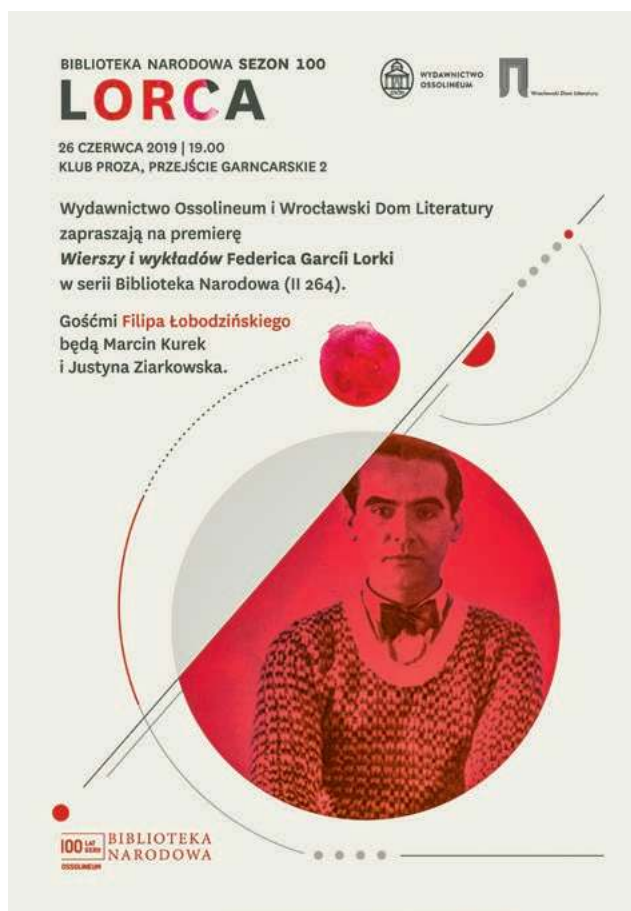
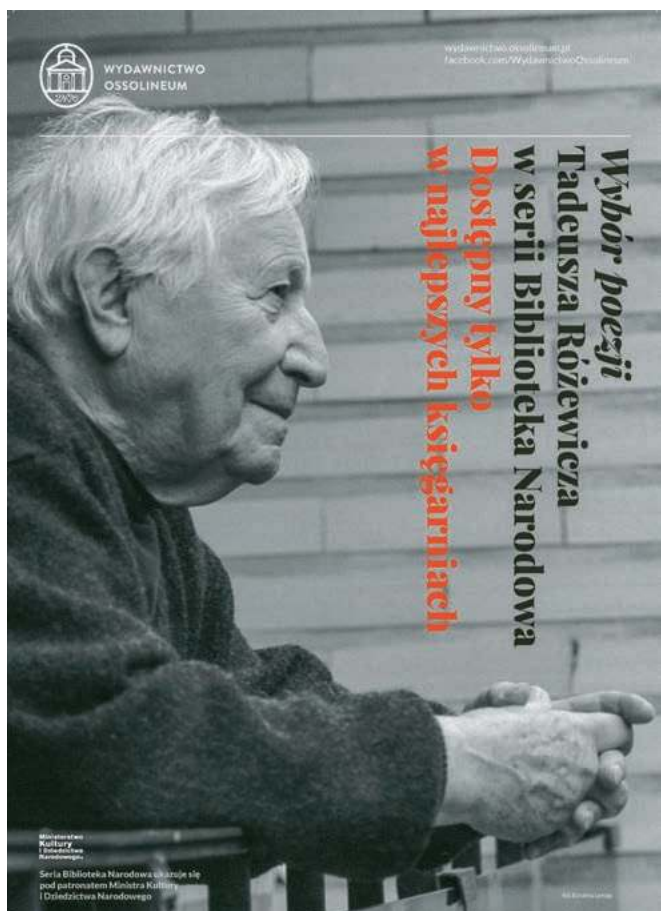
■ *Fragmenty tekstu*

„Historia serii Biblioteka Narodowa”
zamieszczonego w tomie

BIBLIOTEKA NARODOWA 1919-2019.

KSIĘGA JUBILEUSZOWA SERII

pod redakcją Stanisława Beresia



Na stulecie serii Biblioteka Narodowa

PROF. ALEKSANDER FIUT

Upadły państwa i imperia, przemieniały się ustroje, przeobrażały granice, gwałtowne paroksyzmy stawały się udziałem rozmaitych ideologii. Tymczasem ten skromny graficznie zbiór książek, owoc wspólnej pasji i pracy wydawców oraz znakomitych znawców literatury, już od stulecia tworzy jedynie pozornie kruchy, a w istocie nienaruszalny i stale rosnący mur – przeciwko ignorancji, zagrożeniu kultury, zniewoleniu umysłów i znieprawieniu sumień.

PROF. JERZY JARZĘBSKI

„Biblioteka Narodowa” jest w tej samej mierze wiecznotrwała, co zmienna i podległa historycznej ewolucji. Z jednej strony, ma w zasadzie odbijać w sobie „kanoniczny” zestaw dzieł wyborowych, o którym Hiero-

nim Kubiak sądził, że stanowi niezmienny prawie i dziedziczony po przodkach z pokolenia na pokolenie zbiór arcydzieł – obowiązkowych lektur wykształconego Polaka. Z drugiej strony – właśnie przez swoją wiecznotrwałość – ten zbiór podlegać musi wciąż nowym interpretacjom.

WOJCIECH ORLIŃSKI

Nasza kultura jest naszą tajną superbibliotką. Już kilkakrotnie ocalała nas, kiedy niczego innego nie mieliśmy. (...) W przyszłości być może papierowe książki wypadną z obiegu, bo ludzkość wynajdzie – by przywołać Pawlikowską-Jasno-rzewską – „kikimobil, biofon, wiroykl i astrodaktyl”. Ale rola bibliotekarza, kuratora, redaktora, wydawcy pozostanie taka sama jak dziś czy dwieście lat temu,

gdy Józef Maksymilian Ossoliński tworzył załóżkę tej szacownej instytucji. Pozdrawiam czytelników z 2119, 2219 i kolejnych lat jubileuszowych. Mam nadzieję, że wy również świętujecie tę rocznicę w wolnej i demokratycznej Polsce.

PROF. MARIA PRUSSAK

Do dziś wiem, że jeśli potrzebna mi jest podstawowa wiedza o jakimkolwiek utworze, od omówienia kolejnych wydań autorskich po recepcję, warto zacząć od lektury kolejnych tomów opracowywanych w obu seriach BN. W świecie komercyjnych wydawnictw i cyfrowych wolnych lektur wołanie o wiarygodność tekstu powinno zabrzmieć jeszcze głośniejsze, a odpowiedzialność redakcji „Biblioteki Narodowej” jest tu nie do przecenienia.

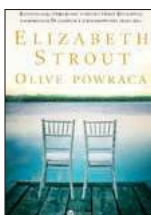
Książki w pigułce

Olive odchodzi

Powróciła – i to w wielkim stylu. Olive Kitteridge, kobieta w starszym wieku, pozornie nijaka, na pierwszy rzut oka raczej niesympatyczna, ale jednocześnie intrygująca i niedająca spokoju. Emma Bovary, u której namietności i destrukcyjne ambicje z czasem ustąpiły miejsca życiowemu pragmatyzmowi, podszytemu orzeźwiającym dystansem i zgryźliwością. Ale nowa powieść Strout to także powrót do dobrze znanego uniwersum

prowinclonalnej Nowej Anglii – w tle pojawiają się nawet postaci z jej poprzednich powieści. Kolejne rozdziały, które można czytać jako autonomiczne mikropowieści, rozbudowują gęstą sieć relacji: pojawiają się wstydlive tajemnice, rozdrapywane są stare rany, ale zawiązują się też nowe przyjaźnie. Niby nic się nie zmienia, ale jednak wszystko przemija. A w centrum tego cyklonu czasu stoi ona – starzejąca się Olive, która mówi coraz mniej, za to widzi już prawie wszystko.

©© MICHAŁ SOWIŃSKI



■ Elizabeth Strout
OLIVE POWRACA
przeł. Ewa Horodyska
Wielka Litera
Warszawa 2019

Wyobraźnia vs kapitalizm

Pięć krótkich opowiadań, które składają się na debiutancki tom „Drobie”, to opowieści z ponurego, podszytego mrocznym absurdem świata współczesnego prekariatu. Gdyby Beckett pracował na głodowych umowach śmieciowych, być może jego bohaterowie również wynajmowaliby kawałek podłogi w dziewięciopokojowym pokoju albo pracowali jako weryfikatorzy kodów PIN w bankomacie. Suszczyń-

ska w swojej prozie nieustannie testuje granice wyobraźni i języka, wprowadzając ryzykowne metafory i konstrukcje, które w ostateczności okazują się zaskakująco lekkie i wdzięczne. I co najważniejsze – niejednoznaczne. „Drobie” to książka bardzo współczesna, której diagnozy rzeczywistości raz za razem celnie punktują doświadczenia pokolenia umów śmieciowych, nie popadając przy tym ani na moment w męczące tony dydaktyczne. Z pewnością jeden z ciekawszych debiutów tego roku.

©© MICHAŁ SOWIŃSKI



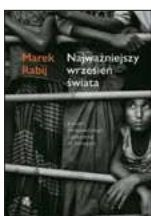
■ Natalia Suszczyńska
DROPIE
Korporacja Ha!art
Kraków 2019

Najokrutniejszy z miesięcy

Skargi Rohingów, dziś najbardziej prześladowanej mniejszości świata, docierają do nas rzadko. Marek Rabij w poruszającym reportażu oddaje głos ocalałym z ludobójstwa w Birnie (zwanej Mjanmą). Z empatią, ale także dociekliwością wytrawnego reportera usiłuje odtworzyć możliwie wiarygodnie obraz wydarzeń z września 2017 r., gdy birmańskie wojsko rozpoczęło czystkę etniczną. Co ważne, autor nie poprzestaje na

rekonstrukcji wydarzeń, ale pyta o teraźniejszość i przyszłość ponad 700 tys. uchodźców koczujących w przeludnionych obozach w Bangladeszu. Analizuje także przyczyny tragedii – zarówno uniwersalne mechanizmy prowadzące do ludobójstwa, jak i partykularne interesy rządów, państw czy światowych mocarstw. Walcząc o władzę i dominację ekonomiczną, los setek tysięcy zabitych, gwałconych i wysiedlanych łatwo rozpisać wyłącznie w tabeli zysków i strat.

© ALEKSANDRA WOJTASZEK



■ Marek Rabij
NAJWAŻNIEJSZY WRZESIEŃ ŚWIATA. KRONIKA NIEZAUWAŻONEGO LUDOBÓJSTWA NA ROHINGACH
Wydawnictwo W.A.B.
Warszawa 2019

Saga inaczej

W osadzonej w dwudziestowiecznym międzywojennym powieści na plan pierwszy wysuwa się uboga i wielodzietna żydowska rodzina z prowincjonalnego Tarnowa. Łoziński pokazuje różnicowanie i rozbudowanie żydowskiej części społeczeństwa, przedstawia dyalematy typowe dla epoki: od marzeń o emigracji, przez fascynację Marksem i partią, po poświęcenie dla religii. Życie Stramerów gwałtownie zmienia wojna, emigracja, udział

w konspiracji, akcje dywersyjne. Odwrócenie perspektywy, przedstawienie żydowskiego środowiska jako własnego, a polskiego jako obcego, groźnego, często niezrozumiałego, znosi tradycyjnie ustalone schematy opowiadania, inne wątki wypycha na plan pierwszy. Łoziński podąża szlakiem wytyczonym przez Grynberga i niedawno podjętym przez Zarembę-Bielawskiego, ale w jego powieści pojawia się bardzo silny głos kobiecy, którego wcześniej mocno brakowało.

© PAULINA MAŁOCHLEB



■ Mikołaj Łoziński
STRAMER
Wydawnictwo Literackie
Kraków 2019

Fale grawitacyjne

STANISŁAW BAJTLIK



Bezpośrednia rejestracja fal grawitacyjnych nie tylko kończy stuletni spór o ich istnienie. Otwiera też ostatnie, dotychczas zamknięte okno na Wszechświat.

Astronomia i astrofizyka przeżywają złoty wiek. Przez stulecia te najstarsze z nauk były ograniczone do obserwacji gołym okiem. Mimo to osiągnęły wiele: zdolność przewidywania zaćmień Słońca i wielu innych zjawisk. Użycie w 1609 r. przez Galileusza lunety do obserwacji kosmosu stanowiło przełom. Odtąd każde nowe osiągnięcie technologiczne przynosiło nowe odkrycia. Galileusz zobaczył kratery na Księżycu, nierówny brzeg jego tarczy, plamy na Słońcu, księżycy Jowisza i setki nowych gwiazd. Powiększanie teleskopów wielokrotnie te osiągnięcia.

Ale rozwój XX-wiecznej fizyki i techniki umożliwiły obserwacje kosmosu w zakresach widma elektromagnetycznego, którego nie rejestruje oko. Rozwój techniki radarowej w czasach II wojny światowej przyspieszył obserwacje Wszechświata w zakresie radiowym, a to doprowadziło do odkrycia radiogalaktyk i pulsarów. Ograniczenia obserwacyjne, wynikające z nieprzezroczystości atmosfery dla wielu form promieniowania, zostały pokonane dzięki wynoszeniu detektorów w kosmos.

I tak w końcu lat 60. odkryto źródła promieniowania rentgenowskiego, wśród nich zawierające czarne dziury. Wyniesienie w przestrzeń detektorów promieniowania podczerwonego pozwoliło na badanie m.in. obłoków gazu międzygwiazdowego, w których powstają nowe gwiazdy, oraz badanie centrum naszej Drogi Mlecznej i wykrycie w niej supermasywnej czarnej dziury, o masie ok. 3 mln mas Słońca. Badania satelitarne w zakresie ultrafioletowym pozwoliły na badanie gorących gwiazd. Wreszcie badania przy użyciu sond kosmicznych promieniowania o najwyższej energii, promieniowania gamma, pozwoliły na wykrycie zjawisk wyzwalających potężne błyski

promieniowania. W podobny sposób astronomowie i fizycy zaczęli obserwować Wszechświat rejestrując cząstki promieniowania kosmicznego i kosmiczne neutrino.

Za każdym razem, kiedy technologia pozwalała na zwiększenie dokładności obserwacji, astronomowie odkrywali nowe zjawiska i obiekty. Teoretycy zyskiwali potwierdzenie swoich teorii. Tak było od Galileusza, przez Newtona, Halleya itd. Przez cały XX wiek astronomowie pootwierali okna – okna na obserwowanie Wszechświata we wszystkich zakresach widma (długości fal) promieniowania mikrofalowego. Mało tego, udoskonalili w niebywałym stopniu precyzję obserwacji docierających z kosmosu cząstek – promieniowania mikrofalowego i neutrin.

Brakowało tylko jednego. Jednego rodzaju sygnału, pochodzącego z kosmicznych zjawisk, jak się wydawało mało prawdopodobnych i mało znaczących, a w każdym razie trudnych do wykrycia. Ogólna Teoria Względności opisuje grawitację jako efekt odkształcenia czasoprzestrzeni wokół ciała o danej masie. Jeśli ta masa zmienia swoje położenie, to odkształcenie („zakrzywienie”) czasoprzestrzeni powinno się zmieniać.

W jaki sposób? Czy okresowe zmiany, np. w wyniku obiegu jednego ciała przez drugie, powinny wywoływać okresowe zmiany krzywizny czasoprzestrzeni, i co z tymi zmianami powinno się dziać? Czy powinny powstawać? Czy zanikać? Czy rozchodzić się do nieskończoności? Czy powinny unosić energię?

Są to pytania, na które od powstania Ogólnej Teorii Względności na początku XX w. próbowali odpowiedzieć najwięksi fizycy. Ważną rolę w wykazaniu, że z Ogólnej Teorii Względności wynika istnienie fal grawitacyjnych, odegrał profesor Uniwersytetu Warszawskiego Andrzej Trautman.

Fale grawitacyjne, których istnienie potwierdziły pośrednio w latach 70. ubiegłego wieku obserwacje układu podwójnego pulsara, odkrytego przez Russella Hulse'a i Josepha Taylora (za co otrzymali Nagrodę Nobla w 1993 r.), zostały bezpośrednio zarejestrowane w sierpniu 2017 r., co ogłoszono na przełomie lat 2017/2018. W tej rejestracji miała udział grupa polskich astrofizyków z grupy Polgraw.

Bezpośrednia rejestracja fal grawitacyjnych nie tylko kończy stuletni spór o ich istnienie. Otwiera też ostatnie okno na Wszechświat. Umożliwi niemal bezpośrednią obserwację takich zjawisk jak zlewianie się czarnych dziur, gwiazd neutronowych, gwiazd neutronowych i czarnych dziur, gwałtownych zjawisk na powierzchni gwiazd neutronowych, wybuchów supernowych itp.

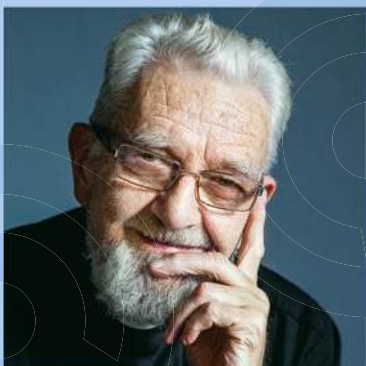
Znakomita książka „Fale grawitacyjne. Nowa era astrofizyki” zawiera przystępny wykład historii poszukiwania teoretycznych dowodów na istnienie tych fal, dowodów wynikających z teorii względności, jak i eksperymentalnych poszukiwań. Nathalie Deruelle z francuskiego Narodowego Centrum Badań Naukowych i Jean-Pierre Lasota z Obserwatorium Paryskiego, a obecnie Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika w Warszawie, to światowi eksperci w dziedzinie fal grawitacyjnych. Ich wspólne dzieło znakomicie wprowadza w tę nową dziedzinę astronomii. ©



• Nathalie Deruelle,
Jean-Pierre Lasota,
**FALE GRAWITACYJNE.
NOWA ERA
ASTROFIZYKI,**
przeł. Krystyna
Szeżyńska-Mačkowiak,
Prószczyński i S-ka,
Warszawa 2019

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

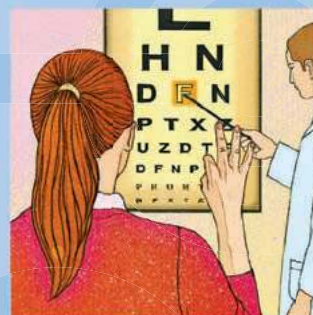
Podkast Powszechny



Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego”

Od jajka do kosmosu.
Od Hańby! do „Gry o tron”.
Od sztucznej inteligencji do Boga.
Od psychologii do polityki.
I dużo dalej.

A także o kryzysie klimatycznym,
życiu osób głuchych, religii, prawach
zwierząt, leczeniu niepłodności,
mniejszościach, literaturze i futbolu
kobiet. A nawet mężczyzn.



weź, słuchaj!

Zapraszają: Michał Kuźmiński,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Marcin Żyła.

powszech.net/podkast



Ludzie, wilki i kot



JOANNA OLECH

**WIEK: 10+**

• Ari Folman & David Polonsky,
DZIENNIK ANNE FRANK
Stapis, Katowice 2019

Re-we-la-cyj-na komiksowa adaptacja dziennika Anny Frank, który, sam w sobie arcyciekawcy, może onieśmielać młodszych czytelników. Tymczasem Folman i Polonsky, znani jako autorzy niezapomnianego „Walca z Baszirem”, dokonali mądrego wyboru wątków z dziennika i ubrali go w kształt obrazkowej, niesłychanie sugestywnej i poruszającej opowieści. Uczynili go lekturą dla czytelników 10+, atrakcyjną i dla dorosłych. Ilustracje Polonsky’ego są mistrzowskim benefisem rysownika.

Trzynastoletnia Anne Frank – inteligentna, śliczna i obdarzona wdziękiem, który zjednywał jej przyjaciół i zalotników w szkole – rozpoczyna pisanie pamiętnika w czerwcu 1942 r. w okupowanym przez Niemców Amsterdamie. Wkrótce żydowska rodzina Franków, osaczona przez nazistów, musi w pośpiechu schronić się w przygotowanej przez zapobiegliwego ojca kryjówce. Anne, jej rodzice i starsza siostra oraz cztery inne osoby (w tym nastoletni Peter) przez dwa lata mieszkać będą pod jednym dachem – w ukrytej oficynie na tyłach biur i magazynów fabryki, nigdy nie należące do Franków.

Anne jest dowcipną, pełną wigoru obserwatorką – w dzienniku celnie portretuje towarzyszy niedoli, opisuje atmosferę wzajemnych zranień i nieporozumień z matką, z czasem także historię rodzącej się miłości do Petera. Żywy, obrazowy język stwarza wrażenie, że obcujemy ze współczesną nastolatką, której talent pisarski i przenikliwa inteligencja wróży znakomitą

przyszłość. Stłoczenie na małej powierzchni ośmiorga uciekinierów, głód i opresja pobytu w kryjówce – wszystko to sprawia, że na młodzieńczy dziennik pada cień bezlitosnej przemocy.

Znany finał tej historii, przez co lektura nabiera charakteru osobliwego, przejmującego testamentu. Nastoletnia Anne Frank obleka w ciało, nerwy, temperament i uczucia wszystkie bezimienne ofiary wojny, zamknięte w jednej, niewyobrażalnej liczbie o wielu zerach. Przez swój intymny charakter i za sprawą niezwykle osobowości autorki dziennik Anny Frank więcej mówi o okrucieństwie wojny niż szkolna czytanka. Praca Folmana i Polonsky’ego jest nieocenioną „lekcją”, pomocą dydaktyczną – łączy wartość dokumentu i magię literatury.

**WIEK: 14+**

• Wojciech Drewniak,
HISTORIA BEZ CENZURY
Znak, Kraków 2016-19

Nie twierdzę, że nie zostałam ostrzeżona – na okładce widnieje jak wół napis: „Książka zawiera treści nieodpowiednie dla dzieci oraz kontrowersyjne skróty myślowe. Jeśli jest to dla ciebie poważny problem, zrezygnuj z czytania... chociaż pewnie będziesz żałować”.

Zignorowałam ostrzeżenie i nie żałuję, bo książka jest świetną lekcją historii, wartką i emocjonującą jak kryminał. Napisano ją językiem „gimbazy” i to jest tyleż zaleta, co... wada, bo autor chwilami jedzie po bandzie i sięga po wulgaryzmy z kategorii najcięższych (tak, właśnie te, które przyszły ci do głowy). To głupie i niepotrzebne, zważywszy, że rezygnacja z paru genialnych rzeczowników poszerzyłaby

fanklub autora o takie jak ja pocziwe ciotki. A skoro autor obstaje przy słowach ze spluwaczki – ma we mnie fankę silnie nabzdyczoną.

Przy wszystkich zastrzeżeniach pominięcie tej książki wyniosłym milczeniem byłoby błędem, bo Wojciech Drewniak ma imponującą wiedzę i umie pisać z pasją. Jego opowieści o Piastach, Wikingach i krucjatach czyta się jak scenariusz sensacyjnego serialu kostiumowego (pominąwszy rozdział o inkwizycji i torturach, od którego posiłek podjeżdża do gardła). Wyobrażam sobie, że taki nauczyciel historii – równiacha i kumpel – niejednego opornego ucznia nawróciłby na ścieżkę naukowej dociekliwości. Dworskie intrygi, polityczne strategie, słynne fortele na polu walki... wszystko to sprawia, że czytamy nie ziewnąwszy ani razu, a Karol Wielki, Henryk VI, krzyżowcy, templariusze i inne przyjemniaczki po chwili zdają nam się dobrymi znajomymi z telewizyjnych newsów.

Ukazały się już cztery tomy tej serii.

**WIEK: 14+**

• Brigitte Vaillancourt,
PRZYPŁYWY
przeł. Monika Szewc-Osiecka,
Polarny Lis, Warszawa 2019

Bardzo potrzebna na naszym bezrybiu kanadyjska książka traktująca o adopcji. Napisana bez sentymentu, ale ze znajomością natury wrażliwej nastolatki – domniemanej jedynaczki, która doznaje wstrząsu na wieść o tym, że ma starszą siostrę. Nowina nadchodzi pod postacią oschłego, formalnego pisma od pracownika socjalnego i jak grom spada na rodzinę. Oto oddane przed laty do adopcji dziecko piętnastoletnich podówczas rodziców jest dziś dorosłą kobietą →

→ o imieniu Joy, która mieszka na drugim końcu globu, w Europie.

Życie nastoletniej Capucine, na pozór harmonijne, nagle załamuje się – matka dziewczyny ucieka pod byle pretekstem, aby uniknąć konfrontacji z córką. Oboje z mężem przez lata trwali w zмовie milczenia. Ale oto trzeba jakoś zmierzyć się z nową sytuacją, co okazuje się przerażające dla dorosłych. Maturzystka Capucine jedyne oparcie znajduje w babci, która co prawda znała prawdę, ale została zobowiązana przed laty do milczenia przez młodocianych rodziców.

Dziewczyna nawiązuje kontakt z siostrą, podczas gdy jej ojciec i matka starają się zamieść problem pod dywan. Tchórzostwo opiekunów sprawia, że Capucine sama bierze sprawy w swoje ręce – przyjmuje zaproszenie nieznannej siostry i z Kanady, gdzie mieszka, leci na wyspę Jersey pośrodku La Manche, aby spędzić ostatnie przed studiami lato z Joy. Wychowane na różnych kontynentach, dorastające w diametralnie różnych domach, siostry okazują się być związane silną genetyczną nicią podobieństw, siostrzanej wrażliwości, wspólnoty upodobań. Każda z nich doświadczyła rodzinnych traum, choć różnej natury. Lato, dzika przyroda, wolność wyboru – wszystko to stwarza klimat dla rodzącego się porozumienia.

Książka napisana prosto i sugestywnie. Autorka wyrzekła się pokusy moralizowania, racje obu stron – rodziców i córek – wyłożone są bezstronnie, pod osąd czytelnika. Piękne opisy morza, kapryśnego żywiołu, stanowią tło dla psychologicznej gry oswojenia, wybaczenia i pojednania.



WIEK: 12+

• Katherine Rundell,
WILCZERKA

przeł. Paulina Braiter,
ilustracje Gelrev Ongbico,
Poradnia K, Warszawa 2019

„Tę magiczną powieść czyta się jak przyszlą klasykę” – recenzja w „Daily Telegraph” trafia w sedno. Katherine Rundell jest pisarką pięciogwiazdkową. Operuje własnym, oryginalnym językiem, bogatym w paradoksy i obrazowe metafory. Po znakomitych „Dacholazach” i równie dobrych „Odkrywca” ofiarowuje nam trzecią przygodową fabułę, tym razem osadzoną w realiach przedrewolucyjnej carskiej Rosji.

Dwunastoletnia Fieo (Fieodora) dorasta na prowincji, w leśnym ustroju, u boku matki Mariny, która jest Wilczyką – „zaklinaczką wilków”. W nieodległym Sankt Petersburgu rosyjscy bogacze dla zabawy trzymają w domu odjęte od piersi matek wilczątkę. Wychowywane jak salonowe pudle, dzikie zwierzęta z czasem dorastają i nieuchronnie ujawniają swoją wilczą naturę – atakują i wyrządzają szkody. A wtedy właściciele pozbywają się ich. Stary przesąd mówi, że zabicie wilka ściągnie na sprawcę nieszczęście, toteż wilki powierzane są Wilczyce, która przywraca dzikie zwierzęta

naturze i odsyła je do puszczy. Taką właśnie rolę spełnia Marina i do takiej roli przyuczana jest dziewczynka. Wataha wilków poluje w carskich lasach, w samotnym domu na uboczu pojawia się sadystyczny generał Rakow w otoczeniu żołnierzy. Rakow nakazuje Wilczyce zaprzestać „odswajania” wilków i zamierza wystrzelać stado. Kiedy Marina stawia opór – generał aresztuje ją i podpal dom.

W szamotaninie z generałem Fieo zrani agresora, zdola zbiec i poprzysięgnie uwolnić matkę z carskiego więzienia. Dwunastolatka zyskuje sprzymierzeńca w niewiele starszym od siebie chłopcu i razem ruszają na północ – do miasta. Trwa rosyjska zima. Towarzyszą im w tej drodze dzikie, nieokiełznane wilki. Ale ponieważ jest to powieść dla młodych – *happy end* gwarantowany.

Katherine Rundell ma rzadką umiejętność uwiarygodniania nieprawdopodobieństw. Jej Rosja jest krainą ulepioną z bajek i stereotypów, ale talent autorki tchnął życie w martwe klisze i ożywił kukielki bohaterów. Niemożliwe wydaje się możliwe, a marzenia spełniają się bez użycia magii, siłą charakteru dziecięcych bohaterów. Przyjaźń, lojalność, solidarność – to niezmiennie ingredience prozy Katherine Rundell. Liczne nagrody na rynku anglosaskim oddają sprawiedliwość pisarce. Książka wsparta jest także entuzjastyczną rekomendacją Jacqueline Wilson i Philipa Pullmana – dwojga autorów, którzy od lat okupują pierwsze miejsca rankingu najbardziej poczytnych pisarzy brytyjskich dla młodych czytelników.

© JOANNA OLECH

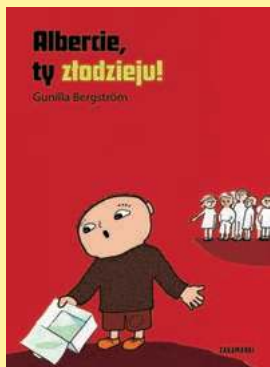
REKLAMA



ZAKAMARKI zapraszają na **Targi Książki w Krakowie**
na stoisko **A 28** po nowości oraz ponad 200 innych tytułów!

rabat 30%

zakamarki.pl



Nie bez odwagi

JAKUB PUCHALSKI

Są książki, które każą się zastanowić, czy ich autor wybrał właściwą dla siebie drogę kariery. Rzadko jednak pytanie to rodzi się z powodu nadzwyczajnej błyskotliwości tekstów. Lecz ten przypadek jest wyjątkowy – tak jak i wyjątkowy był jego bohater: Hector Berlioz.

Nie, nie sposób posunąć się aż tak daleko. Jako kompozytor Berlioz stworzył romantyzm w muzyce orkiestrowej i zostawił po sobie kilka nieśmiertelnych, kluczowych dla epoki arcydzieł (nawet jeżeli wciąż – gdy znamy je na pamięć – zdarza im się zadziwić ryzykownie nachalnym obrazowaniem); swe osiągnięcia przekuł też w metodę, pisząc podręcznik nowoczesnej in-

strumentacji. Trudno wyobrazić sobie bez niego późniejsze zwroty muzyki w kierunku treści programowych oraz supremacji barwy. Był postacią konieczną dla swoich czasów, jak kapelmistrz Kreisler zrodzony w wyobraźni E.T.A. Hoffmanna, z tym że nie po niemiecku melancholijną, a pełną romańskiej energii i czysto francuskiego esprit. I z tych zasobów pełnymi garściami czerpią jego pisma, wśród których naczelnym miejscem zajmują pamiętniki i listy. Zbiory wspomnień, które wreszcie (!) uzyskały pełne polskie wydanie.

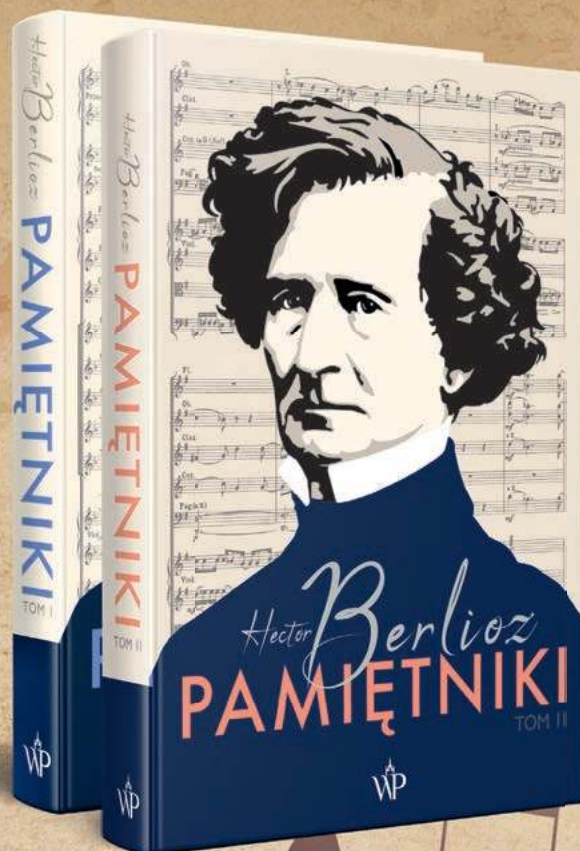
Czy wytania się z nich kompletny, poukładany obraz epoki? Bynajmniej: jest tylko żarliwy, co i jednostronny, ale reprezentuje zawsze tę samą opcję – walki o emo-

cje w sztuce i ich autentyzm. Jednostronność jest więc tu siłą, zwłaszcza że ubrana jest w ironię, a żwawy tok opowieści skacze z tematu na temat, bo życie kompozytora muzyki orkiestrowej dostarczało tematów bez liku. Berlioz przedstawia je jak komiczne przeszkody na drodze do celu. Czy cel ten wreszcie osiągnął? Odpowiedzią są m.in. nagrania, które towarzyszą na CD każdemu tomowi wspomnień: symfonia Fantastyczna, jego wczesne, ale emblematyczne dzieło, oraz symfonia z solową altówką „Harold w Italii” (inspirowana „Wędrownkami Childe Harolda”). Obie ze sławnej serii płyt dyrygowanych przez sir Colina Davisa. Utwory do dziś zachwycające, mimo że – by posłużyć się słowami au-

tora – „Po pierwszym wystęchaniu owej symfonii pewien paryski dziennik muzyczny zamieścił artykuł zasypujący mnie inwektywami, a zaczynający się w następujący, nader dowcipny sposób: »Ha! Ha! Ha! – Haro! Haro! Harold!«. Co więcej, nazajutrz otrzymałem anonimowy list ze stekiem najohydniejszych obelg, zarzucający mi brak odwagi, by palnąć sobie w łeb”.

Mieszczańska epoka artystycznych skrajności znalazła w Berlioze jednego z najbarwniejszych portrecistów. ©

Książka została wydana nakładem Wydawnictwa Poznańskiego we współpracy z Instytutem Francuskim i Filharmonią Poznańską im. T. Szeligowskiego. Premiera odbędzie się 30 października 2019 r.



*Historie pisane
muzyką!*

Partner wydania



Patroni medialni



Presto



Puenta i twist

Opowiadanie powraca, ale właściwie zawsze było obecne. Gdy literackiego Nobla odbierała Alice Munro, dużo mówiło się w Polsce o zaniku macierzystej gleby krótkiej prozy, czyli pism literackich, na łamach których mogłyby ukazywać się wyczelowane i starannie zredagowane teksty. Munro w takich praktykowała.

Tomy opowiadań jeszcze w poprzedniej dekadzie uznawane były w dorobku pisarek i pisarzy raczej za przystanki na drodze ku powieści. Pisma w masowej skali się nie odrodziły, choć powstało kilka z ambicjami kształtowania gustów i możliwościami zamawiania u autorów i autorek, także z użyciem mechanizmów lekko zakamuflowanego sponsoringu (napisała dla nas, o naszym mieście! tylko u nas, zachwycony klimatem!), co daje złudzenie wpływu literatury na inne dziedziny życia i gospodarki.

Wydawnictwa próbowały uatrakcyjnić formę, wypuszczając pocketbooki tematyczne. Miłość, miłość w mieście, nienormatywna miłość, gotycka miłość, zbrodnie z miłości. Inne. Pobudki tych, jak je czasem nazywano, kolekcji bywały skrajne: rynkowe lub idealistyczne. Niewiele z tego wynika, poza obserwacją, że niektórzy potrafią pisać na zamówienie, ale nie wszyscy.

„Opowiadanie” to jednak nie tylko forma, lecz i czynność. Nie rzeczownik, a czasownik. Czasownikowo jest lepiej, bo opowiadamy wszyscy. Powstają szkoły snucia narracji, opisy gatunków, podręczniki twórczego mówienia. Trenerzy wchodzi z tą wiedzą do korporacji. Nie lekceważmy tego momentu, gdyż daje nadzieję. Jeśli okaże się, iż podstawowym typem komunikacji jest historia z puentą, literatura może okazać się niezbędna, ocalona w pół zanikania. Puenta powinna zaskakiwać, następować po perypetiach i zwrotach akcji, zwanych dziś twistami.

„Opowiadanie” to nie tylko rzeczownik, ale także czasownik. A czasownikowo jest lepiej, bo opowiadamy wszyscy.

W dobrych opowiadaniach wszystko wiadomo od początku, ale zarazem nic nie wiadomo. Zbudowany w pierwszym akapicie zarys świata może pomieścić setki wątków, lecz gdy doczytamy do końca, tylko jeden okaże się właściwy, dopasowany do całości, a przede wszystkim – do naszych, nieświadomych, ssących w żołądku, oczekiwań. Niekiedy,

gdy wszystko idzie tak, jak podejrzewaliśmy, przewracając pierwszą stronę, ku katastrofie, narracja szybuje nad głowami postaci i otwiera na chwilę okienko przyszłości. Lubię te łaskawe gesty, ujawniające, że najgorsze tarapaty staną się wspomnieniem, bładą reminiscencją.

Takie łaskawe przebliski przyszłości oferuje na przykład Lauren Groff w „Ponad i niżej”, zamieszczonym w zbiorze „Floryda” (wyd. Pauza, tłum. Dobromiła Jankowska). Można je przeoczyć, ale gdy myślimy, że wszystko skończy się unicestwieniem, sponiewierana bohaterka pojawia się w innym miejscu własnej biografii. Wszystko, co nas przygnębiło, zgodnie z potencją pierwszego akapitu i ciężarem ostatniego, zostaje rozładowane migawkową informacją o ocaleniu.

Wyobrażam sobie pierwsze opowiadania, snute przy jakimś ognisku. Dotyczą zgromadzonych i świata, który znają lub muszą poznać, żeby przetrwać. Potrzebują wiązań między wrażeniami a układem wątków. Ktoś, jeden czy jedna z nich, ma zdolność fastrygowania elementów. Gdy słuchający tracą zainteresowanie, zmienia ścieg. Gdy ogarnia ich przerażenie, zatrzymuje się na chwilę. Przez cały czas pamięta o słuchaczach. Jeśli poniosą go własne potrzeby, straci publiczność.

Te zasady przetrwały w rdzeniu gatunku. Bywają praktykowane, gdy znajdzie się rozpalone ognisko – gazeta o dużym zasięgu, wpływowe wydawnictwo. Opowiadacze historii wsobnych egzystują w ciasnych niszach. Chyba że nastąpi jakiś twist, pociągając za sobą zmianę puenty. ©

MOJE STORY

BARTOSZ MINKIEWICZ





ZIEMIE NICZYJE PIOTR ŚLIWIŃSKI

Ona odchodzi?

Kto? Literatura, oczywiście. Oto początek świetnej książki J. Hillisa Millera: „Koniec literatury jest na wyciągnięcie ręki. Jej czas prawie dobiegł końca. Najwyższy czas. Nastaje czas innych epok, innych mediów” (tłum. K. Hoffmann).

Niepotrafiący się z tym pogodzić nie zaśługują na szacunek. Bo koniec literatury to szansa dla nowych reżymów. Usłyszałem gdzieś, może to był Kraków, że Marcin Świetlicki policzony być musi do najgorszych dziadków. Dziadzi – „osoby wpływowe, przeważnie płci męskiej, choć niekoniecznie, dobrze ustawione finansowo i symbolicznie oraz wykorzystujące swoje wpływy do obrony status quo, swoich zachowawczych poglądów oraz oczywiście kolegów” (Jaś Kapela, „Krytyka Polityczna”, 1.08.2019).

„Trafne”, pomyślałem. Poeta zapracował na pozycję, o której tu mowa, a nawet ją przewidział: „Skończyło się dzieciństwo. Baczność! – mówi Pan”.

Dorosłość tak czy owak zostanie wyegzekwowana. Upomną się o nią pospół architekci duszy narodowej, urządzający ją po nowemu (czyli po staremu) oraz młodo-starzy rewolucjoniści. Jedni i drudzy rozliczą z każdego dobrego wiersza, który złożył się na ów kapitalik z groszy i symboli. Nie przepuszczą choćby małym odstępstwom od doktryny – żadnego celnego słówka, co wrosło w tkankę języka, nie darują. Nie puszczą płazem różnicy gustów, nie wybaczą innego języka. „Baczność!” – słyhać z prawa i z lewa; „nowych elit trzeba” – krzyczą; „postkomuna, liberalizm, kosmopolityzm, oportunizm, niedowiarstwo” – mówią cicho. Wolność to wierność, luksusowe dobro klasy średniej, ściema na usługach stagnacji. Oddajmy się marzeniom o Polsce, która będzie słuszna jak Węgry lub sprawiedliwa jak Szwecja. Serio?

Zatem Świetlicki nie ma szans: wpiszą go do szkolnego kanonu lub okrzykną grubym i zawistnym dziadersem. A że nie

„Baczność!” – słyhać z prawa i z lewa; „nowych elit trzeba” – krzyczą jednym głosem.

nadaje się ani do jednego, ani do drugiego, bo o jego Polskę „(...) trzeba się bać. Twarz ma / przeciętą Wisłą i chlaśniętą Odrą”? Bo jego zaangażowanie nie wymaga nostryfikacji? Nic to. Mamy nowe ortodoksje, posiadliśmy nowe słowniki prawdy i wykluczenia, więc z ich imieniem na ustach dalejże dyscyplinować i rozliczać; zebrało się

śliny, więc trzeba płuć.

Konflikt w obrębie światka literackiego nie jest ani pokoleniowy, ani w jakiś zobowiązujący sposób polityczny, a stojące za nim racje usprawiedliwiają z pozoru niemożliwe alianse różnych środowisk. Nie jest też znanadto ciekawy. Skądinąd naturalne pragnienie posłuchu nakłada się na przeświadczenie, że mówiących o literaturze, a także samej literatury już prawie nikt nie słucha. Stąd krytyka literacka staje się krytyką polityczną lub co najwyżej teorią krytyki, a upieranie się przy wielojęzyczności literatury – kołtunstwem.

Miller: „Jednym z najsilniejszych symptomów nadchodzącej śmierci literatury jest stadna ucieczka młodszych badaczy od studiów nad literaturą (...). Częstokroć piszą i wykładają w sposób bliższy naukom społecznym niż tradycyjnie pojmowanej humanistyce. Ich pisarstwo i nauczanie często marginalizuje lub ignoruje literaturę (...). Ci młodzi ludzie nie są głupi, nie są też ignoranckimi barbarzyńcami. Nie chcą zniszczyć literatury ani literaturoznawstwa. Jednak o wiele lepiej od starszych wiedzą, w którą stronę wieje wiatr”.

Ale uwaga – amerykański profesor zastrzega: „przecież literatura, pomimo jej nadciągającego zmierzchu, jest wieczna i uniwersalna. Przetrwa wszystkie historyczne i technologiczne przemiany”. Bo nie umiemy obejść się bez magii słów, stwarzania nowych światów, opowiadania i opowieści. To prawdopodobne, że świat bez literatury to literacka fikcja. Autoironia, figiel wyobraźni. ©





PISARZ ZWYMYŚLANY

Kiedy świat patrzy na Austrię, oddech wstrzymują nie tylko Austriacy. Republika ma szczęście do wybitnych artystów, którzy doskonałość w sztuce łączą z pociąganiem do wywoływania skandali. Jak Peter Handke.

KAROL FRAN CZAK

W CHWILACH MIĘDZYNARODOWEGO triumfu rodzimej sztuki zawsze znajdują się w Wiedniu media czy politycy, którzy albo gratulują sukcesu, ale się nie cieszą, albo wprost okazują chłód i rozczarowanie.

Po ogłoszeniu literackiego Nobla w 2004 r. Elfriede Jelinek była w swoim kraju potępiana przez wielu komentatorów jako osoba niegodna tak dużego zaszczytu. Nagroda Akademii Szwedzkiej była traktowana przez część literackiej publiczności nie jako wyraz uznania dla dorobku obywatelki Austrii, ale jako prowokacja i efekt marnych kwalifikacji do oceny realnej wartości książek tej autorki. Atakująca wcześniej nieraz pisarkę poczytna „Kronen Zeitung” wydrukowała teraz całą stronę krytycznych listów od czytelników. „Nagroda sprawia radość, ale laureatka nie” – trafnie oceniał ówczesny klimat opinii Peter Turrini.

Dla wielu wyróżnienie przyznane Jelinek miało przede wszystkim wymiar polityczny, było interpretowane jako niedwuznaczne wsparcie dla europejskich przeciwników Partii Wolnościowej (FPÖ), w tamtym czasie kontrowersyjnego koalicjanta austriackiej chadecji (ÖVP). Skąd my to znamy?

Język oskarżony

Tegoroczny laureat Literackiej Nagrody Nobla Peter Handke to też pisarz, którego wielu ludzi kocha nienawidzić. Od pół wieku jego artystyczna droga nieustannie przecina się z polityką, raz w sposób celowy i przez niego zaplanowany, raz – zupełnie niespodziewanie. W przenoszącym się do mediów życiu literackim niejedną prowokację intelektualną Handkego szybko brano za ideologiczną demonstrację, czego skutki pisarz odczuwał zwykle przez długie lata.

Może się wydawać, że publiczny wizerunek pisarza od początku wymyśla Alfred Hitchcock. W 1966 r. trzęsieniem ziemi wynoszącym młodego autora do sławy była nie tylko nowatorska „Publiczność zwymyślana”, ale przeprowadzony przez niego niemalże równoległe atak na członków słynnej Grupy 47, skupiającej pisarzy niemieckojęzycznych, którym na spotkaniu w amerykańskim Princeton Handke zarzucał „impotencję opisu” i mylenie języka literatury z namacalną rzeczywistością. Pikanterii całemu wydarzeniu dodawał fakt, że Handke uderzał nie w skompromitowanych akuszerów

narodowego socjalizmu, lecz relatywnie młodych autorów, którzy po wojnie głośno mówili o konieczności odnowy nie tylko skompromitowanego języka, ale całej oficjalnej kultury odziedziczonej po generacji rodziców. Programowej dosłowności niemieckich Nowych Realistów Handke przeciwstawiał refleksję nad kłamstwami literatury, jej konwencjami i, warunkowanymi przez język, ograniczeniami ludzkiego poznania.

Jego pierwsze utwory przypominały bardziej dociekania jajogłowych eruditów niż – tak przecież modną – literaturę zaangażowaną w sprawy społeczne i psychologiczną analizę. W tym czasie pisarz przypada do gustu głównie ambitnym recenzentom i teatralnej krytyce. Masowa publiczność w jego kolejnych tekstach widziała przede wszystkim dowód na oderwanie autora od rzeczywistości.

Handke to jednak literacki kameleon i anarchista, u którego trudno rozpoznać jedność stylu. Programowo stawia na eksperyment i zmienność formy, szybko porzuca zgrane poetyki. Ale poszukiwanie błyskotliwych środków wyrazu i metodyczna oryginalność nie jest dla niego celem samym w sobie. Mają one rewolucjonizować świadomość odbiorcy i oddawać prawdę indywidualnego doświadczenia.

Handke pisze dużo, bo chce też coraz więcej wiedzieć o sobie: „Od dzieła literackiego oczekuję czegoś nowego, czegoś, co by mnie chociażby w nieznaczonej mierze zmieniło, co uświadomiłoby mi jakąś nową możliwość widzenia, mówienia, myślenia, egzystowania”. Aby to osiągnąć, musi niemal siłą przełamywać nawyki ukształtowane przez konwencjonalną prozę i klasyczny dramat.

Kolejne wystawiane na europejskich scenach sztuki to często lekcje z praktyki odbioru nowego teatru i trening cierpliwości dla zakłopotanych widzów. Publikacja raz jest prowokacyjnie obrażana (jak w „Publiczności zwymyślanej”), raz demonstracyjnie lekceważona („Quodlibet”), a raz zaskakiwana kilkugodzinną akcją bez słów („Godzina, w której nie wiedzieliśmy nic o sobie nawzajem”).

Poszerzenie pola walki

Początek artystycznej drogi Handkego to kontynuacja nowatorskich działań grup literackich, współtworzących artystyczny klimat Austrii połowy stulecia. Pierwsze opublikowane teksty wiele zawdzięczają związkowi z Forum Stadtpark

Graz – jednym z ważniejszych ośrodków artystycznej kontestacji, usytuowanym poza Wiedniem. Jako członek „Die Grazer Gruppe” Handke publikuje w kultowym czasopiśmie „manuskripte” – kuźni eksperymentalnych artystów, oddanych w tamtym czasie nie tyle politycznym skandalom, co tropieniu manipulacji zbiorową świadomością w konwencjach i stereotypach powielanych w między-ludzkiej komunikacji.

Długo broni się przed politycznym aktywizmem, czym naraża się na krytykę zaangażowanej lewicy. W swoich poszukiwaniach nie poprzestaje jednak na językowym eksperymencie. Nobla dostał przecież za „pracę, która z lingwistycznym geniuszem eksploruje peryferie i specyfikę ludzkiego doświadczenia”. Po nicowaniu modelowych form powieściowych (debiutanckie „Szerszenie”) czy dekonstrukcji prozy gatunkowej („Domokrążca”) w latach 70., Handke mierzy się wtedy z doświadczeniem osobistych dramatów. Na początku dekady samobójstwo popełnia matka pisarza, niewiele wcześniej rozpada się jego małżeństwo z aktorką Libgard Schwarz. Po rozstaniu zostaje samotnym ojcem. Po poprzednikach – jak pisał jeden z krytyków – „Handke odziedziczył niewątpliwie zdolność odtwarzania ludzkiego wnętrza, które u Austriaków często bywa nad wyraz mroczne”. Prawdy autobiograficznych przeżyć i emocjonalnego poruszenia nie wykląda jednak wprost, ale skrywa poetyckim szyfrem.

To w tym czasie powstaje jego najlepiej znana w Polsce, a jednocześnie najbardziej doceniana proza: „Krótki list na długie pożegnanie”, „Pełnia nieszczęścia”, „Godzina prawdziwych odczuć”, „Leworęczna kobieta”, „Nauka Sainte-Victore”. Sypią się prestiżowe nagrody: Schillera, Petera Roseggera czy Georga Büchnera. Handke w końcu zamyka swoje filologiczne laboratorium i poszerza granice własnej wrażliwości. Kolejne książki stają się narzędziami duchowego doskonalenia. Pisarz daje się ponieść instynktom, zmysłom i podświadomym siłom, a jednocześnie w stawianych literaturze celach jest coraz mniej egocentryczny.

Ważnym tematem stają się współczesne kobiety – których portrety kreśli nader osobliwie – i opis ich granicznych stanów. Cudze przeżycia opisywane są z dystansem i emocjami trzymanymi na wodzy.

Kocioł bałkański

→ W dorobku Handkego zdarzają się okresy milczenia, zdarzają się – jak w latach 80. – kryzysy, zdarzają się książki hermetyczne i bełkotliwe, w końcu bardzo udane powroty. Tak było w 2010 r. przy okazji wystawionej w hamburskim Thalia Theater sztuki „Burza nadal trwa”, za którą Handke dostał Mülheimer Dramatikerpreis. Pisarz kolejny raz wracał do historii ułożonej w rodzinnych stronach pogranicza słoweńsko-austriackiego i wojennych losów własnej matki. Urodzony jako bezpaństwowiec, skazany był na tożsamościowy dysonans typowy dla mieszańca kresów. „Zarzewie konfliktu wydaje się wpisane w jego biografię” – pisała, odnosząc się do późniejszej batalii o duszę Handkego, Monika Muskała.

Idealizowana pamięć dawnej Jugosławii pojawia się w książkach pisarza jeszcze przed koszmarem wojny na Bałkanach (choćby w opowiadaniu „Powtórzenie”), ale opinię *enfant terrible* europejskiej literatury dostanie Handke dopiero po napisaniu w 1996 r. dla „Süddeutsche Zeitung” reportażu „Zimowa podróż wzdłuż rzek Dunaju, Sawy, Morawy i Driny. Sprawiedliwość dla Serbii”. Z pozoru poszukiwał dystansu wobec dominujących schematów definiowania ówczesnej wojny na Bałkanach i krytykował tendencyjność zachodnich mediów w oznaczaniu przyjaciół i wrogów. Odnosił ją do – w swojej ocenie – jednostronnych wiadomości, preferujących antyserbski głos, które rezygnować miały z zasady równego traktowania wrogich sobie stron konfliktu. Robiąc to wszystko – o paradoksie – Handke realizował wąsko rozumiane zadania ideologiczne i zajmował stanowiska, których po latach nie daje się w żaden sposób obronić.

Dziwi, że człowiek, którego walczące o odnowę skorumpowanego języka książki mogłyby dziś inspirować wrogów postprawdy i medialnej dezinformacji, skupił się na obsłudze rzeczywistości, a nie jej rzetelnej analizie. „Handke udał się do Serbii i nie widzi nic” – pisał w tamtych latach filozof Alain Finkielkraut.

Jaką pułapką były sugestie Handkego, że obrazy serbskich obozów dla jeńców wojennych były częściowo inscenizowane, pokazuje historia słynnej fotografii Fikreta Alicia, zrobionej w sierpniu 1992 r. przez dziennikarkę Independent Television News. Magazyn „LM” przegrał z ITN proces o zniesławienie po tym, jak

Przyznana Handkemu najważniejsza nagroda literacka prowokuje pytanie, co ma w zasadzie nagradzać Nobel

– wolność sztuki czy właściwe
wybory moralne.

nie tylko zakwestionował autentyczność zdjęcia, ale także sugerował, że obóz koncentracyjny w Trnopolje był zwykłym centrum dla uchodźców. Historię tego i innych miejsc kaźni z terenu dzisiejszej Republiki Serbskiej (będącej częścią Bośni i Hercegowiny) polski czytelnik może poznać sięgając po książkę „Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki”, napisaną przez uczestnika tamtych wydarzeń Eda Vulliamy’ego z „Guardiana”.

Prawda czasu, prawda artysty

Wielu ludzi sztuki, dziennikarzy i polityków nie chce do dziś wybaczyć Handkemu związków z serbskim przywódcą Slobodanem Miloševićiem. Pisarz podpisał m.in. list w obronie polityka, odwiedził go w więzieniu w Hadze, kiedy ten był sądzony przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. W 2006 r. przemawiał na pogrzebie byłego prezydenta Serbii. W reakcji na to radni Düsseldorfu odmówili wręczenia pisarzowi Nagrody im. Heinricha Heinego, a Comédie Française zrezygnowała z wystawienia jego dramatu „Sztuka zadawania pytań albo podróż do krainy dźwięku”.

O Handkem znów było głośno, ale linia sporu nie wyglądała już tak klarownie jak dekadę wcześniej. Pisarza bronili gwiazda Kwartetu Literackiego telewizji ZDF Sigrid Löffler i reżyser Claus Peymann, oboje kojarzeni zwykle z sekundowaniem artystom kalającym austriackie gniazdo – Bernhardowi i Jelinek. Aktorzy Berliner Ensemble rozpoczęli zbiórkę pieniędzy na alternatywną nagrodę Heinego, chcąc bronić wolności słowa i prawa do subiektywności w sztuce. Wielu komentatorów przypominało, że w Komitecie Obrony Miloševicia był też Anglik, Harold Pinter – noblista z 2005 r. – któ-

rego zaangażowanie nigdy nie wywołało aż takiego wzmożenia. Jednocześnie znany w Polsce serbski pisarz Bora Ćosić nazywał pisarza „jarmarcznym manipulatorem” i „literackim czarodziejem sprytnie zmieniającym skórę”, a w roli adwokata swojej ojczyzny wołał widzieć piarkę Biljanę Srbljanović, w dramatach której inna Serbia mogłaby przemówić własnym głosem.

Publiczne rozważania na temat „kim jest Handke?” – klerkiem, któremu wolno więcej, pogubionym publicznym intelektualistą, bardem dyktatora czy użytecznym idiotą negacionistów – zdominowały też dyskusję nad literackim Noblem. Krótco po ogłoszeniu nazwiska laureata protestowały Matki Srebrnicy, prezydent Kosowa Hashim Thaçi i premier Albanii Edi Rama. Wyraźnie usłyszano też mocny głos nagrodzonego właśnie Deutscher Buchpreis Saša Stanišića, który w latach 90. na własnej skórze doświadczył losu emigranta uciekającego z kotła bałkańskiej wojny. Jego krytykę pod adresem Handkego warto czytać równoległe z osobistą relacją o upadku Bośni i życiu w nowym kraju, zawartą w opublikowanej także w Polsce książce „Jak żołnierz gramofon reperował” [szerzej o bałkańskich reakcjach na Nobla dla Handkego pisze w tym numerze „Tygodnika” Marta Szpala, s. 48 – red.].

O recepcji dorobku Petera Handkego jeden z badaczy pisał, że to „historia nieporozumień i błędnych ocen, wiernego przywiązania i oszczerczych ataków, zaskakujących nawróceń i niespodziewanych apostazji”. Przyznana Austriakowi najważniejsza nagroda literacka prowokuje pytanie, co ma w zasadzie nagradzać Nobel – wolność sztuki czy właściwe wybory moralne i „dobre prowadzenie się” w życiu pozaartystycznym. Uwiedziony faszyzmem i związany z Mussolinim Ezra Pound tej nagrody nigdy nie dostał.

Znając właściwą miarę, może już dzisiaj warto szykować amunicję do przyszłych batalii o Michela Houellebecqa, w których powróci przygasły spór o jego rzekomy antyislamizm. Albo o Zachara Prilepina – poplecznika rebeliantów z Donbasu – którego siła talentu dorównuje uporowi, z jakim angażuje się w wojnę rosyjsko-ukraińską. Niestety, literacka nietuzinkowość i podążająca za nią miłość czytelników rzadko idą w parze z predyspozycjami do świętości.

© KAROL FRANCAK



Halina Rasiakówna, Maria Robaszkiewicz i Ewa Skibińska w spektaklu „Capri”, Teatr Powszechny, Warszawa, październik 2019 r.

I tylko wysp tych nie ma

DARIUSZ KOSIŃSKI

W „Capri” Krystian Lupa mierzy się z winami własnymi czy też z winami tej kultury, z której sam wyrasta i która jest jego ojczyzną.

NA SAMYM POCZĄTKU NAJNOWSZEGO spektaklu Krystiana Lupa nadzy dziewczyna i chłopak wychodzą spod sceny, odkrywają ze zdumieniem, że są w teatrze, odnajdują swój wstyd i uciekają, by po chwili wrócić po oświetlone reflektorem, leżące w samym centrum – jabłko. Nie wchodzi się do teatru bez karnie. Nie wchodzi się do teatru bez grzechu. A czy można z niego bez grzechu wyjść?

Od siebie

Krystian Lupa pojechał na Capri razem z aktorami i ekipą realizującą najbardziej oczekiwane przedstawienie roku. „Capri – wyspa uciekinierów” miała premierę 12 października, dzień przed wyborami, kilka dni po tym, gdy Jarosław Kaczyński niespodziewanie wspominał

w wyborczym przemówieniu o teatrze, mówiąc, że każdy może w nim robić, co chce, ale nie za państwowe pieniądze. W warszawskim Teatrze Powszechnym, który prezes z pewnością miał na myśli, Piotr Skiba wplótł w swój monolog pouczenia dla wyborców, by jeszcze próbowali ratować „ten kraj”. Ktoś się nerwowo roześmiał. „Tego nie było w scenariuszu” – skomentował Lupa wyjątkowo w tym spektaklu aktywny przy mikrofonie. „To ja od siebie powiedziałem!” – dumnie i nerwowo odchrząknął Skiba.

Atmosfera była gęsta i jakoś mało premierowa. Wprawdzie kieliszki już stoją we foyer, a w bocznej sali nieodzwonne ptifurki czekają na końcowe oklaski, lecz gdy przedstawienie dochodzi do końca i rozlegają się brawa, odczuwam to już

nie jak niemądry zwyczaj, ale jak lekko-myślną negację tego, co się udało w finale wytworzyć. Irytuje mnie, że aktorzy się kłaniają, uśmiechają, przyjmują kwiaty. I że reżyser wychodzi na scenę. Więc sam też wychodzę w środek warszawskiej nocy, by w podmiejskiej kolejce przekraczając Wisłę, odpowiedzieć zagubionemu Ukraincowi, że ten pociąg nie jedzie dalej. „Tylko na Zachodnią, proszę pana. Na Zachodniej kończy bieg”.

Spojrzenie Odyseusza

Krystian Lupa od razu wyklada karty na stół, jasno i prosto wskazuje punkty wyjścia i przewodnie tematy. Jakby chciał maksymalnie obniżyć próg wstępnych wymagań. Nie czytaliście Curzia Malapartego? Nie szkodzi – powiem wam o nim wszystko, co powinniście wiedzieć. O Capri też wam opowiem, a niesamowity dom pisarza na dodatek pokażę. I pokażę też fragmenty „Pogardy” Jeana-Luca Godarda, które tu właśnie kręcił. Zobaczycie, jak ginie Brigitte Bardot i jak Michel Piccoli żegnając się z Fritzem Langiem, ogląda ostatnie ujęcie kręconego wciąż filmu o Odyseuszu. Stojąc na tarasie Casa Malaparte bohater ma po raz pierwszy od lat zobaczyć Itakę. Kamera pokazuje go z tyłu, a potem przenosi się tam, gdzie →

→ patrzy. Ale widać tylko morze. Nie wiecie dlaczego? Ja też nie. Spytajmy...

W wielkim pokoju z widokiem na Europę ogarniętą niezrozumiałym, a pełnym przemocy chaosem są prawie wszyscy. Jest Jean-Luc Godard (Paweł Tomaszewski), jest Fritz Lang (Wojciech Ziemiański). Zaraz przyjdzie Michel Piccoli (Julian Świeżewski). Zjawi się też Axel Munthe (Grzegorz Artman), choć nie bardzo wiadomo, co ten życzliwy zwierzętom i światu lekarz-filantrop robi w tym towarzystwie. Zjawi się nawet Brigitte Bardot (Anna Ilczuk), która wciąż pyta o jedzenie.

Godard snuje jakieś bełkotliwe wspomnienia z rozmów, które odbyli z Lan-giem w Cannes. Bełkot potęguje awaria projekcji, natychmiast skomentowana przez aktorów i reżysera w taki sposób, że jej realność staje się nierozstrzygalna. Może to było zaplanowane? Albo może przypadek dostroił się do atmosfery rozpadu i niemożności, która zdaje się dotyczyć przedstawienie jeszcze na dobre nie-rozpoczęte. Ewa Skibińska pyta, czy jest sobą, czy aktorką, czy postacią. Brydź, do którego siada z trzema partnerkami (Monika Niemczyk, Halina Rasiakówna, Maria Robaszkiewicz), też się nie udaje, bo Skibińska opowiada, jakie ma karty. Niemczyk w ogóle nie może grać, bo psuje się jej mikroport i musi wyjść, by założyć nowy. Psujący się teatr wypływa ze szczelin psującego się świata.

W atmosferze niemożności czas płynie nad wyraz wolno, ale jest lekki, lekkością zaskakującą i u aktorów, i w głosie reżysera, który komentuje sceniczne awarie niemal z rozbawieniem. Jakby to on sam spletał nam figlę...

Figlarnie lekki jest też cud, który to wszystko kończy. Gdy Ilczuk znów zapyta, czy jest coś do jedzenia, Michał Czachor otwiera stojącą w głębi starą lodówkę. Widzimy, że jest pusta. Kilka minut później spod sceny wychodzi postać, którą w prześmiewczych memach nazwano by z pewnością „seksi Dzizas”: młody szczupły chłopak z długimi włosami w luźnej bluzie. Podchodzi do lodówki, otwiera drzwi i... widać, że w środku jest pełno. Ryby i chleb. Aktorzy biorą puszki z rybami w oleju i kromki chleba, siadają na stopniach proscenium, naprzeciwko widzów, i jedzą. Siedzę w pierwszym rzędzie, więc widzę, jak olej kapie Mateuszowi Łasowskiemu z palców. Jestem niemal zaskoczony, że

Bardzo odpowiada
mi dystans,
jaki do swojego teatru
i swojej pozycji przejawia tu
Krystian Lupa. A zarazem
**wciąża mnie proces,
który przeprowadza.**

obawa przed pochłapaniem olejem jest silniejsza niż dotkliwość profanacji chrześcijańskich znaków, kpina z ewangelicznego cudu.

Witold Wergili

Posileni aktorzy powoli wstają i wychodzą, by zacząć podróż przez wojenną Europę, w której przewodnikiem będzie nam młody Malaparte (Julian Świeżewski). Podróż jest wręcz nieprawdopodobna i gdyby nie to, że włoski korespondent wojenny naprawdę odwiedził Polskę i spotkał gubernatora Hansa Franka, można by pomyśleć, że to wytwór fantazji Lupy. Ale nie – Malaparte mógł widzieć, jak Hans Frank (Michał Czachor) odgrywa króla Polaków: ich mądrego, choć surowego ojca, prowadzącego ten niewdzięczny naród do świata Schumann i Chopina, którego sam gra „jak anioł”, a którego ten ciemny naród nie rozumie i nie kocha. Patrzymy na przyjęcie w Belwederze: za wyrafinowaniem form kryje się realność Zagłady. Na ekranie ciała ofiar przenikają się ze scenami nazistowskiej orgii. Nagość kobiet drżących z podniecenia i nagość wygłodzonych więźniów nachodzą na siebie w sposób tak obsceniczny, że wręcz nie mogę na to patrzeć. Twarze ludzi z getta, nagie ciała umarłego zabierane z ulicy, Frank strzelający do żydowskiego chłopca w filmowej inscenizacji kończącej tę część – wszystkie te obrazy są równie, choć z różnych powodów, nieznośne, ale jakoś konieczne, byśmy nie dali się zwieść Chopinowi i wirtuozerii towarzyskich gier i języka Malaparte.

Ten sam kontrast między formami a bólem kaleczonych i zabijanych ciał buduje kolejne etapy podróży przez wo-

jenną Europę, spotkanie z potomkinią rodu Hohenzollern (Anna Ilczuk) i jej przyjaciółką (Magdalena Koleśnik) jest skontrapunktowane sceną z dwoma oślepienymi żołnierzami (Andrzej Kłak, Jacek Beler), którym delikatna opiekunka (Karolina Adamczyk) pomaga zjeść obiad. Scena jest niemal czechowska – nic nie jest powiedziane wprost, a przecież staje się jasne, dlaczego drugi „akt” spektaklu rozpoczęło wspomnienie księżnej Piemontu o budzącym jej zażenowanie tańcu młodej amerykańskiej lesbijki (Magdalena Koleśnik), ujawniającym mękę i rozkosz ciała. I dlaczego właśnie o ciałach Żydówek z wojskowego burdelu w Sorokach, w które osuwają się ostatecznie młode kobiety z wcześniejszej sceny, europejski pisarz i intelektualista nie chce rozmawiać. Finałem będzie salwa – rozstrzelanie seksualnych niewolnic wykorzystanych do cna przez seksualnie wygłodniałych żołnierzy.

Dopełnieniem jest sekwencja „renesansowej uczty” wydanej przez amerykańskiego generała (Wojciech Ziemiański) na cześć przybyłej zza Oceanu damy (Halina Rasiakówna), spoglądającej na Europę jak na dziki i barbarzyński ląd. Uczta, pełna dość topornych złośliwości skierowanych przeciwko nowym władcom świata, kończy się skandalem: namówiony przez Malaparte go generał każe jako główne danie podać syrenę – rybę rzekomo uwielbianą przez neapolitańczyków. Elegancy, a zarazem pełni pogardy kelnerzy wnoszą na tacy coś, co wywołuje szok i obrzydzenie: rybę, która jest małą dziewczynką. Spotworniały abiekt, którego Amerykanka nie ma zamiaru tknąć, choć Włosi przekonują, że jej mięso jest niezwykle smaczne. Choć wojna pozornie się skończyła, potworność wydaje się dopiero wynurzać z głębin i odmętów, które odsłoniła.

Nostra culpa

Malaparte, który dotychczas wydawał się pewną ręką prowadzić swoje gry, traci pewność siebie i pozycję protagonisty. Przejmuje ją stopniowo jego stare, znużone i zrozpaczone *alter ego* (Piotr Skiba). Wysublimowany wirtuoz nie jest w stanie znieść homoseksualnej międzynarodówki młodych mężczyzn, którzy po wojnie zjechali do Neapolu i gwałtownie odrzucają wszystko, co on sam usiłuje przywołać jako wartości usprawiedliwiające jego związki z faszyzmem

i buñuelowskim światem dekadencjonalnej arystokracji. Kulminacją tej sekwencji jest gwałtowny i orgiastyczny rytuał w Torre del Greco, u stóp Wezuwiusza. Jego owocem jest kolejna abiektalna hybryda: dziecko-fallus zrodzone w męce przez chłopaka (Paweł Tomaszewski), który po wszystkim gwałtownie wykrzykuje wściekłą i współcześnie wulgarną filipikę przeciwko katolikom i ich zakłamaniu.

W tej scenie, której prowokacyjny i obrazoburczy potencjał jest osłabiany przez rytm przedstawienia i brak akcentów wzmacniających jej wymowę, eksploduje we wrzasku temat, który prowadzony jest podskórnie przez całe przedstawienie. To oskarżenie katolicyzmu o fundamentalne kłamstwo, etyczną obłudę. Pojawia się ono też w powracającej w różnych postaciach i wzmiankach figurze Chrystusa. Jest ona w spektaklu profanowana w tym sensie, że przestaje być postacią Boga, a staje się figurą zbawienia i zmartwychwstania jako fundamentalnego celu ludzkiego rozwoju duchowego, będącego zadaniem każdego. Przed tym zadaniem wielu z nas ucieka, zaś katolicyzm – mówi Lupa – to najbardziej powszechna i wyrażona forma tej ucieczki.

Początek finałowej sekwencji przedstawienia należy do Piotra Skiby, który jeszcze mówi jako stary Malaparte, ale już go nie gra. Siedzi bezradny i opuszczony w pustym pokoju, na którego tylnej ścianie wyświetlana jest projekcja tego samego wnętrza, pełnego ludzi. Kolejne postacie przechodzą przez pokój realny, by wejść do widmowego, przenikając przez drzwi oddzielające dwa światy. Skiba, także podwojony na widmowym obrazie, zmęczonym głosem snuje opowieść o umierającej Europie i własnej śmierci. Lupa zestawia ją ze zdjęciami powieszonego głową w dół Mussoliniego i jego zabitych popleczników. Pyta o zdjęcie umarłego Stalina, którego jednak nie ma, bo nikt nie odważył się go zrobić. Nie ma też zdjęcia zabitego Hitlera. Zamiast niego jest fotografia, na którą reżyser każe zwrócić szczególną uwagę: amerykańscy żołnierze oglądają miejsce, gdzie Hitler miał popełnić samobójstwo.

Aktorzy wychodzą z widmowego pokoju i siadają bardzo blisko, o metr, patrząc nam w oczy. Teraz „każdy mówi za siebie” to, co przecież wiemy, a czego nie chcemy lub nie umiemy sami powiedzieć: że ludzkość to „zła część” życia na planecie, że zmarnowaliśmy całe 2 tysiące lat,



Krystian Lupa

że jesteśmy na dnie wyczerpania, u kresu ciągnącej się przez dekady apokalipsy naszego świata, którego nie potrafimy ocalić. Na ekranie, na brzegu rzeki Ewa Skibińska czesze włosy (ten sam gest powtarza na scenie). Zbliżamy się do niej, aż wreszcie niemal wjeżdżamy w jej głowę, by na krótki moment przejść przez błysk ciemności i odgłos gwałtownie wciąganej powietrza na drugą stronę, która może być ocalonym skrawkiem czegoś nowego. Jakby po antykatolickich wykrzykach niespodziewanie wracała archekatolicka nadzieja, że dojdzie do prawdy o sobie w prawdy tej wypowiedzeniu otworzy przejście ku czemuś nowemu. Przypomina się teraz dopiero zrozumiała początek spektaklu...

Ostatni obraz na ekranie to grupa nagich lub niemal nagich aktorek i aktorów w grocie na brzegu Capri. Jakby po odkupieniu pierwotnego grzechu wejścia na scenę czekali na ponowne wejście do raju (wszak jako pierwszą widzimy Ewę...). Ale równie dobrze mogą czekać na sąd.

Co jest dalej?

Z „Procesem”, poprzednim przedstawieniem Lupa, jak może czytelnicy „Tygodnika” pamiętać, miałem problem. Wystawianie, jak pisałem, „słabości zrodzonej z braku własnego pomysłu na świat” wydawało mi się bezcelowe i nieskuteczne. Zachciało mi się „ucieć do »normalnego« życia i przestać zagmerywać się na śmierć we własnych wątpliach”.

Dwa lata później nie sposób tego powtórzyć, bo „normalne życie” stało się kategorią politycznego rozróżnienia na „swoich”, którym jest obiecywane, i „piętnowanych”, którym się go odmawia. Ale z najnowszym przedstawieniem Krystiana Lupa pogodzić mi się też o tyle łatwiej, że oskarżenia pod adresem „onych”, wynoszenie niewinności tych, którym wytyczono proces, zostało w „Capri” zastąpione mierzeniem się z winami własnymi, czy też – z winami tej kultury, z której Lupa wyrasta i która jest jego ojczyzną. Muszę powiedzieć, że bardzo odpowiada mi dystans, jaki do swojego teatru i swojej pozycji przejawia tu Krystian Lupa. A zarazem wciąż mnie proces, który przeprowadza. Uwierzyłem jego dotkliwej docieklowości i chciałem uczciwie odpowiedzieć na uczciwe teatralne rozliczenie się z sobą. Dlatego też tak mnie zirytowały ceremonialne ukłony.

Przecież tak zwana premiera to tym razem naprawdę kolejny etap trwającego już wiele miesięcy procesu, ciąg dalszy sprawdzania, co da się zobaczyć z tarasu Casa Malaparte.

Nadzieja, że zobaczy się Itakę, której nie widział Odys, wydaje mi się naiwna i nawet przez chwilę jej nie odczuwałem. Jak przypominał Wyspiański, po powrocie do ojczyzny Odys dokonał rzezi i nigdzie już nie wrócił. Myślę, że Lupa dobrze pamięta tę lekcję. I myślę, że na Capri też nas nie zabrał, byśmy tam zostali jako uciekinierzy. Przecież wrócił, wrócili też jego aktorzy. Jego teatr wrócił. Jeśli zaś jest wyspą, to pływającą, jak ta, która płynie w poprzek ekranu w finale. Itaka to nazwa biura podróży, a Capri zdeptują tłumy turystów. © DARIUSZ KOSIŃSKI

CAPRI – WYSPA UCIEKINIERÓW (WORK IN PROGRESS), na podstawie utworów:

„Kaputt” i „Skóra” Curzia Malapartego – reż. Krystian Lupa, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 12 października 2019 r.

Ciężar gatunku

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

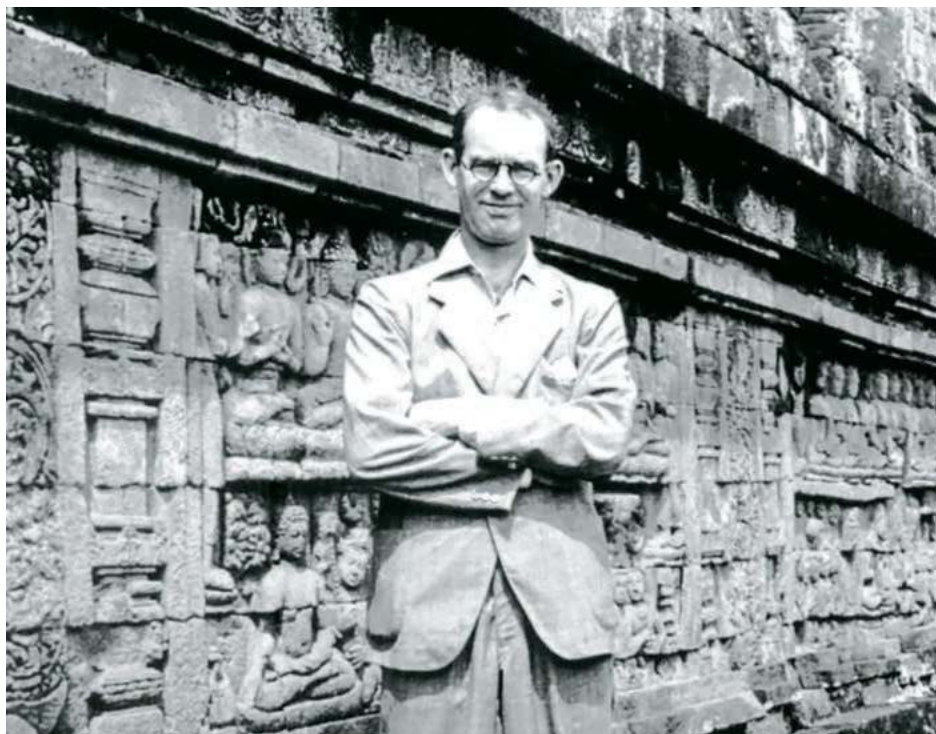
Kronikarze komunizmu Arthur Koestler i Gareth Jones pracowali jako dziennikarze, ale poczuli się dziennikarzami dopiero wtedy, gdy odmówiono im prawdomówności.

WPOWIEŚCI O JANIE KARSKIM Yannick Haenel relacjonuje jego misję przywiezienia na Zachód świadectwa Zagłady Żydów. Współczesnego pisarza nie interesuje samo świadectwo, ale to, co się z nim stało, kiedy dotarło do celu. „Słowa Karskiego przebyły długą drogę – pisze Haenel. – Są zagubione w czasie, skazane na beznadziejne powtarzanie. Bo czy »sumienie świata«, jak je nazywa, zostało rzeczywiście »poruszone«?». Dobrze wiemy, że nie.

Początkowy wstrząs w reakcji na ujawnianie ludobójstwa rzadko przekłada się na wstrząsy wtórne: presję opinii publicznej oraz polityczny opór imperiów. Dlatego uwaga, jaką przykuwają losy kurierów, przywożących obrazy dalekiej śmierci, wydaje się formą spóźnionego obrachunku, pośrednim przyznaniem, że wyparcie jest rodzajem przyzwolenia. Przypominanie dokonań tych, którzy nie odwracali oczu, odgrywa też rolę przestrogi, że nieodrobiona lekcja historii lubi kończyć się jej powtórką.

Nudny człowiek

Ostatnie lata należą do Garetha Jonesa, walijskiego dziennikarza, który jako jeden z pierwszych, bez ogródek i eufemizmów, donosił w 1933 r. o głodzie na Ukrainie wywołanym celową polityką Stalina. Nie tylko nie poruszył sumień, ale został oskarżony o nierzetelność przez kolegów po fachu. Anne Applebaum uczyniła z Jonesa jasną postać „Czerwonego głodu” (2018), książki dedykowanej ofiarom Hołodomoru, jak na Ukrainie nazywa się tę zaplanowaną przez Stalina tragedię z lat 1932-33. Na tle oportunistycz-



U góry: Gareth Jones, Jawa, 1935 r. Po prawej: Arthur Koestler, 1946 r.

nych korespondentów z ZSRR młody Jones lśni niczym nieskalany brylant. To idealista poważnie traktujący etos dziennikarski, który zbiera informacje z pierwszej ręki i nie boi się konfrontacji z sowiecką rzeczywistością.

Podobnie przedstawia go Andrea Chalupa, autorka scenariusza do wchodzącego właśnie na ekrany filmu „Obywatel Jones” w reżyserii Agnieszki Holland [zob. recenzję w tym numerze „TP” na s. 106]. Jonesa obdarzono tu urodziwą twarzą Jamesa Nortona (w rzeczywistości nie miał aparycji amanta), a z jego historii uczyniono metaforę współczesnego kryzysu dziennikarstwa. Jones ma być wyjątkiem na tle zepsucia i konformizmu ogarniającego media. „Nie miał grzechów na sumieniu. To prawdziwy pozytywny bohater, nie bałabym się tak o nim mówić” – przekonywała reżyserka w rozmowie podczas ostatniego festiwalu filmowego Nowe Horyzonty.

Do chóru zachwytów dołącza reporter Mirosław Wlekły. Jego „Gareth Jones. Człowiek, który wiedział za dużo” to opowieść o cudownym chłopcu, rozpieszczanym przez elity, a następnie odrzuconym przez nie z powodu niewygodnej prawdy, którą przywiózł ze Wschodu. Charakterologicznie Jones jest postacią nudną. Ma ledwie kilka słabostek, na koncie żadnych nałogów

i krętać, a jego życie intymne w zasadzie nie istnieje – kiedy wieje wiatr historii, nie ma głowy do romansów. Ciekawe są natomiast czasy, które rozwinęły przed nim szerokie możliwości, i ludzie, którzy Jonesa rujnowali – mający władzę, ale sami ulegający innej, zwanej wyższą historyczną koniecznością. A Walińczyk starał się po prostu działać uczciwie i przyzwoicie.

Warto panegiryki na temat Jonesa czytać razem z książkami o strategiach racjonalizowania modelu sowieckiego, radzących sobie z każdą wątpliwością. Do księgarni właśnie trafiło nowe, pełne tłumaczenie „Ciemności w południe” Arthura Koestlera, urodzonego tak jak walijski dziennikarz w 1905 r. Ten węgierski Żyd przeżył okres fascynacji komunizmem (inaczej niż Jones), a po dotkliwym rozczarowaniu postanowił opisać wewnętrzne sprzeczności komunizmu, które powinny były w jego mniemaniu ostatecznie skompromitować państwo Stalina. Uczynił to w sposób humanitarny dla ofiar, a bezlitosny dla reżimu (podobnie jak Jones).

Mętny blask władzy

Koestler rozpoczyna powieść cytatami z Machiavellego i Dostojewskiego. Choć świat, który przedstawia, to radykalna wersja pism Włocha, narra-



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI RODZINY GARETHA JONESA. WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

torowi bliżej do autora „Zbrodni i kary”. Woła za nim: „O, człowieku, człowieku – bez odrobiny litości nie można żyć”. Litość żywi niemal dla każdej z *dramatis personae*, poczynawszy od Mikołaja Rubaszowa, fałszywie oskarżonego działacza partii komunistycznej. Do niedawna zarządzał przemysłem aluminiowym i przyzwał na eliminację słabych ogniw w łańcuchu partyjnych zależności. Teraz sam ma zostać złożony w ofierze dziejowej konieczności. W klaustrofobicznej celi jedyne, co ma, to czas, by podjąć ostatnią decyzję: „umrzeć w milczeniu czy publicznie się opluć, by móc działać dalej?”. Poprawka: by partia mogła działać dalej, po likwidacji kolejnego słabego ognia.

Impulsem dla Koestlera był trzeci proces moskiewski z 1938 r., w którym oskarżano Nikołaja Bucharina. Pisarz poznał go podczas swej jedynej podróży do Związku Sowieckiego w 1932 r. Podczas procesu Bucharin wziął na siebie „obiektywną odpowiedzialność” za całokształt swojego postępowania, ale nie przyznał się do żadnej konkretnej przewiny. Dlaczego intelektualny filar bolszewizmu pogodził się z rolą kozła ofiarnego? Czy samoupokarzając się, zachował osobistą godność, czy okazał słabość? Może uwierzył, że ostatni raz przysłuży się partii, a historia, którą do tej pory brutalnie wykuwał, kiedyś go zrehabilituje.

W swej wysyczonej moralnym napięciem powieści Koestler obficie korzysta ze środków dobrego reportażysty, ale „Ciemność w południe” nie jest reportażem ani relacją z pierwszej ręki. Stanowi wyobrażenie o tym, co się dzieje tam, gdzie nie docierają flesze i gdzie nie mogą postawić stopy pożyteczni idioci Stalina, sławiący na świecie jego postępowość.

W więziennych piwnicach władza nie oślepia blaskiem, ale mąci w głowach mdłym światłem wypalającej się żarówki. Rubaszow nie żywi nienawiści do przywódcy partii, choć jest świadomy tego, czyja żelazna logika zaprowadziła go do celi numer 404. Wbrew obiegowej opinii „Ciemność w południe” nie jest też traktatem o przedśmiertnym nawróceniu się upokorzonego aparatchyka. To opowieść o tym, co można nazwać praktykami czynienia kolei rzeczy wytłumaczalną, a tym samym akceptowalną. Rubaszow potrafi nazwać to, czym się kierował, będąc zausznikiem partii, oraz to, z czego wynika jego upadek. Neomakawelizm, moralność wiwiskcyjna i dziejowy przymus – wszystkie te słowa nie są w stanie przysłonić „metafizycznego burdelu”, który powstaje, kiedy praktyka polityczna zadaje kłam teorii. Ostatecznie wszyscy mówią na różne sposoby to samo, co uważany za wariata więzień z celi 402: „Wsadzono mnie do nie tego pociągu. (...) Do dziś myślą, że niczego nie zauważyłem”.

Zanim Gareth Jones wysiadł w marcu 1933 r. ze swojego pociągu, 70 kilometrów od Charkowa, jest uprzywilejowanym gościem Związku Sowieckiego. Iwan Majski, ambasador Stalina w Londynie, prosi Moskwę, by nie odmawiać niczego (oczywiście w granicach politycznego rozsądku) zaufanemu człowiekowi Davida Lloyd George’a, byłego premiera. Jako jedyny gość z Zachodu Jones otrzymuje pozwolenie, by samemu jechać na Ukrainę i w Charkowie wizytować fabrykę traktorów. Jednak na jednej ze stacji ktoś go błaga: „Powiedz im w Anglii,

że nie mamy co jeść i zaczynamy puchnąć z głodu”. Niedługo potem Jones wysiadając z pociągu, aby pieszo dotrzeć do Charkowa, po drodze poznając prawdziwą Ukrainę.

Ta trzydniowa wędrówka jest dla biografów Jonesa kulminacją jego życia i sprawdzianem moralności. Spotyka rodziny wyniszczone głodem, ogląda ludzkie widma zżeranych przez własne tkanki, widzi kości padłych zwierząt i odwiedza wymierające kołchozy, gdzie zazdrości się tym, których wywieziono na Syberię. Daje gospodarzom to, co ma w plecaku – dziękują mu, ale nie mają złudzeń, że ich wybawi. Wlekły obszernie cytując książkę Applebaum o Wielkim Głodzie i nie może się nadziwić, że w relacji Walijczyka nie ma jeszcze bardziej wstrząsających obrazów, np. kanibalizmu. Na chwilę zapomina o tym, że Jones szedł →



EAST NEWS

→ przez ukraińską prowincję tylko parę dni i (wbrew chwytliwemu tytułowi) nie tyle wiedział za dużo, co widział więcej, niż może unieść grzeczny chłopiec z Wysp. Jak relacjonuje Wlekły, bardzo empatyczny wobec swego bohatera, moment krytyczny pojawia się u celu, w Charkowie, gdzie trafiają *bezprizorni*, najmłodsze ofiary głodu, okutane w łachmany, z pustymi oczyma, chore. Jones chce już wracać na Zachód.

Krytycy barbarzyństwa

„Wschód to kariera” – autorem tych słów jest Benjamin Disraeli, powieściopisarz i dwukrotny premier Zjednoczonego Królestwa. Można je czytać jako cyniczną refleksję o tym, że wykształconemu człowiekowi Zachodu tenże Wschód daje szansę na zaistnienie – jeśli nie materialne, to symboliczne: jako cywilizacyjny ekspert, tropiciel osobliwości albo krytyk barbarzyństwa.

Koestler i Jones zaliczają się do tej trzeciej kategorii. Skala chwytających za gardło okrucieństw, które ujawniali, nie zmienia faktu, że zwrócenie oczu ku Związkowi Sowieckiemu zapewniło im sukces i sławę. To prawda, że łaska ich środowisk na pstrym koniu jeździła. Docenienie ich zasług w odsłanianiu zbrodni sowieckiego totalitaryzmu przychodziło albo z opóźnieniem (Koestler), albo okazywało się kruche i uzależnione od politycznej koniunktury (Jones). Jednak gdyby nie Wschód, nie byłoby dziś legendy Koestlera ani lamentu nad utraconą karierą Jonesa. Lament jest zresztą przesadny. Choć życie obu autorów obfitowało w dramaty, to obejmowało też pasma sukcesów.

Koestler i Jones
przyglądają się temu,
jak totalitarna władza
zastępuje przyzwoitość
śmiertelną konsekwencją.
**Cena, którą przyjdzie im
zapłacić za krytykę reżimu,
będzie wysoka.**

Świetnie wykształcony Jones może wybierać między karierą naukową a dziennikarską, ale zostaje doradcą do spraw granicznych Lloyda George’a. To z tej racji w 1930 r. pierwszy raz przekracza granicę ZSRR. Aby nie prowokować cenzorów, w listach z Moskwy udaje uwiedzenie osiągnięciami planu pięcioletniego. Kiedy wraca za Zachód, zaczyna roztaczać krytyczną wizję sowieckiej modernizacji. Jest na nią popyt. Jones pisze cykl tekstów dla „Timesa”, a w swoich relacjach oddaje głos Rosjanom z różnych szczebli społecznej drabiny. Dostaje pracę w Nowym Jorku. Ivy Lee, działacz Ligi Narodów i wzięty lobbysta, potrzebuje konsultanta w sprawach Rosji, chce pisać o niej książkę. Jones zostaje też wynajęty jako przewodnik Henry’ego Johna Heinza II, dziedzica keczupowego kolosa. Ma żądnemu przygód dwudziestolatkowi pokazać prawdziwą twarz ZSRR.

Po powrocie do Nowego Jorku staje się pupilkiem elit. Wygłasza pogadanki o Sowieciach zarówno dla rekinów giełdy, jak i dla członkiń Klubu Matek. Potrafi dopasować się do każdej widowni, ale pozo-

staje krytyczny wobec przedmiotu swoich analiz. Wystrzega się cywilizacyjnej protekcjonalności – chce mówić o doświadczeniu spotkanych ludzi. Kiedy Ivy Lee pada ofiarą kryzysu gospodarczego, Walijczyk wraca do Lloyda George’a, uparcie uwiedzonego Stalinem. Nim znowu ruszy do Rosji, gdzie potwierdzi najgorsze obawy związane z polityką kolektywizacji, leci do Frankfurtu u Adolfa Hitlera i Josephem Goebbelsem na pokładzie, jako jeden z dwóch zagranicznych dziennikarzy zaproszonych przez wodza. Słuchając przemówienia Hitlera, notuje: „Kompletny brak wiedzy o kondycji świata. Winienie za wszystko starożytności systemu”.

Po powrocie z Ukrainy zdąży jeszcze przekazać najważniejszy komunikat: „Wszędzie słychać było wołanie: »Nie mamy chleba. Umieramy«”. Prosowiecka zmowa milczenia sprawi, że przestaje dostawać zamówienia na teksty o państwie Stalina i zмага się z łatką oszusta. Książka Wlekłego nie jest jednak wyłącznie historią spisku, ale także przetrwania. Jones przeczekuje burzę jako lokalny dziennikarz w Cardiff. Kolejna szansa przychodzi od Williama Randolpha Hearsta, magnata mediów bulwarowych. Ma pisać korespondencje z Dalekiego Wschodu. Jednak 28 lipca 1935 r. zostaje porwany w Mandżukuo, na teren okupowanej przez Japonię Mandżurii, a dzień przed trzydziestymi urodzinami zastrzelony. Wlekły dociera do ujawnionych po latach tropów, że za zabójstwem mogła stać Łubianka.

Droga Koestlera biegnie innymi torami. Do Komunistycznej Partii Niemiec zapisuje się na początku lat 30. i działa jako jej agent w czasie hiszpańskiej wojny domowej. Jego dziennikarska przykrywa zostaje zdemaskowana i dostaje wyrok śmierci. Po interwencji wysoko postawionych przyjaciół wychodzi na wolność. Podporządkowuje twórczość obrachunkowi ze stalinizmem i opuszcza partię. „Ciemność w południe” powstaje w trakcie dziwnej wojny (1938-40), kiedy Koestler jest internowany (wciąż podejrzany o agenturę), potem przebywa w areszcie domowym.

Niemiecki manuskrypt powieści zaczyna przekładać kochanka pisarza, Daphne Hardy. „Kochanie, to bardzo dobre. Trochę na tym zarobimy” – miał jej powiedzieć. Oryginał przesyła do szwajcarskiej oficyny, a Hardy przemycza tłu-

W dniu 14 października 2019 roku zmarł w wieku 91 lat

ś.†p.

Antoni hr. Rey

Msza święta żałobna odprawiona została w piątek 18 października 2019 roku o godzinie 10.30 w kościele św. Anny w Wilanowie, ul. Kolegiacka 1a, po czym nastąpiło odprowadzenie do grobu rodzinnego na cmentarzu w Wilanowie.

O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

ŻONA, SIOSTRY I SYNOWIE Z RODZINAMI

POŻEGNANIE

maczenie do Londynu. To jej zawdzięczamy genialny tytuł, który zastąpił odrzuconą przez wydawcę wersję Koestlera „The Vicious Circle” („Błędne koło”). Studentka rzeźby sięga po Księgę Hioba, werset o przebiegłych: „za dnia popadają w ciemność, w południe macają jak w nocy”. Niewiele brakowało, by Koestler podzielił losy Hioba. Kiedy w grudniu 1940 r. „Ciemność w południe” trafia do brytyjskich księgarni, trwają niemieckie naloty, pisarz kolejny raz jest uwięziony (teraz za niemieckie pochodzenie), a Związek Sowiecki zaczyna być możliwym sojusznikiem. Dopiero zapadnięcie żelaznej kurtyny pozwala na odkrycie jego powieści.

Koestler do końca życia pozostał autorytetem od rozliczania stalinizmu. Trzy dekady po jego samobójczej śmierci student Matthias Wessel odnalazł autorską wersję „Ciemności w południe” w szwajcarskim archiwum Europa Verlag. Choć przekład Daphne Hardy z konfrontacji z oryginałem wychodzi obronną ręką, brakuje w nim kilku fragmentów, a terminologia dotycząca sowieckiego aparatu przymusu zostawia sporo do życzenia. Obecne polskie tłumaczenie opiera się na niemieckim manuskrypcie i wypełnia wcześniejsze luki.

Prawda dziennikarska

I Koestler, i Jones pracowali jako dziennikarze, ale poczul się dziennikarzami dopiero wtedy, gdy odmówiono im prawdomówności. Koestler mógł się zaślaniać konwencją powieści, lecz bronił się przed tym jak lew. W celi śmierci Rubaszow odnajduje zagubioną w gorączce rewolucyjnej formę istnienia. Nazywa ją fikcją gramatyczną. Tam, gdzie wyczerpuje się jego zdolność do wytłumaczenia działań partii rozumem historii, wraca myślenie w pierwszej osobie, o własnym losie i cierpieniu. Koestler poprzez fikcję gramatyczną ocala zakładników komunistycznego reżimu, na ławie oskarżonych stawiając zaślepiające ich poczucie obowiązku wobec partii. „Ciemność w południe” zebrala cieżgi za psychologizowanie komunizmu, ale nie można Koestlerowi odmówić tego, że w powieściowym gatunku udało mu się unieść ciężar krytyki reżimu poprzez opis intymnych przeżyć świadków jego moralnego upadku. Może dlatego Jan Karski w czasie wojny opowiadał o gettach Koestlerowi, wierząc, że sugestywniej to opisać.

Okladka
popołudniówki
„Chicago American”
z 4 marca 1935 r.
Temat głodu na
Ukrainie pojawił się
w niej kilkakrotnie
na pierwszej stronie,
pisał o nim reporter
Thomas Walker.



Jonesowi nie odmawiano sugestywności, ale odpowiedzialności za słowa. Odwraca się od niego Lloyd George, a Walter Duranty, laureat Pulitzera za korespondencje z sowieckiej Rosji, pisze artykuł o histerycznych wyolbrzymieniach popełnionych przez Mr. Jonesa. Odbiera mu godność dziennikarza i traktuje niczym emocjonalnie reagującego turystę, którego zasmuciły ukraińskie krajobrazy. Duranty – przedstawiany w biografii Jonesa jako czarny charakter – jest jednocześnie ofiarą hipokryzji systemu polityczno-medialnego, gdzie straszy się Stalinem tylko wtedy, gdy jest on Zachodowi niepotrzebny. Duranty jest zastraszany przez obcych i napominany przez swoich, kiedy próbuje pisać prawdę o ZSRR. Przestaje więc próbować.

Dopiero dwa lata po śmierci Walijczyka, Eugene Lyons, ówczesny korespondent United Press, przyznaje, że akcja zaprzeczania faktowi głodu na Ukrainie i oczerniania Jonesa była wymuszona przez Sowietów i gorliwie wykonana przez zachodnich dziennikarzy.

Wlekły skrupulatnie odnotowuje także każdą z krótkich wizyt Walijczyka w Polsce. Gdyby Jones poświęcił II Rzeczypospolitej więcej uwagi w swoich tekstach, z pewnością zaszedłby za skórę stronnici

kom sanacji, wytykając im nacjonalizm oraz społeczną marginalizację mniejszości. Na recepcie, którą wystawia Polakom, widnieją dwa słowa: tolerancja i Europa. Choć niektóre rozpoznania Jonesa brzmią dziś jak truizmy, trudno mu odmówić odporności na wszelkiej maści propagandę. To czyni go bohaterem na dzisiejsze czasy, ohrzczone epoką postprawdy i politycznego sterowania mediami.

Agnieszka Holland porównuje Jonesa do Jána Kuciaka, słowackiego dziennikarza zamordowanego po ujawnieniu mafijnej sieci otaczającej premiera Roberta Fica. „Był naiwnym entuzjastą i nie sprawiał wrażenia, że ma w sobie tę determinację i odwagę, za którą zapłacił wysoką cenę” – mówi reżyserka. Z perspektywy czasu widać, iż ze strony Jonesa naiwnością była wiara w to, że w demokratycznym kraju dziennikarz nie ponosi konsekwencji za mówienie prawdy. Masa środowiskowego oportunizmu zawsze przeważa jej ciężar.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Arthur Koestler, **CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE**, przeł. Urszula Poprawska, PIW, Warszawa 2019;

Mirosław Wlekły, **GARETH JONES. CZŁOWIEK, KTÓRY WIEDZIAŁ ZA DUŻO**, Znak, Kraków 2019.

Potrąwka z człowieka

ANITA PIOTROWSKA

Czuje się w filmie Agnieszki Holland mocowanie z formą, która nie jest w stanie pomieścić wszystkich szlachetnych intencji, z jakich wyrasta opowieść o Garecie Jonesie.

SĄ HISTORIE, KTÓRE MUSZĄ ZOSTAĆ OPowiedziane, istnieją też postacie, o których nie wolno zapomnieć. Wiedzą o tym zarówno dziennikarze rozpracowujący niewygodne w danym momencie tematy, jak i filmowcy, dla których bycie sygnalistą czy budzicielem sumień jest nie mniej – a czasem nawet bardziej – istotne, niż bycie artystą. Zwłaszcza że indywidualna i zbiorowa pamięć oraz dominująca polityka historyczna czy intelektualne mody arbitralnie wyznaczają własne rankingi cierpienia.

To dlatego filmografia dotycząca Hołodomoru na sowieckiej Ukrainie była do tychczas tak skąpa, a postać walijskiego dziennikarza Garetha Jonesa, który jako pierwszy ów temat wyciągnął na światło dzienne, w ogóle została przez kino przemilczana. Jedno i drugie zdążył „przykryć” Holokaust, nagłaśniane medialnie XX-wieczne czystki etniczne czy inni bohaterowie minionego stulecia.

Obywatel Duranty

Scenariusz Andrei Chalupy, której dziełom przeżył Wielki Głód, odzyskuje oba tematy naraz i stanowi to dla filmu nie lada wyzwanie. Bo jak tu połączyć pionierską dla kina biografię indywidualną z przemilczanym ludobójstwem, szacowanym w samej tylko Ukrainie na ponad trzy miliony ofiar? Jak skojarzyć

uniwersalną, wychyloną w terażniejszość opowieść o rzetelnym dziennikarstwie i jego dylematach z zapomnianą tragedią, wręcz wołającą o epicką rozległość? W nagrodzonym niedawno Złotymi Lwami „Obywatelu Jonesie” udaje się to połowicznie.

Grający tytułową postać James Norton wyspecjalizował się w brytyjskich komediach romantycznych i filmach kostiumowych – stąd pewien staromodny rys, który nosi w filmie Agnieszki Holland: prymusik, nudziarz, idealista, niepasujący do swego miejsca i czasu. A jednocześnie ten sam bohater nie zawaha się, by sfabrykować list polecający byłego premiera Lloyd George’a, dla którego kiedyś pracował w charakterze doradcy ds. zagranicznych, ażeby w 1933 r., już jako dziennikarski wolny strzelec, wyruszyć na własny koszt i na własne ryzyko do Związku Sowieckiego. Jones miał wtedy zaledwie 28 lat i film ani przez chwilę nie pozostawia wątpliwości, że mamy do czynienia z bohaterem niezłomnym.

Zwłaszcza w konfrontacji ze spotkanym w Moskwie Walterem Durantym (Peter Sarsgaard), korespondentem „New York Timesa”, wieloletnim szefem miejscowego biura prasowego gazety i laureatem Pulitzera, ale też kimś, kogo dziś nazwalibyśmy dziennikarskim celebrytą. Scena, w której Gareth trafia na zorganizowane przez niego dekadenskie *sex party*, ustawia definitywnie podział ról: oto balujący za stalinowskie ruble amerykański karierowicz kontra odpowiedzialny za słowa reporter, w dodatku cytujący walijskich poetów.

Być może Duranty byłby ciekawszym materiałem na film, jako że brakuje ekranowemu Jonesowi tych wszystkich wątpliwości i pięknięć, które zwykle stanowią o atrakcyjności bohatera i naszym utożsamieniu z nim. Gareth tymczasem jest w filmie czystą, lecz i pustą kartą, kimś



w rodzaju medium, z którym widz ma wyruszyć w podróż na Ukrainę, by tam, poprzez dziennikarski i jednocześnie ludzki filtr, zaglądnąć w sam środek otchłani.

Pytania o granice człowieczeństwa

Ukraińskie piekło jest u Holland lodowato zimne, dziwnie ciche, wyprane z kolorów. Jones trafia tu w bydlęcym wagonie, przechytując pilnującego go sowieckiego szpicla. W pociągu trafia na otepiałych z głodu ludzi-zombie. Scena, w której powoli, w czasie rzeczywistym, bohater obiera jaskrawopomarańczową mandarynkę na oczach wygłodniałych wieśniaków, retorycznie działa mocniej nawet niż widok przydrożnych trupów, opustoszałych chałup, niż ciżba tłocząca się na stacjach przeładunkowych zboża czy osierocone dzieciaki śpiewające głodową pieśń na cześć Stalina. Podczas tej ostatniej konfrontacji film przechodzi w wymiar zgoła fantasmagoryczny, a upiorna piosenka będzie prześladować Garetha aż do końca. Odsłania się tu kolejny, ledwie muśnięty potencjał filmu, który równocześnie próbuje dawać historyczne świadectwo i zaglądnąć głęboko w duszę bohatera.



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek

o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM

| Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój

| 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane

– 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

| Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



James Norton jako Gareth Jones w filmie „Obywatel Jones”

Samotna ukraińska odyseja Jonesa pośród głodu i chłodu, stawiająca kolejne pytania o granice człowieczeństwa i częstująca obserwatora potrawką z ludzkiego mięsa, ma stanowić kontrapunkt dla postawy akredytowanych w Moskwie dziennikarzy. Dla tych wszystkich pożytecznych idiotów, hołubionych przez sowieckie władze za teksty o sukcesach planu pięcioletniego i uciszanych, również w trybie ostatecznym, za wszelkie próby wyjścia poza propagandowy matriks.

Nie dokonując łatwej redukcji *ad Stalinum*, film Holland stawia pytanie o to, jaką rolę ma do spełnienia w totalitarnym (ale czy tylko?) systemie osoba najwyższego zaufania publicznego, i jaka może być cena głoszenia przez nią prawdy. Płatania kolorowych kabli w moskiewskiej centrali telefonicznej staje się w „Obywatelu Jonesie” metaforą każdego systemu kontrolującego przepływ informacji, czy to z pobudek politycznych, czy ekonomicznych.

Maszyna dziejów

Czuje się w filmie mocowanie z formą, która nie jest w stanie pomieścić wszystkich szlachetnych intencji, z jakich ta opowieść wyrasta, albowiem mieszanica filmu biograficznego, thrillera szpie-

gowskiego i apokaliptycznego horroru wydaje się niewystarczająca i rozpada się na poszczególne epizody. Zanim dotkniemy samej istoty, czyli spotkania Jonesa z ręcznie sterowaną katastrofą humanitarną na Ukrainie, czeka nas przydługie preludium, a potem jeszcze walijski epilog, spięte efektowną klamrą w postaci George’a Orwella, piszącego na maszynie swój „Folwark zwierzęcy”, inspirowany w znacznej mierze doniesieniami Jonesa. Ta akademickość formy przysłuży się zapewne edukacyjnej wymowie filmu, trudno więc krytykować go za rzetelne wypełnienie owej misji. Czasami migną nam przed oczami przebłyki brawury – jak wtedy, gdy pociąg zmierzający na wschód zostaje „przepisany” na czarno-białe archiwalia, stając się rozpędzoną maszyną dziejów, a równocześnie ironicznym hołdem złożonym awangardowemu kinu sowieckiemu lat przedwojennych. Wtedy właśnie odsłania się ogromny, acz niewykorzystany potencjał tej historii – emocjonalny, polityczny i filmowy. ©

OBYWATEL JONES (MR. JONES)

reż. Agnieszka Holland. Prod. Polska/Wielka Brytania/Ukraina 2019. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 25 października.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [26 X – 1 XI]

1. Kobięca (nie) przyjemność



Dokumentalny, reż. Barbara Miller, Niemcy/Szwajcaria 2018, Canal+ Dokument, 26 X, 21.20

Pochodzą z różnych kultur i środowisk, ale łączy je jedno: są kobietami, które rzuciły wyzwanie nierównościom ze względu na płeć. Dokument przedstawia pięć działaczek i artystek, opowiadających o tym, jak kobieca seksualność bywa represjonowana w patriarchalnych społecznościach.

2. Gdyby ulica Beale umiała mówić



Dramat, reż. Barry Jenkins, USA 2018, HBO GO, od 27 X Twórca oscarowego filmu „Moonlight” przenosi na ekran

powieść Jamesa Baldwina. Efektem jest zmysłowy i stylowy melodramat o parze młodych Afroamerykanów z lat siedemdziesiątych, których związek zostaje wystawiony na próbę z powodu uprzedzeń rasowych.

3. Varda według Agnès



Dokumentalny, reż. Agnès Varda, Francja 2019, vod.pl

Ostatni film zmarłej w tym roku legendy kina to zarazem jej osobista podróż przez własne życie i twórczość, przedstawiona z charakterystyczną dla tej reżyserki werwą i humorem, bogato ilustrowana archiwaliami.

4. Złodziejaszki



Dramat, reż. Hirokazu Koreeda, Japonia 2018, CHILI Czy rodzina to więzy krwi, czy wspólnota

bliskich sobie nawzajem ludzi? Film japońskiego mistrza raz jeszcze rewiduje definicję kina rodzinnego, tym razem osadzając je w mocnym, acz przewrotnie ukazanym kontekście społecznym, czytelnym w każdej kulturze. Złota Palma w Cannes w 2018 r.

JAN

Klata:

Monetyzacja uśmiechu



PODOBNO W CHINACH DOCHODZĄ DO ŚCIANY. Podobno mają technologię umożliwiającą kupowanie produktów przy pomocy uśmiechu. Dalej pójść już się nie da.

Brzmi dość kuriozalnie, śmiech pusty ogarnia, człowiek krzywi się ironicznie, ale ten się śmieje, kto się śmieje w kułak, a nie do kamery, bowiem kamery zaraz będą wszędzie... i człowiek ciężko się zdziwi, patrząc na topniejące konto w Bank of China (innych banków nie uświadczysz).

Istota ludzka jako interfejs monetyzacji – czy nie brzmi pięknie, błogo, przyszłościowo? Ewolucja, nieubłagana konsekwencja technopostępu, że ho, ho! Konsekwentnie, w górę, aż do siódmego nieba: po co się męczyć z banknotami, po co się troskać kartą kredytową, po co płacić telefonem czy innym chipem, skoro można się po prostu uśmiechnąć? Cóż za perspektywa!

Wydźmy poza skanery twarzy w supermarketach. Patrząc na zagadnienie z perspektywy sztuk performatywnych, najlepiej wróżę standaperom oraz innej maści komikom – albowiem oni będą opływać w dostatki zalewani przelewami od widzów. Kinematografia? Filmy wojenne znikną z ekranów, nawet te o Legionach, z wyjątkiem najbardziej nieudanych, oczywiście. Najgorsze, najbardziej kuriozalne horrory przyniosą, paradoksalnie, duże zyski, w przeciwieństwie do horrorów zrealizowanych odpowiednio strasznie, jak serial „Wiedźmin”. Nie chcę szukać dziury w całym, ale technologia płacenia za pomocą uśmiechu zapewne nie uwzględni jeszcze uśmiechów kwaśnych, ironicznych, a przede wszystkim fałszywych (czyli środowiskowych) – mam nadzieję, że Chińczycy pełną parą pracują nad rozwiązaniem problemu płacenia fałszywym uśmiechem, tuszę, że kary będą drażniące.

A co z teatrem? W sumie kogo to obchodzi, jednakowoż z kronikarskiego obowiązku zauważę, że najprawdopodobniej w teatrze nikt nie będzie grał Ajschylosa, Sofoklesa i Tomczyka, za to powróci do łask partyzancka śpiewogra „Dziś do ciebie przyjść nie mogę” – naprawdę, kupa śmiechu. Jeśli chodzi o literaturę, hmmm, ciężko powiedzieć, nie będzie łatwo zamontować skanerów w celulozie, chyba że szybciotko przejdziemy na e-booki i generalnie internety. Wtedy książki Maxa Kolonko i fejsbuniowe wpisy boksera Twardocha zatryumfują nad Dostojewskim.

I bardzo dobrze. Po co Dostojewskiemu pieniądze? ©

Lektor:

Nobel sprzed lat



■ Jaroslav Seifert
KSIĘGA POCAŁUNKÓW. POEZJE WYBRANE
Wybór i przekład Leszek Engelking.
Officyna, Łódź 2019, ss. 314.

35 LAT TEMU LAUREATEM literackiego Nobla został Jaroslav Seifert. Był pierwszym czeskim pisarzem wyróżnionym tą nagrodą, a zarazem ostatnim (miał wtedy 83 lata) ze wspaniałej plejady poetów debiutujących w latach 20. Dziękując za wyróżnienie, przywołał nazwiska Vítězslava Nezvala, Josefa Hory, Františka Halasy i zmarłego cztery lata wcześniej wielkiego Vladimíra Holana.

W elegii poświęconej Holanowi pisał: „Przeżyłem wszystkich poetów / swojego pokolenia...”. Dla komunistycznych władz nagroda była niewygodna, bo oznaczała wsparcie niezależnego nurtu czeskiej kultury. Sam Seifert, w młodości komunista, już w 1929 r. został z partii komunistycznej wykluczony. Nie miał temperamentu działacza, ale umiał zdobyć się na odważne gesty. Na zjeździe Związku Pisarzy

w 1956 r. upomniął się o twórców prześladowanych i więzionych. Po inwazji wojsk Układu Warszawskiego wybrano go na prezesa Związku, wkrótce zlikwidowanego. Do nowego nie wstąpił, jako jeden z pierwszych podpisał natomiast Kartę 77, manifest opozycji. Jego wiersze z lat 70., a także wspomnienia ukazywały się najpierw w samizdacie. Umarł w styczniu 1986 r., nękany do końca przez wysłanników władzy, którzy obawiali się jego publicznych wypowiedzi. Po Noblu ukazały się u nas dwa wybory z Seiferta, w opracowaniu Adama Włodka i Józefa Waczkowa. „Księga pocałunków” to właściwie dwie książki w jednej, bo jedna trzecia to solidna monografia autorstwa Leszka Engelkinga, zatytułowana „Melancholijny czarodziej”. Wybór dokonany został z całej twórczości Seiferta, od wczesnych

awangardowych utworów poprzez fazę przynależności do nurtu zwanego poetyzmem, z naciskiem na dwie ostatnie dekady, otwarte tomem „Koncert na wyspie” (1965). Subtelny liryk, wirtuoz formy zmienia wtedy stylistykę, tworząc, jak zauważa Engelking, „wiersze skromnie zwyczajne, a porażające swoją trudną do wytłumaczenia niezwykłością (...), pisane jak gdyby z perspektywy brzegu śmierci, pełne ogromnej prostoty, łagodnej autoironii i statecznej ludzkiej mądrości”. Jeden z wierszy późnego zbioru „Kolumna morowa” zaczyna się tak: „Do milionów linijek wierszy na świecie / dodałem zaledwie kilka strof. / Nie były wcale mądrzejsze niż piosenka świerszczy. Wiem, wiem. Wybaczcie. / To już koniec”. A kończy się wyznaniem: „Wierzę, że lepiej / szukać pięknych słów / niż zabijać i mordować”. ©©

PAWEŁ

Bravo: Kawiarnie, których mi nie żal



CZTERYSTA EURO. TYŁE GRZYWNY OD ZE-SZŁEGO LATA PŁACI nieopatrzny wędrowiec, jeśli zachce mu się przysiąść na schodach zamykających plac Hiszpański w Rzymie. To nie pierwszy taki przepis, kiedyś już pisałem o podobnym idiotyzmie we

Florencji, zadziwiającym jak na kraj słynący ze wspaniałej kulturotwórczej skłonności do życia „na powietrzu”. Chodzi, rzecz jasna, o pieniądze, bo człowiek jak już siądzie, to przekąsi kanapkę lub batonik, od czego ubywa klientów okolicznym przybytkom zdzierstwa.

Ot, choćby takie Caffè Greco tuż obok placu, kawiarnia założona w połowie XVIII wieku, brzemienna w tradycje i anegdota. To tam Giacomo Casanova, jako asystent ważnego kardynała, popełnił sławetną pomyłkę – zgrabną postać o powabnym głosie, której zaczął okazywać względy, okazała się znanym kastratem. Tamże popijali Byron, Goethe, Mickiewicz albo Stendhal, Keats czy Sienkiewicz, potem Miłosz, Turowicz – zestawy literackich kart można tasować do woli. Z czasem miejsce straciło towarzyską i polityczną rangę, ale przetrwało nienaruszone i można było zasiadać z duchami na kawę, pod warunkiem że człowiek był gotowy kosmicznie przepłacić. Interes na pewno nie był na minusie, jednak sześciokrotna podwyżka czynszu okazała się nie do przeknięcia i w tym tygodniu miał się zjawić komornik, by opieczetować lokal. Całość aż do ostatniej łyżeczki ma urzędowy status zabytku. Resort kultury już zapowiedział, że nie pozwoли przerobić tego na luksusowy butik.

Miasto, które tonie w śmieciach, przemocy, chaosie, gdzie dysfunkcja usług publicznych czyni życie koszmarem znanym z filmów o fawelach, gdzie tylko w tym roku spłonęło 25 miejskich autobusów, gdzie zza pleców każdego asesora i radnego wypada mafijny bonzo, miasto, krótko mówiąc, nie do życia, piękne tylko z oddali i przez grubą szybę, odnosi na razie sukcesy na polu ścigania ludzi z kanapką w kieszeni, a od teraz będzie też stać na straży zabytkowej rupieciarni.

Nie ma w przestrzeni publicznej miejsc równie smutnych i zbędnych jak „ważne” kawiarnie, które straciły ducha, bywalców i znaczenie. Im bardziej obiektywnie piękna miejscówka i wytarty mosiądz na gałce w drzwiach, tym bardziej ziele pustka po istocie tego osobliwego zjawiska kultury europejskiej. Po gwarze, na który składa się nie sama publiczność o określonym statusie, ale przepełniająca ją pewność, że znajduje się w najważniejszym miejscu. Dla niej sam akt zasiadania przy stolikach ma specjalny sens, popycha dzieje do przodu, a kulturę ku gorze.

Fascynujące zjawisko – ten kapryśny mas pokazania się akurat tu, a nie tam. Jest jak dotknięcie magicznej różdżki, czasem trwa długo, ale

zawsze ma swój koniec. Z jakiegoś powodu Mała Ziemiańska w latach 30. straciła znaczenie na rzecz pobliskiego IPS-u, a ten też by zmarniał, gdyby nie zmiotła go wcześniej wojna. To jeden z paru korzystnych aspektów zburzenia Warszawy: cóż to byłaby dziś za żenada oglądać zakonserwowany stolik na półpięterku, gdzie Lechoń krzywo patrzył na Krzywicką, która chyba tylko po to uległa Boyowi, żeby tam na chwilę zasiaść. Nie umiałbym też odwiedzać odrestaurowanej Sztuki przy Lesznie – ta kawiarnia działająca w środku getta to skądinąd najcelniejszy dowód, że od smaku kawy i lukru na ciastkach ważniejsza dla bywalca jest potrzeba, żeby się pokazać, żeby trwać w przyzwyczajeniu, ono może ocalić resztki miłości własnej w środku najgorszego piekła.

Są miejsca, które potrafią się odrodzić pod nowym adresem (krakowski Piękny Pies ma już czwarty), czasem to samo wnętrze po przerwie nie potrafi już zapłonąć gwarem, jak haniebnie zarżnięta warszawska Chłodna. To była pramatka mody na zjawisko klubokawiarni – rozumiałem ten doklejonny przedrostek „klub” jako próbę ucieczki przed drobno-mieszczanskimi skojarzeniami, ale nazwa w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, podobnie jak sama kawa nie jest warunkiem koniecznym – na tejże Chłodnej była toksyczna i wszyscy pili piwo.

Skokiem w jeszcze zabawniejszą smakowo przyszłość może się okazać nowe miejsce, którym światek wokół warszawskiego Zbawixu próbuje zatrzymać proces powolnego zamierania mody na siebie. Tuż obok placu wyrosła pijalnia ziół, przekładająca piękną polską tradycję naparów, kropelek i wyciągów na wrażenia i estetykę bliską mieszkańcom opakowanej sterylnie nowoczesności. Tam nie pachnie babciną szafką i zaśnieżonym Herbapolem, raczej newage'ową obietnicą „zgody z naturą”.

Do jedzenia świetna zupa z pokrzywy, desery od zwyczajnych podlaskich serników, po przedziwne leguminy. I tużyny kombinacji ziółek w kubkach oraz najlepszy, jaki piłem poza własnym domem, sok z kiszzonego buraka. Jestem pewnie nieobiektywny, bo świetnie się czuję w świetle ziół. Podobna mi się ta logika: skoro już tracić czas, bo wszak kawiarnia w każdej postaci to jeden z ważniejszych znaków rozpoznawczych klasy próżniaczki, to tracić go zdrowo. Na sezon grypowy polecam jeżówkę. Prześladowuję nią całą zimę bliskie mi osoby, ale z dobrym skutkiem. ©P

*Ależ to było indiańskie lato! Ale wszystkie anomalie pogodowe, podobnie jak kawiarnie, przemijają. Na powrót szarugi pocieszymy się ciastem, które zwykłem nazywać „jesień za oknem”. Pestkujemy 1 kg **węgierek** i dzielimy na połówki. Rozpuszczamy w rondelku 200 g **masła**, mieszamy z 150 g **czukru**, studzimy.*

*W misce stopniowo łączymy tę masę z 350 g **białej maki***

*i 2 szczyptami **sol**i. Powstanie grudkowate ciasto.*

2/3 ciasta wysypujemy na dno dużej tortownicy wyłożonej papierem do pieczenia, układamy gęsto na sztorc połówki śliwek, by sok spływał w dół.

*Pozostałe ciasto mieszamy z łyżeczką **cynamonu** i posypujemy po wierzchu. Pieczemy w 180 stopniach przez 30-40 minut, aż wierzch się zrumieni, a śliwki będą się rozpadać. Najlepsze, jak stężeje na drugi dzień, kiedy sok dobrze wsiąknie w dno i je scali.*





Po najszybszym biegu: Eliud Kipchoge,
Wiedeń, 12 października 2019 r.

SERCE BIEGACZA

„Jeśli brak ci dyscypliny, zawsze będziesz niewolnikiem nastrojów i pragnień”
– twierdzi Eliud Kipchoge, pierwszy człowiek, któremu droga do wolności
na trasie maratonu zajęła mniej niż dwie godziny.

MAREK RABIJ

CHODZI O DYSTANS 42 KILOMETRÓW I 195 METRÓW. CHOĆ odległość między Atenami a miejscowością Maraton, którą 12 września 490 r. p.n.e. pokonał niejaki Filippides, wynosi niespełna 38 kilometrów, to przecież bieg maratoński nie jest rekonstrukcją tego wydarzenia.

Cała trudność maratonu bierze się stąd, że rywalizacja odbywa się na dystansie jedynie 42 kilometrów – dostatecznie krótkim, by biec go szybko i toczyć z innymi zawodnikami rywalizację o sekundy, i zarazem na tyle długim, by w czasie takiej próby otrzeć się o granice fizjologicznej i psychologicznej wytrzymałości.

Obowiązują trzy fundamentalne zasady: trening, odżywianie i kontrola tempa. Jeśli w miesiącach poprzedzających start nie wytruchtało się po kilkadziesiąt kilometrów tygodniowo, uzupełniając trening tlenowy ćwiczeniami siły biegowej, można zapomnieć o dobrym czasie, a może nawet o dotarciu do mety. A jeśli już na trasie zbraknie ci pokory i zaczniesz pomijać punkty żywieniowe lub złamiesz kanon *negative split*, taktyki polegającej na stopniowym zwiększaniu prędkości biegu, królewski dystans okaże całą swoją potęgę gdzieś między 30. a 40. kilometrem, zmieniając cię w bezsilną zbitkę zesztyniałych mięśni. Maraton jest sędzią sprawiedliwym, który wynagradza za dobre przygotowanie, a karze leniwych i zbyt pewnych siebie.

Te 42 kilometry od pewnego momentu rzeczywiście biegnie się głową. Kiedy nogi zaczną domagać się przerwy, płuc będzie brakować powietrza, a na źle zabezpieczonych

sutkach koszulka wydrze krwawe otarcia, jedynie marzenie o finiszu będzie popychać ciało w stronę mety.

Do zwycięstwa w tej dyscyplinie z pewnością potrzebna jest także łaska niebios. Dopowiedzmy więc: bóg maratończyków kibicuje od dawna Afryce, skoro w rankingu najlepszych czasów na tym dystansie 168 pierwszych pozycji zajmują dziś czarnoskórzy sportowcy. Na dodatek aż jedenaście razy pojawia się w tym zestawieniu nazwisko 35-letniego dziś Eliuda Kipchoge, który parę lat wcześniej wypadł z kenijskiej kadry biegaczy średniodystansowych i dla odmiany postanowił spróbować maratonu.

12 października w Wiedniu Kipchoge kolejny raz zmierzył się z królewskim dystansem. Kiedy minął linię mety, elektroniczny zegar pokazał czas, jakiego w maratonie nie osiągnął dotąd nikt: godzina, pięćdziesiąt dziewięć minut i czterdzieści sekund.

Filippidesowi droga spod Maratonu zajęła ponad sześć godzin więcej.

Warunki idealne

Trzeba uczciwie zaznaczyć, że tego dnia wszystko zagrało perfekcyjnie. Niedzielny poranek w Wiedniu zgodnie z prognozami okazał się chłodny, pochmurny i w miarę bezwietrzny. Stolicę Austrii wybrano na miejsce próby ze względu na korzystną, zaledwie godzinną różnicę czasu między miejscowością w Kenii, w której Kipchoge przygotowywał się do pobicia rekordu. Mimo nie najlepszej (dla spacerowiczów) pogody

→

⇒ dopisali widzowie, których doping, zwłaszcza na ostatnich metrach, jest wielkim wsparciem.

Pętla po wiedeńskim Praterze spełniała wprawdzie kryteria, jakie narzuca Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Lekkoatletycznych IAAF (w linii prostej odległość od startu do mety nie może przekraczać 21 kilometrów i 97 metrów, a spadek różnicy wzniesień – jednego metra na kilometr), ale tym razem w biegu uczestniczył jedynie Kipchoge wspomagany przez samochód elektryczny z laserowym rzutnikiem wyświetlającym na asfalcie linię wskazującą założone tempo oraz 41 zmieniających się na trasie pacemakerów – biegaczy, których zadanie polegało również na kontroli szybkości oraz na osłanianiu mistrza od wiatru. Dopiero na ostatnich kilkudziesięciu metrach szpaler pomocników rozsunął się na boki, a pewny już sukcesu Kipchoge w sprinterskim tempie pognął samotnie do mety.

Przeciętnie wytrenowany amator jest w stanie przebiec maraton w tempie około pięciu i pół minuty na kilometr, co zapewnia czas poniżej czterech godzin – i mniej więcej w taki wynik celuje większość początkujących maratończyków (o ile ich założeniem nie jest po prostu pokonanie królewskiego dystansu i zmieszczenie się w limicie, który na większości imprez ustawia się z myślą o debiutantach w okolicach 5,5-6 godzin). W trakcie udanego ataku na limit dwóch godzin Kipchoge poruszał się tymczasem w średnim tempie aż dwóch minut i pięćdziesięciu sekund na kilometr!

Niewytrenowany śmiałek, który spróbowałby pobiec równie szybko na elektrycznej bieżni, po kilkunastu sekundach wyładowałby najpewniej na podłodze.

Bez tlenu ani do progu

Odpowiedź na pytanie, w jaki sposób organizm kenijskiego mistrza był w stanie podołać takiemu wysiłkowi, zawiera się w jednym medycznym terminie: próg tlenowy. W uproszczeniu przyjmijmy, że jest to moment, w którym w poddanych wysiłkowi mięśniach z braku dostatecznej ilości tlenu zaczyna rosnąć poziom mleczanów będących produktem ubocznym spalania węglowodanów. To z kolei skutkuje jeszcze większym upośledzeniem metabolizmu, aż w końcu prowadzi do stanu kompletnego wyczerpania, który maratończycy opisują jako „uderzenie w ścianę”.

Osoby o słabej kondycji fizycznej próg tlenowy mają zazwyczaj nisko, bo na poziomie zaledwie 50-60 proc. tętna maksymalnego (właściwie należałoby odwrócić ten kierunek rozumowania, bo to właśnie niski próg tlenowy daje zespół objawów nazywanych zbiorczo „słabą kondycją”). Systematyczny trening pozwala jednak nauczyć organizm, w jaki sposób podczas wysiłku ma wycisnąć z dostarczanych mu węglowodanów i tłuszczu jak najwięcej energii bez zwiększania produkcji szkodliwych mleczanów. Długie spokojne biegi, zwane przez maratończyków „wybieganiami”, podnoszą próg tlenowy, który u wytrenowanych sportowców może wzrosnąć nawet do 85 proc. tętna maksymalnego (to ostatnie nie poddaje się już niestety tak łatwo treningowi). Gdyby porównać organizm biegacza do samochodu, można by rzec, że trening nie tyle zwiększa pojemność skokową silnika, ile dodaje do układu napędowego kolejne biegi. Dzięki temu ścigacz, jakim jest Eliud Kipchoge, na tych samych obrotach

może pędzić dwa razy szybciej od przeciętnego biegacza-amatora. Ale i jemu może zabraknąć paliwa.

Jerzy Skarżyński, trzykrotny medalista mistrzostw Polski seniorów w maratonie: – Mam za sobą czterdzieści maratonów i liczę tu jedynie starty zawodnicze. Raz, w Hiroszynie, zdarzyło mi się uderzyć w ścianę. Ale wtedy po prostu nie od poczęłem dostatecznie przed startem. Jeśli cierpisz na trasie, to znaczy, że popełniłeś jakieś błędy, na przykład źle oceniłeś swoje umiejętności, nie trafiłeś z taktyką lub zlekceważyłeś konieczność odżywiania i nawadniania na trasie.

Wyjadacze mawiają, że połowa maratonu to nie pół maratonu. Rzeczywiście, pierwsze 21 kilometrów to zaledwie przydługa, czasem wręcz nudna uwertura do wielkiego finału, który rozgrywa się na trzeciej i czwartej ćwiartce dystansu. Czołówka biegnąca na czas gdzieś w pierwszym kwadransie trzeciej godziny melduje się na 30. kilometrze, podczas gdy ci, którzy walczą o złamanie czterech godzin lub po prostu marzą o dotarciu na metę o własnych siłach, dopiero docierają do 15-16. kilometra. Amatorzy, których do nawrotki na półmetku dzieli jeszcze kilka kilometrów, mogą więc tylko odprowadzić spojrzeniem elitę, która przeciwnym pasem mknie już w stronę mety.

Skarżyński: – Gdzieś koło 25. kilometra zaczyna się zwykle zrywanie czołowej stawki, ale to bardziej wojna nerwów. Prawdziwe ściganie zaczyna się na kilka kilometrów przed metą. Samotna ucieczka jest zawsze bardziej wyczerpująca od pościgu za liderem. Ten z przodu narzuca tempo, do którego wystarczy się dostosować.

W tym kontekście, jak zauważa polski maratończyk, łatwiej też zrozumieć, jak cenne było wsparcie i laboratoryjne niemal warunki, które Kipchoge miał zapewnione w trakcie wiedeńskiej próby. Przede wszystkim nie było rywali. Kenijczyk walczył wyłącznie ze sobą. Jedzenie i napoje podawano mu też w dowolnym momencie z roweru. Podczas maratonów punkty żywieniowe czekają tymczasem co kilka – zazwyczaj co 5-7 – kilometrów, a zawodnik musi przy nich zwolnić, żeby chwycić jedzenie lub kubek z napojem. Elita walczy o sekundy, każdy ruch ma więc tu znaczenie: trenerzy sugerują, by 200-220 mililitrów płynu pić w dwóch ratach, pierwszy kubek przy pierwszym stoliku, drugi chwycić na ostatnim i ruszyć z nim w trasę. Pić trzeba nawet wtedy, kiedy się nie chce. Uczucie pragnienia pojawia się dopiero wtedy, gdy organizm straci około dwóch procent wody, co z kolei przekłada się na spadek tempa biegu o jakieś 3 sekundy na kilometr. Kryzys na 25. kilometrze może więc kosztować do mety już 50 sekund straty do rywali.

– Obecność pacemakerów, którzy biegli przed Kipchoge, zwalniała go z konieczności pilnowania tempa, kalkulowania strategii. Można powiedzieć, że zwalniali go z myślenia, a to proces bardzo energochłonny – zauważa Skarżyński.

O tym akurat najwięcej mogą powiedzieć debiutanci.

Strach przed bieganiem

W powietrzu unosi się charakterystyczny mdły zapach maści rozgrzewającej. Na kilka dni przed startem każdy nerwowo zagląda do prognoz pogody, licząc na to, że nie będzie za gorąco. Optymalna temperatura to 8-10 stopni Celsjusza. Podczas biegu organizm nie traci wtedy energii na chłodzenie, ale trudniej też rozruszać mięśnie przed startem – zwłaszcza

gdy sterczy się w ogonie kilkutyśięcznego tłumu maratończyków i na rozgrzewkowe skłony oraz skipy musi wystarczyć metr do pleców sąsiada z przodu. Weterani żartują i wymieniają się dykteryjkami z poprzednich startów. Debiutanci truchają nerwowo w miejscu, próbując ukryć zdenerwowanie. Przed nimi, po raz pierwszy w życiu, 42 kilometry i 195 metrów wielkiej niewiadomej. Czy zaplanowane tempo nie okaże się zbyt wyśrubowane? Czy wytrzymają kolana? Żołądek nie zbuntuje się na kolejne porcje bananów, żelu z kofeiną i izotoniku? Podczas przygotowań niemal każdy otarł się o dystans 30 kilometrów, niektórzy być może zrobili 5-6 kilometrów więcej, ale w każdym poradniku dla początkujących stanowczo odradzają przecież trening na pełnym dystansie.

Robert Sarnecki ze Słupska przygotowania do swojego pierwszego maratonu w Dębnie zakończył na 25-kilometrowym wybieganiu. – Miałem biec trzydzieści, ale zaczęło padać, czułem się źle i odpuściłem z założeniem, że dobiegam co trzeba w kolejnym tygodniu – wspomina swój debiut.

Kalendarz w pracy i choroba córki pokrzyżowały plany i na starcie maratonu Sarnecki pojawił się, jak mówi, przygotowany na 75 procent. – Piekło zaczęło się na 28. kilometrze. Nogi miałem jak z betonu, biegłem praktycznie bez zginania ich w kolanach. Chyba przegapiłem przez to punkt żywieniowy na 30. kilometrze. Do kolejnego już nie dobiegłem. Ocknąłem się w karetce z maską tlenową na twarzy.

Dziś Robert ma na koncie cztery maratony. Ostatni, w Berlinie, przebiegł w dwie godziny i pięćdziesiąt cztery minuty. – Żona mówi, że zwariowałem, bo faktycznie, co tydzień przebiegam około 70 kilometrów. Może nawet padać z nieba żabami, pójdę trenować i tak. W koszulkę XXL z pierwszego maratonu można dziś zapakować ze dwóch takich biegaczy jak ja. Schudłem 14 kilo.

Renata z Warszawy, 48 lat: – W ścianę przywaliłam na drugim maratonie. Do pierwszego przygotowywałam się z trenerem i pobiegłam grzecznie według jego wskazówek. Na drugim byłam za mądra. Zaczęłam przyspieszać już od 15. kilometra, bo wydawało mi się, że zaplanowałam bieg zbyt zachowawczo. Efekt był taki, że dyszkę dalej biegłam już kilometr wolniej o pół minuty, a siedem ostatnich kilometrów po prostu przeszłam. Czas na mecie: pięć godzin i dwadzieścia minut. Godzinę gorzej niż w pierwszym starcie.

Karolina Pasek, również z Warszawy: – Moja ściana czekała na mnie za metą maratonu w Krakowie. Biegłam na swoje sto procent, inaczej nie umiem. Pamiętam, że na metę wbiegłam z doskonałym czasem trzech godzin i czterdziestu pięciu minut, dostałam medal za ukończenie, a potem ocknąłam się w szpitalu. Mąż z dziećmi czekał na mecie, widzieli, jak mnie niosą do karetki. Obiecałam sobie, że drugiego startu nie będzie, chłopcy od tamtej pory na samą wzmiankę o maratonie reagują strachem.

Granice wytrzymałości

Przeciętny maratończyk w Polsce kończy rywalizację z czasem czterech godzin i trzydziestu minut. Zazwyczaj jest mę-

czyzną koło czterdziestki. Często także osobą, dla której przed trzydziestką sport praktycznie nie istniał.

Co roku w Polsce odbywają się setki biegów maratońskich. W tym roku w samym styczniu było ich 15. W lutym – 10. Marzec przyniósł już 30 imprez z metą ustawioną 195 metrów za 42. kilometrem. Kwiecień – 14. Maj – 19. Czerwiec – 12. Organizatorzy największych maratonów w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu i Dębnie mówią wręcz o „przegrzaniu podaży”, bo liczba chętnych do startów przestała rosnąć. Ale to wciąż tysiące osób. Wielu startuje też za granicą: od klasyków w rodzaju maratonu nowojorskiego, po ekstremalne wyzwania typu maratonu bajkalskiego, który odbywa się w warunkach syberyjskiej zimy na tafla jeziora Bajkał.

Robert Sarnecki: – Maraton to jedyna dyscyplina sportowa, w którą naprawdę warto się wkręcić. Jasne, że nigdy nie będę biegał tak jak Kipchoge. Nie będę również drugim Lewandowskim czy Usainem Boltem, ale grając w piłkę czy biegając na sto metrów zawsze będę się jedynie bawił. Za to na starcie maratonu jestem zawodnikiem, który za każdym razem rywalizuje z sobą samym. Na wiosnę w Krakowie spróbuję zejść poniżej dwóch godzin i pięćdziesięciu minut. Uprawiam więc taki sam sport, jak Kipchoge.

Renata: – Leczę się na depresję. Od kilkunastu lat, ale dopiero odkąd zaczęłam biegać, zaczęłam też wierzyć, że dam radę z tego wyjść.

Eliud Kipchoge wierzy, że jego wiedeńskie osiągnięcie usunęło psychologiczną barierę, która do tej pory utrudniała „złamanie” dwóch godzin na trasie klasycznego maratonu, gdzie wynik mógłby zostać oficjalnie uznany. Pytanie, kto miałby to zrobić, skoro nawet sam mistrz w zwykłej ulicznej rywalizacji dzierży jak dotąd rekord świata słabszy od wyniku z Wiednia aż o minutę i pięćdziesiąt dziewięć sekund!

Michael Joyner, student medycyny zafascynowany lekką atletyką, w 1991 r. opublikował głośny artykuł naukowy, w którym dowodził, że fizjologiczną granicą wyniku, jaki w maratonie może osiągnąć w optymalnych warunkach perfekcyjnie przygotowany zawodowiec w szczytowej formie, jest godzina, pięćdziesiąt siedem minut i pięćdziesiąt osiem sekund. Kipchoge w październikowej próbie pobiegł tylko o minutę i czterdzieści dwie sekundy wolniej – co przy tym tempie oznacza dystans niespełna 599 metrów. Doprawdy, rzadko kiedy udaje się wyznaczyć koniec historii z równą dokładnością.

Tyle że historia maratonu jest przecież opowieścią właśnie o przesuwaniu granicy niemożliwego. Australijczyk Derek Clayton, który w 1969 r. jako pierwszy człowiek przebiegł ten dystans w czasie poniżej dwóch godzin i dziesięciu minut (jego rekord 2:08:33 czekał na pobicie aż 12 lat), powtarzał wielokrotnie, że kolejnym pokoleniom maratończyków za jego życia uda się wyśrubować ten rekord najwyżej do dwóch godzin i sześciu minut.

17 listopada Clayton skończy 77 lat.

© MAREK RABI

STANISŁAW

Mancewicz:

O przemijaniu



W PUSTCE PRZEŻYWAMY DNI PO WYBORACH i – rzecz trzeba – w jakiejś jakby czczości patrzymy wokół. Mało ci? – ktoś w nas pyta – po czterech latach wciąż ci mało? A, mało! Weselisko długo trwało. Czego na nim zabrakło – natychmiast donoszono. Dolewano. Dosmaczano. Salę dogrzewano i człowiekowi się wydawało, że tak już będzie zawsze. A teraz? Wszystko wyjedzone, brudne talerze leżą niesprzątnięte, plamy wstrętne tu i ówdzie, kielonki niedopite, obrusy wyszmaczone, kość się wała, jadłospisy pomięte. Puchy. Fui. Nie to co na początku poprzedniej kadencji.

Bankiet wtedy ruszył z kopyta. Jadłospisy czytano z entuzjazmem, na głos czytali jedni, drudzy cichcem. I dobrze. Entuzjazm był powszechny, jak to w Polsce, oparty na marzeniach o wsadzaniu, o Berezie, o celi plus, że ten pójdzie siedzieć zaraz, ten za chwilę, ale za to na pewno. Zapach pierdła wisiał nad polami posrebrzanymi żytem. Szubienice w pismach wyznających najświętsze katolickie wartości mnożyły się jak króliki. Wrogowie w mundurach, na zmianę hitlerowskich bądź sowieckich, palili sobie cygara na okładkach pism pozornie kolorowych i pazurami rozdrapywali mapę naszą. Węsząc zysk krogulczymi nosami. Dla każdego było coś miłego albo i nie. Każda wrażliwość, bądź niewrażliwość, mogła sobie dobrać cokolwiek, zawsze pasującego. Oferta była totalna. Ekstaza wisiała w powietrzu. Czystki w mediach, w muzeach, w teatrach, w sądach, w wojsku, dowolnie. Salon wył, elity szlochały. Lewak jęczał. Tak miało być i było. Szmału kupa była? Była. Luksusy były? Były. Obiecane, dotrzymane. Zagranica na kolanach, Hollywood na kolanach, wszyscy na kolanach. Powietrza można było do pełna nabrać i rabować zrabowane. Święto. Dziecięca szczerą radość. Tak było – ale się zbyło.

Cisza jakaś nielogiczna teraz zapadła. Niepowsadzani są zdeorientowani: ile można czekać? Smród pudła przeniół się nad własne okopy. Burdele najwyżsi, rozmodleni funkcjonariusze prowadzą – co i dziwne, i niedziwne. Salon – o zgrozo – przestał kwiczeć, zajął się swoimi sprawami. Nie piszczy – to rozczarowujące. Ktoś może i piśnie, ale mało, niegłośno. Niefajnie. Literatura choćby. Miała być nowa, nie-salonowa, wielka, narodowa, z elementami tradycyjnego seksu. I co? Nico. Wildstein miał liczne nobelki wyhaczyć albo i oscarki. Conrada mieliśmy na angielski tłumaczyć, wszystko, hurtem, a nie jakąś tam *only* „Smugę cienia”. Żeby się Angol czegoś o honorze dowiedział. To się nie dowiedział. Świat mieliśmy odmamlać, ale onże się rozmamlał jeszcze bardziej. Dziarskość mieliśmy reklamować, ale jakoś ta reklama nigdzie nie działa, bo wszyscy sobie dziarskość produkują na własną rękę. Z sukcesów mamy *only* zniesienie wiz do kraju dziś raczej stukniętego. Łza się w oku kręci. Nic tak nie pozbawia powabu jak ogólnodostępność, nawet teoretyczna. Chybaśmy wszystko, niemal jednym tchem wyrzucili, nie zapominając o niczym.

Ale to wszystko, między nami mówiąc, mało powiedziane. Bo euforia była przez te ostatnie lata najważniejsza. Była największa. Od lat trzydziestu. Ją i energię rewolucyjną zapamiętać wypada, bo już kłęśnie. Znika. Coś siada. Jakaś piana jeszcze pływa, a w niej watka żółkła. Gospodarka widzieliście? Zławy coś jest, bez gibkości, bez filingu, bez ikry. Znow się łąza w oku kręci, bo widać, jak innym się kręci. Gowina widzieliście? On jest ważny, bo zawsze pierwszy słyszy, jak mięso od kości zaczyna odłazić, że piniądz się nie zgadza, i pierwszy szurać zaczyna, bo on jest przecież zawsze i niewinny, i równocześnie jest *win* (to po angielsku). Gliniński? Czytamy, że w ambasadory pójdzie. Prosto z frontu ideologicznego. Tak było zawsze. Tadżykistan? ZBoWiD? Tak źle na pewno nie będzie. Będzie dobrze. Łasiczki, tam gdzie pojedzie, nie pokaże, ale cywilizacyjnym widelcem dzikusa dziubnie. Jedynym chcącym odgrzać minioną aurę jest Ziobro. Zobaczmy, czy mu muskułów starczy.

A więc co z tego wszystkiego zostało? Ano mało i to, co zawsze, gdy robi się nudno i nijak. To państwowo modelowana edukacyjna pornoopowieść, z elementami uwięzienia. Sado-maso podane językiem polskiego polityka po spożyciu. No i tyle. Utknęliśmy w korku.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Możesz zdecydować o losach naszego świata. Przyszłość dzieje się teraz!

CO NAS OCALI: ODDAJEMY GŁOS PLANECIE

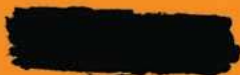
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

WYDANIE SPECJALNE

Kalendarz planety szerokości-kultury
www.tygodnikpowszechny.pl Katowice 29 października 2018 nr 4 (14)
cena 20 zł (z tytułu 10 zł)

Marek Bieńczyk | Ewa Błńczyk | Anna Błachno | ks. Adam Boniecki | Wojciech Brzeziński | Beata Chomętowska | Robert Cyglicki | ks. Michał Heller | Szymon Holownia | Wojciech Jagielski | o. Stanisław Jaromi | Agata Kasprolewicz | Łukasz Lamża | Łukasz Łuczaj | Artur Magnuszewski | Czesław Miłosz | Marcin Napiórkowski | Michał Olszewski | Marcin Popkiewicz | Adam Robiński | Marta Sapota | abp Wiktor Skworec | Filip Springer | Andrzej Stasiuk | Nicole Stott | Arkadiusz Szaraniec | Adam Wajrak | January Weiner | Paulina Wilk | Michał Zadara

halo,
tu Ziemia



Halo, tu Ziemia. Weź, czytaj, to do Ciebie!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydanie specjalne dostępne już od wtorku 29 października
w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/ziemia

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

75
NAGRODA DLA
NAJLEPSZEGO AKTORA
BIENNALE W WENECJI 2018

nominaowany do Oscara
WILLEM
DAFOE

MADS
MIKKELSEN

MATHIEU
AMALRIC

EMMANUELLE
SEIGNER

ORAZ
nagrodzony Złotym Globem
OSCAR
ISAAC

„Więcej niż kolejny Vincent”

JAKUB IZDEBSKI / INTERIA

REKLAMA

Van Gogh

REŻYSERIA
nominaowany do Oscara
JULIAN SCHNABEL
(„Motyl i skafander”)

U bram wieczności



www.againstgravity.pl
f filmyAgainstGravity

rockst/skifander

W KINACH OD
25 PAŹDZIERNIKA

wyborcza

wyborcza

sens

FILMWEB

K
MAC
MAG

KULTURA

VOGUE

VOGUE